

HANS JOACHIM LANG
DOKTORÓW MENGELE
BYŁO WIĘCEJ

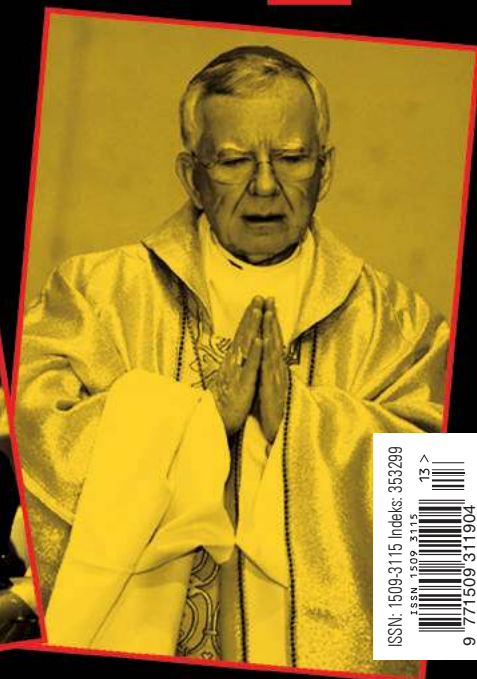
MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ
SPRZEDANA DO BURDELU,
WYKLĘTA W SWOJEJ WSI

OCHRONIARZ – NAJGORZEJ
PŁATNY ZAWÓD W POLSCE

DALEKO OD SZOSY
PRZYSTANKI ZAROSŁY TRAWĄ



KŁAMCY



NAJLEPSZY WOKALISTA
MUSICALOWY 2018*

JAKUB WOCIAL

w roli JEZUSA w rock musicalu

JESUS CHRIST SUPER STAR

TIM RICE & ANDREW LLOYD WEBBER

rampa
TEATR ROKU 2018

* LAUREAT OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU XII TEATRALNE NAGRODY MUZYCZNE 2018
IM. JANA KIEPURY W KATEGORII NAJLEPSZY WOKALISTA MUSICALOWY

grafika.pl 89b47c5507



Nasz „Przegląd”

Jerzy Domański



Pisanie o rynku medialnym i PRZEGŁADZIE nie jest tym, na co Czytelnicy czekają, ale... Sytuacja robi się coraz bardziej dramatyczna. W gruncie rzeczy mamy wojnę propagandową. PiS kontra kurcząca się reszta. O skali tej operacji świadczy wyrwanie z budżetu państwa 1,2 mld zł na TVP. A ta horrendalna kwota to przecież tylko część kasy podatników, jaka idzie też na Polskie Radio i PAP. Te trzy media, kiedyś aspirujące do miana publicznych, są dziś do wyłącznej dyspozycji władzy. Opozycja może w nich występować tylko w roli przestępców lub głupków.

Kłamstwa jako metoda działania to już naturalny sposób uprawiania polityki. Setki milionów złotych idą ze spółek skarbu państwa do pisowskich gazet. Niezależnie od nakładu puchną one od ogłoszeń. Firmy przejęte przez PiS finansują im uroczyste gale, bankiety, nagrody i co tylko temu towarzystwu wzajemnej adoracji przyjdzie do głowy.

Pozostałe media PiS bierze głodem. Zero reklam. Brak reakcji na kłopoty kolporterów. Od miesięcy nie można się doczekać pieniędzy za numery sprzedane jeszcze w ubiegłym roku. To celowe działanie władzy. Toczy się bezwzględna gra na zaoranie niezależnych mediów. Czy takie zagrożenie jest realne? Jak najbardziej. Szansę na utrzymanie się na rynku mają tylko te pisma, które są mocno związane z Czytelnikami. Które będą potrafiły działać w systemie równoległym do oficjalnego. Które sami Czytelnicy uznają za warte wsparcia.

W normalnym państwie dobry merytorycznie tygodnik, który reprezentuje poglądy i interesy tak wielu grup społecznych, nie powinien mieć żadnych problemów. Ale nie w Polsce, gdzie to, co normalne, jest zastępowane wojną podjazdową.

Co robić? Nie ma co czekać na egzekutora z „dobrej zmiany”. Odwołuję się więc, podobnie jak inne tytuły, do Czytelników. Zaawansowane są prace nad kolejnymi książkami

z naszego cyklu Historia bez IPN. Szykujemy wydawnictwa na 75-lecie Polski Ludowej i 80-lecie wybuchu II wojny światowej. Kończymy prace nad subskrypcją wydań internetowych. I rewelacyjną książką prof. Andrzeja Walickiego.

Nie brakuje nam pomysłów. Nie brakuje odwagi ani umiejętności. Brakuje prawie 300 tys. zł, które jest nam wienien Ruch, i wpłat z Garmondu. Jeśli więc mogą Państwu rekomendować jakąś sieć kiosków, to jest nią Kolporter SA. Sprzedaje i płaci.

O co apeluję? O refleksję na temat tego, co możemy zrobić razem, by bronić naszych wspólnych wartości. Porady, pomysły i przelewy nas wspierające są jak najmilej widziane.

Wspierajcie nas

Bronimy

Wspólnych wartości

Pomożesz?

Razem zrobimy więcej

Dziękujemy

za 20 lat z nami

Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



CYTATY

ZYGMUNT FRANKIEWICZ,

prezydent Gliwic,
prezes Związku Miast Polskich

*Odbierana jest nam niezależność,
rośnie represyjność administracji
rządowej.*

„Rzeczpospolita”

WOJCIECH WAGLEWSKI,

gitarzysta, kompozytor

*Ubieganie się o mandat europosła
bez znajomości żadnego języka
zachodniego to jest zwyczajna
nieprzystojność.*

„Polska The Times”

DR THERESE HUSTON, psycholog

*Kobieta dłużej rozważa ryzyko
i wybiera mniejsze, ale pewne,
wygrane.*

„Charaktery”

BAKOWSKI



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 8 Specjaliści od wciskania kitu
Kłamstwa polityków
- 11 Ludzie lubią ulegać złudzeniom
– rozmowa z prof. Jackiem Hołówką
- 30 Nie będzie seks pluł nam w twarz
Długa historia seksfobii

KRAJ

- 15 Ochrona za złotówkę
Zawód na wymarcu
- 18 Przystanki zarosły trawą
Komunikacja daleko od szosy
- 20 O białych plamach nie wystarczy mówić
– rozmowa z dr. Michałem Wolańskim
- 46 Pielęgniarki pod presją
Przypadki z oddziałów szpitalnych

ZAGRANICA

- 24 Słowacy stawiają na Słowaczkę
Korespondencja z Bratysławy
- 26 Eize balagan!
Przewodnik po izraelskich wyborach

HISTORIA

- 34 Prawda kontra „ekspertyzy” IPN
Sprawa pewnej uliczki
- 36 Doktorów Mengele było więcej
– rozmowa z Hansem Joachimem Langiem
- 52 Geniusz Isaaca Newtona
Zdolny, ale leniwy

OPINIE

- 38 Longin Pastusiak
Nonsens polityki historycznej

KULTURA

- 40 Sprzedana do domu publicznego
– rozmowa z Magdaleną Łazarkiewicz
- 44 Kulturalia
- 66 Z biegiem rzeki. Sztuka Bangladeszu

NOWE TECHNOLOGIE

- 50 Prawa wyborcze robota?
Nigel idzie do urny

OBSERWACJE

- 56 Czym chata bogata!
W staroruskiej kuchni

ZDROWIE

- 58 Nerki pod nadzorem
Pacjent w centrum uwagi

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański
Nasz „Przegląd”
- 23 Jan Widacki
Psychoterapia narodowa
- 33 Roman Kurkiewicz
Kłopoty z myśleniem
- 39 Tomasz Jastrun
Trzymaj się pan z dala od naszych dzieci
- 43 Ludwik Stomma
Sztuka sikania
- 55 Edward Mikołajczyk
Nie do wygaszenia



OCHRONA ZA ZŁOTÓWKĘ

Zawód na wymarcu

15
KRAJ



SPRZEDANA DO DOMU PUBLICZNEGO

– rozmowa z Magdaleną Łazarkiewicz

40
KULTURA



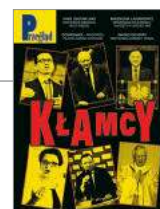
46
KRAJ

PIELĘGNIARKI POD PRESJĄ

Przypadki z oddziałów szpitalnych

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER/EAST NEWS,
TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER/EAST NEWS, STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS,
ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER/EAST NEWS, ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER



**ROZMOWA
ROMANA
KURKIEWICZA**

Długów nie trzeba spłacać

**Prof. KRZYSZTOF
MIKULSKI**Reforma niszczy autonomię
uczonych**URSZULA
GRABOWSKA,
aktorka**Żeby kogoś zapalić,
trzeba samemu płonąć**f Ratujcie moje dziecko**

Jestem matką dziecka z problemami psychicznymi. Leczenie w Polsce w systemie publicznej służby zdrowia nie było możliwe. Latami bagatelizowano problem. Kolejka na wizytę to był koszmar – chorzy i ich rodziny ustawiali się przed przychodnią już o piątej rano. Zdecydowałam się na leczenie prywatne. Trafiliśmy do dobrego lekarza, ale wizyty i leki to był naprawdę poważny problem finansowy. Choroby psychiczne to choroby przewlekłe, a często dożycotnie. Wizyty u lekarza z reguły nie kończą się na jednej miesięcznie. To poważny, bardzo kosztowny i bagatelizowany problem społeczny. Ale cóż, chorzy nie zagrażają strajkami.

Wyjechałam z Polski i skończyły się kłopoty. Bardzo dobra ekipa specjalistów opiekuje się chora bezpłatnie. Córkę ma osobistą specjalistyczną pielęgniarkę, która troszczy się o nią na co dzień i jest dostępna w każdej chwili. Leki też są bezpłatne. Córkę podjęła praca, czuje się dobrze i bezpiecznie w razie nagłego problemu. Szkocja jest „lewacka” i takiej Polski życzę moim rodakom!

Wiestawa**f „Prezent” Kaczyńskiego z kieszeni emerytów**

Całkowicie zgadzam się z apelem pana Stanisława z Brwinowa o pobranie bez żadnych warunków dodatkowej emerytury lub renty (PRZEGŁĄD nr 10). Z jednym wszak zastrzeżeniem. Emeryci od swoich emerytur też płacą podatek. Wielu z nich – z różnych względów – nadal pracuje i od tych wynagrodzeń również odprowadza podatek, jak wszyscy pracujący. Od tych, którzy mają lokaty w bankach lub inwestują w inny sposób, pobierany jest podatek od zysków kapitałowych. Oznacza to, że „prezent” Kaczyńskiego wypłacany jest bezpośrednio z kieszeni emerytów i oni sobie samym mogą ewentualnie podziękować.

A swoją drogą to niesamowite, że człowiek, który przez wiele lat utrzymuje się z pieniędzy zarobionych przez innych, nie widzi nic niestosownego w przyznawaniu się do tego rodzaju „prezentów”.

*Ewa Królikowska***Klub Dobrej Pamięci zaprasza**

na spotkanie z Wiktorem Kineckim – byłym naczelnikiem Związku Harcerstwa Polskiego oraz byłym dyplomatą. Tematem wiodącym spotkania będzie „Interes państwa w strukturach międzynarodowych”.

27 marca (środa), godz. 17.00, cukiernia Wincentego Wolaka, Wrocław, ul. Legnicka 64 (I piętro).

Wstęp wolny**ZDJĘCIE TYGODNIA**

Nerwowa wojna domowa – premier Wielkiej Brytanii Theresa May podczas sesji pytań i odpowiedzi w Izbie Gmin w Londynie 20 marca 2019 r.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Co Kościół powinien zrobić dla ofiar pedofilii?

MARIUSZ MILEWSKI,
Fundacja „Nie lękajcie się”

Powinien zacząć współpracować z naszą fundacją, o co prosimy od prawie sześciu lat. Ale przede wszystkim powinien oczyścić się ze strasznych przestępców, których obecnie chroni, i stanąć w obronie ofiar.

STANISŁAW OBIREK,
antropolog kultury, teolog, b. jezuita

Na tak postawione pytanie przynajmniej częściowo odpowiedział papież Franciszek, organizując szczyt na temat pedofilii w Kościele. W moim przekonaniu najważniejsze były na nim głosy kobiet. Sam papież stwierdził, że biskupi i on mówili o Kościele, natomiast kobiety mówiły z wnętrza Kościoła. W ten sposób powiedział, że hierarchowie powinni przestać patrzeć na problem pedofilii jak na swoje zadanie do rozwiązania, a zamiast tego uważnie wysłuchać ofiar księży oraz ich matek, które najgłębiej czują ból wykorzystanego dziecka. Tymczasem w Polsce jest odwrotnie: biskupi koncentrują się na sprawcach i na instytucji Kościoła, a głos ofiar traktują jako głos intruza, który przeszkadza im w rozwoju własnych strategii obrony. Krótko mówiąc, polski Kościół musi przestać się bronić, zacząć słuchać

ofiar, a następnie zacząć rekompensować, również finansowo, krzywdy wyrządzone przez jego funkcjonariuszy.

ARTUR SPORNIAK,
„Tygodnik Powszechny”

Powinien zacząć od przeprosin, a następnie przekierować myślenie z siebie samego na ofiary i spróbować spojrzeć ich oczami. W ten sposób mógłby dostrzec wiele spraw, których obecnie nie widzi. Powinien także zrobić poważny rachunek sumienia, raz jeszcze dogłębnie przejrzeć archiwa oraz powołać komisję niezależną albo przynajmniej z udziałem niezależnych ekspertów. W dłuższej perspektywie konieczne jest ponadto wypłacenie ofiarom odszkodowań. Episkopat tego się boi, ale to nieuniknione.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
EWA GOJAWICZYŃSKA

Płacić niebotyczne odszkodowania oraz dożywotnie renty. Płacić, płacić i płacić. Posypywanie głów popiołem i przepraszaanie są diabła warte.

MAŁGORZATA MARKIEWICZ

Wydać podejrzanych i dokumenty świadczące o ich winie. A w to, że Kościół

je ma, nie wątpię. Reszta należy do prokuratorów i sędziów.

STANISŁAW PATERAK

W pierwszej kolejności przyznać się do winy, bez kręcenia i mataczenia.

PRZEMYSŁAW SAKTURA

Chyba najlepiej by było, żeby Kościół już nic nie robił.

GRZEGORZ STACHOWIAK

Myślę, że Kościół nic nie powinien robić. Od egzekwowania prawa są służby. To my, wszyscy ludzie, powinniśmy zacząć od siebie. W pierwszej kolejności uzmysłowić sobie szkodę wynikającą z nadmiernej aktywności religijnej. Potem edukacja, edukacja i jeszcze raz edukacja.



BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI

Kościół najpierw trzeba odciąć od państwowych dotacji, następnie normalnie opodatkować, tak jak każde przedsiębiorstwo. Dopiero wtedy powinien wypłacać sute, zasądzone przez niezależny sąd odszkodowania z własnych środków, nawet gdyby to miało doprowadzić do upadku diecezji. To przecież jedna z najbogatszych instytucji.

Not. Michał Sobczyk

SPECJALIŚCI OD WCISKANIA KITU

Już nie fakty mają wpływ na decyzje ludzi, ale macherzy od manipulowania społeczeństwem

Robert Walenciak

Mamy czas kłamstwa. A co z prawdą? Jeszcze nigdy nie była tak mało szanowana jak w dzisiejszych czasach. Fakty? Są potrzebne o tyle, o ile wspomagają daną „narrację”. Czyli opowieść o świecie jednej lub drugiej strony. Jeżeli nie wspomagają – tym gorzej dla nich. Albo się je pomija, albo zniekształca. A jak to wygląda w praktyce?

TELEWIZJA JACKA

Niemiecki dziennikarz Thomas Dudek między 10 a 17 sierpnia przeprowadził eksperyment – oglądał tylko media publiczne. Opowiedział o tym dziennikarzowi miesięcznika „Press”. Oto fragment rozmowy:

– I co, stałeś się mądrzejszy po tym tygodniu?

– Nie, głupszy. W ogóle nie wiedziałem, co się dzieje na świecie. W Polsce ogólnie macie mało relacji z zagranicą, za to wielką obsesję na temat tego, co zagraniczne media piszą o Polsce.

TVP ma swoich komentatorów, a telewizje komercyjne – swoich. Prezentują różne Polski.

W Genui zawałił się most, a w TVP Info najważniejszą informacją nie było to, jak do tego doszło i stan rannych, ale że kondolencje przestał Andrzej Duda. Nie wiedziałem, co się dzieje w Ameryce. W tym czasie wyszła na jaw historia romansu Trumpa z byłą aktorką porno. Przeczytałem o tym dopiero po zakończeniu eksperymentu. Dowiedziałem się za to, że w Polsce są upały i susze, jak na całym Zachodzie, ale w Polsce rolnicy nie muszą się obawiać, bo polski rząd otworzył nowy urząd, który reklamuje polskie rolnictwo i produkty rolno-spożywcze za granicą, dlatego polski rolnik może spać spokojnie.

– Czyli tylko treść Ci się nie podobała, nie forma?



Konwój wstydu, który w ubiegłym roku zorganizowała Koalicja Obywatelska.

– Na temat formy mam świetną historię z „Wiadomości”. Jednego dnia zrobili materiał o doskonałej polityce społecznej rządu PiS. Następnego dnia temat o tym, jakim superprezydentem był Lech Kaczyński. (...) Ciekawy był też pretekst do tego materiału. Był w specjalnym wydaniu w 10. rocznicę wojny w Gruzji.

Z początku się ucieszyłem, bo w niemieckich mediach jest mało informacji o Gruzji. Byłem jednak zdziwiony, jak bardzo skrótowo podeszli do obecnej sytuacji w Gruzji, by zaraz potem bardzo długo wspominać Lecha Kaczyńskiego. Zatem wcale nie chodziło o Gruzję, a o wewnętrzną rozgrywkę w Polsce...

Eksperyment niemieckiego dziennikarza nie był wyjątkiem. Telewizję publiczną oglądają medioznawcy, językoznawcy, inni dziennikarze – ich wrażenia są podobne. A jednocześnie wszyscy oni są w jakiś sposób telewizją Jacka Kurskiego zafascynowani – że w Europie, w XXI w., można prezentować taki program. Bez żadnego wstydu.

Można ludziom wmawiać, że Lech Kaczyński – przepraszam, świętej pamięci profesor Lech Kaczyński – był wybitnym politykiem, choć tak naprawdę był miernym. Że nauczyciele, którzy chcą więcej zarabiać, choćby średnią krajową, to terroryści. Że bandyci, którzy po II wojnie światowej palili wsie, mordowali kobiety i dzieci, to bohaterowie. Że Polska do roku 2015 była w ruinie, a już parę tygodni później była krajem, którego zazdrościli nam na całym świecie...

Na tle paździerzowych mediów publicznych te komercyjne mogą błyszczeć. Ale tylko na tle. Bo też bardziej zajmują się swoją narracją, pokazywaniem, kto jest dobry, a kto zły, niż opisem świata. Owszem, ta ich narracja jest ładniej podana, nieco mniej nachalna, ale przecież wiadać, że jest ważniejsza od faktów.

TVP ma swoich komentatorów, a telewizje komercyjne – swoich. Prezentują różne Polski. A jak nasz kraj wygląda naprawdę, z żadnej się nie dowiemy.

WIELKI PINOKIO

Symbolem naszych czasów, tego, że gdy słuchamy polityków, to ich słuchamy, ale broń Boże nie może-

my im wierzyć, jest premier Mateusz Morawiecki.

III RP różnych miała premierów. Był pomnikowy Tadeusz Mazowiecki, prawdomówny do bólu („trzeba było się ubezpieczyć”) Włodzimierz Cimoszewicz, nijaki Jerzy Buzek, spec od balów i studniówek Kazimierz Marcinkiewicz, specjalista od ciepłej wody w kranie Donald Tusk itd. Byli różni, ale każdy z nich pilnował się, by czegoś nie przekreślić, każdy rozumiał powagę swojego urzędu.

Z Morawieckim jest inaczej. Świat rzeczywisty i ten, o którym on opowiada, to dwie różne galaktyki. Na dobrą sprawę, gdy Morawiecki przemawia, obok w telewizyjnym okienku, tak jak tłumacz języka migowego, powinien stać ktoś, kto objaśniałby nam, kiedy premier kłamie, a kiedy trzyma się faktów.

Jest już zresztą strona internetowa dokumentująca jego kłamstwa i kłamstewka. Przypomnę tylko niektóre. Premier opowiadał, że bank, którym kierował, nie udzielał kredytów we frankach szwajcarskich. Potem się okazało, że udzielał, i to jak! Premier zapewniał, że to PSL posprzedawało zagranicznym inwestorom zakłady przetwórstwa owocowo-warzywnego. Okazało się, że wcale nie PSL, lecz AWS. Kłamał też, opowiadając, że za rządów PO-PSL nie budowano dróg ani mostów. I że Polska była w ruinie. Mówił, że 80% mediów jest w rękach przeciwników politycznych. Że Polska jest europejskim czempionem i że jeśli chodzi o całą Unię Europejską, to dwie trzecie nowych miejsc pracy w przemyśle powstało w Polsce. Fantazjował, jak walczył z PRL, prowadząc działalność konspiracyjną, i jak w III RP negocjował warunki wstąpienia Polski do Unii. Strzelał kulą w płot, twierdząc, że nauczyciele i ZNP nie domagali się wyższych płac za rządów PO. Mijał się z prawdą, opowiadając w Brukseli o Sądzie Najwyższym. Do tego pokazywał tam zdjęcie przedstawiające Edwarda Gierka w rozmowie z trójką działaczy Socjalistycznego Związku Studentów Polskich: Aleksandrem Kwaśniewskim, Jerzym Koźmińskim i – jak głosił – Małgorzatą Gersdorf, obecną prezes Sądu Najwyższego. Tymczasem na fotografii była nie Gersdorf, tylko zupełnie inna dziewczyna. Incydent ten wiele mówi – Morawiecki nie spraw-

dza faktów, liczy się dla niego efekt, prawda jest czymś względnym.

Nasuwa się więc pytanie, gdzie nauczył się tak kłamać. W banku? Bardzo prawdopodobne, korporacje to dobre środowisko dla tych, którzy potrafią wciskać kit. A może już w życiu politycznym? To również niewykluczone. Ale o tym za chwilę.

Symbolem naszych czasów jest premier Mateusz Morawiecki.

Bo jest jeszcze jedna odpowiedź – otóż Morawiecki po prostu dostosowuje się do otaczającego go świata, do naszych czasów. Jeżeli w tym świecie prawda stała się pojęciem względnym, to on właśnie tak ją traktuje.

CZAS KŁAMSTW

Społeczeństwo masowe, w którym żyjemy, rządzi się innymi prawami, niż to się śniło oświeceniowym filozofom. Zostało to zresztą opisane już

co nie jest nią samą”. Będąc w tym stanie wrzenia, masy uważają, że kierują się „ideami”, tymczasem są to frazesy i hasła, rozbudzające różne instynkty. Tłum – wyjaśnia Ortega y Gasset – „chce wydawać sądy, ale nie chce uznawać warunków i założeń koniecznych do ich wydawania. Stąd też, praktycznie rzecz biorąc, jego idee nie są niczym innym, jak pragnieniami ujętymi w słowa”.

Podobnie tłumaczy Elias Canetti w pracy „Masa i władza”: „Jedną z najbardziej widocznych cech masy jest coś, co można by określić jako uczucie prześladowania: szczególna, gniewna drażliwość i nerwowość wobec wszystkich, których raz na zawsze uznano za wrogów. Niezależnie od tego, co tamci robią, czy postępują przyjaźnie, czy nieprzychylnie, twardo lub łagodnie, współczują lub pozostają obojętni – wszystko zostanie zrozumiane tak, jakby wynikało z niezmiennej złośliwości, z wrogiego stosunku do masy, z zamiaru zniszczenia jej, jawnie lub podstępem”.



Przedwyborcze wizyty premiera Morawieckiego wywoływały protesty mieszkańców. Nz. akcja w Toruniu, 30 września 2018 r.

wiele lat temu. José Ortega y Gasset w „Buncie mas” przekonywał, że masy kierują się nie rozumem, tylko emocjami. I to przeważnie negatywnymi. „Masa – ktoś by to pomyślał, mając przed oczami ów ciasno zbity tłum? – nie pragnie współzycia z nikim, kto do niej nie należy. Masa śmiertelnie nienawidzi wszystkiego,

Masy, tłum, kierując się emocjami, domagają się więc nie prawdy, lecz informacji, które zaspokoją te emocje. Tak wygląda dziś komunikowanie. Język debaty mędrców został zastąpiony językiem reklamy bądź językiem psychoterapii. Twierdzi tak np. Alasdair MacIntyre w pracy „Dziedzictwo cnoty”. Że mamy do czynienia

► z zastępowaniem prawdy przez psychologiczną skuteczność: „Słownictwo typowe dla działań terapeutycznych dokonało niezwykle skutecznej inwazji na sferę edukacji i religii”.

Innymi słowy, te rozmaite narracje, moda na nie, nie wzięły się znikąd. To historyczna prawidłowość. Społeczeństwo masowe nie jest zainteresowane spokojną refleksją, analizą; przeciwnie, chce przeżywać emocje, nowe emocje i jeszcze raz emocje. Chce mieć wrogów, chce z nimi wygrywać, chce być zapewniane, że ma rację, że odkrywa jakieś tajemnice, że pozostaje w stanie moralnej wyższości. W tym samym przedstawieniu jesteśmy widzami i aktorami zarazem.

WIELKI REŻYSER

Procesy społeczne to jedno, a rozmaici inżynierowie dusz, którzy chcą je wykorzystać do swoich celów, to drugie. Mogą oni wyciszać emocje, mogą je także podgrzewać. Mieliśmy w Polsce polityków, którzy potrafili budować emocje pozytywne, łączyli, a nie dzielili. Na pewno taki

Społeczeństwo masowe nie jest zainteresowane spokojną refleksją, analizą. Chce przeżywać emocje, nowe emocje i jeszcze raz emocje.

był Aleksander Kwaśniewski. Ale teraz główną rolę odgrywa ktoś inny – Jarosław Kaczyński, który nie potrafi prowadzić polityki inaczej niż poprzez szukanie wrogów i mobilizowanie zwolenników. Wtedy zarządza kryzysem. Wtedy toczy swoje wojny. A w każdej wojnie jej pierwszą ofiarą jest prawda.

Jeżeli więc mówimy, że Polska pogrąży się w różnych narracjach, które prawdę traktują instrumentalnie, że rowy między różnymi obozami politycznymi są już nie do przejścia, to ten stan rzeczy ma swojego architekta.

Wiele się mówi, że gazeta jest taka jak jej redaktor naczelny, że firmy działają tak, jak działa ich szef... PiS też działa tak, jak chce prezes tej partii. Dlatego taki, a nie inny kształt telewizji publicznej nie jest przypadkiem. Tak jak Maciej Szczepański był ulubionym prezesem Edwarda Gierka, Jacek Kurski jest ulubionym prezesem Jarosława Kaczyńskiego. Bo on najlepiej potrafi odgadnąć jego



Rodzice łatwo wyłapują hipokryzję minister Anny Zalewskiej.

mniej lub bardziej skrywane gusta. I tylko on może wpaść na pomysł, by transmitować mszę w rocznicę śmierci Jadwigi Kaczyńskiej. Jeżeli więc ktoś żyma się na telewizję publiczną, na Jacka Kurskiego, to zupełnie niepotrzebnie. Kto inny przecież jest tu cesarzem. Ta telewizja jest

dokładnie taka, jaką chce mieć Jarosław Kaczyński, ona mu się podoba. Jeśli byłoby inaczej, już dawno inny prezes by nią zawiadywał.

Podobnie jak z Jackiem Kurskim jest z resztą partii rządzącej. Jej politycy zapraszani do mediów nie wysilają się specjalnie, tylko recytują przesłane im przekazy dnia. Są jednakowo nieprzejednani, twardzi. Tak jak linia PiS. Najwyraźniej tego wymaga od nich prezes.

Nie ma więc wątpliwości, że to on jest architektem jeszcze innego wielkiego przedsięwzięcia, które określiło kształt polskiej polityki – kłamstwa smoleńskiego. Pisaliśmy o tym wielokrotnie – żałoba narodowa po katastrofie smoleńskiej, tłumy przed Pałacem Prezydenckim, atmosfera szoku i niedowierzania, to wszystko okazało się znakomitą wehikuł budowy nowego PiS i nowych narracji. „Na trumnach smoleńskich po władzę” – to tytuł z jednego z numerów PRZEGŁĄDU. Profetyczny.

Przegrane wybory z 2010 r. przekały Jarosława Kaczyńskiego, że smoleńskie emocje to potężny kapitał, po który warto sięgnąć. To wtedy pozbył się Joanny Kluzik-Rostkowskiej, szefowej kampanii prezydenckiej. Bo postawił na Smoleńsk. Na kolejne wersje zamachu. W prezydenckim TU-154 miały wybuchnąć bomby, piloci mieli być dezorientowani przez sztuczną mgłę, pasażerowie, którzy przeżyli katastrofę, mieli być dobijani, ku radości Tuska i Putina. Tych kłamstw wyprodukowano całe tony. I okazały się skuteczne, bo w pewnym momencie w teorię zamachu wierzyło ponad 25% Polaków.

Jeżeli kłamstwo w sprawie katastrofy smoleńskiej przyniosło takie korzyści polityczne, dlaczego miałyby nie dać efektów w innych sprawach? Kaczyński zaczął więc podgrzewać atmosferę.

Telewizja jest dokładnie taka, jaką chce mieć Jarosław Kaczyński.

W ten sposób krok po kroku Polska pogrążyła się w zimnej wojnie domowej i w wojnie narracji. I tu jesteśmy. W niewoli PO i PiS. W sytuacji, w której nie liczą się dokonania dany polityków. Liczy się wyłączenie atmosfera wojny. I szantaż moralny. Jeżeli nie jesteś z nami, wspomagaś Kaczyńskiego – przekonują różni naganiacze Grzegorza Sche-

tyny. PiS mówi podobnym tonem: tylko my obronimy wasze dzieci przed homoseksualistami i ich propagandą, a Polskę przed Niemcami i wielkim kapitałem, których obrońcą jest PO.

DOKĄD PROWADZI NAS KŁAMSTWO

Ostatnią odsłoną tej wojny narracji była sprawa karty LGBT+, którą podpisał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. To już nieważne, jakie zobowiązania karta zawiera, bo Jarosław Kaczyński krzyczy: ręce precz od naszych dzieci, a jego podwładni opowiadają jednym głosem, że Trzaskowski chce uczyć czteroletnie dzieci masturbacji.

Jest więc awantura, która przykryła sprawy niewygodne dla Kaczyńskiego i PiS, tylko z rzeczywistością nie ma to nic wspólnego. Ale nikt tego nie sprawdza, zresztą ci, którzy sprawdzili i chcieli coś mówić, zostali zlekceważeni.

Każdy mówi zatem swoje i nikogo nie interesuje stan faktyczny. Bo na pewno jest mniej ciekawy niż opowieść o zgrozie masturbacji. Tak oto pograżamy się w świecie nieprawdziwym, zakłamanym.

Ma to konsekwencje. Bo brak prawdy w życiu publicznym niszczy demokrację, niszczy wspólnotę. Wyobraźmy sobie, że wędrujemy z opaską na oczach. Nic nie widzimy, tymczasem jedni wołają: ani kroku do przodu, bo przepaść! A drudzy: śmiało, właśnie wychodzisz na piękną plażę! Jak postąpić? Komu ufać?

Jeżeli w życiu publicznym prawda staje się nieistotna, jeżeli musimy wybierać między różnymi narracjami, czyli różnymi rodzajami kłamstwa, to jako społeczeństwo stajemy się bezradni. Ubezważniamy się. Bo już nie decydujemy rozumem, namysłem, ale musimy zgadywać. Co więc się dzieje w takiej sytuacji? Kto ma wpływ na decyzje obywateli? Wpływ mają ci, którzy lepiej opanowali sztukę propagandy, są bardziej przekonujący. Głośniejsi krzyczą, skuteczniej podsuwają swoją narrację. Już nie fakty mają wpływ na decyzje ludzi, nie zastanowienie, ale machery od manipulowania społeczeństwem. Specjaliści od wciskania kitu. Takich czasów dożyliśmy.

Robert Walenciak

LUDZIE LUBIĄ ULEGAĆ ZŁUDZENIOM

Nie chciałbym, żeby każdy, kto mi coś opowiada o świecie, mnie oświecał

PROF. JACEK HOŁÓWKA

Rozmawia Robert Walenciak

Jak pan się czuje w świecie, w którym prawda jest narracją?

– Ta narracja o narracji bardzo mnie irytuje. To, co się stało jakieś 20 lat temu, kiedy zdecydowano i oznajmiono, że nie istnieje nic takiego jak realność, w której żyjemy, i cały świat stał się płynny, nieokreślony, nieopisywalny. Najbardziej zapalczewi postmoderniści – jak Jacques Derrida – twierdzą, że książki nigdy nas nie odsyłają do świata, tylko zawsze do innych książek. Czyli plotka jest zbudowana na plotce i pod tym stołem opowieści nie można znaleźć niczego twardego i niezmiennego. Po pierwsze, to nieprawda, po drugie, to jest wielki upadek filozofii! Główna zasada w ponowoczesności mówi, że wszystko jest konstrukcją społeczną. Zwolennicy konstrukcji społecznej są przekonani, że nie ma prawdy, nie ma rzeczywistości, nie ma przyczyn ani skutków, choroby ani zdrowia, bogactwa ani bieda, wszystko jest względne i wszystko jest relatywne. Umowne i wyobrażone. Tego pomysłu bronił pół wieku temu Howard Becker w teorii etykietowania, ale później z niej się wycofał. Zresztą Becker sam przyznawał, że nie opisuje świata, tylko zmienny i płynny język. To wielka różnica.

Czas propagandy (który powrócić)

A w życiu publicznym? Gdy bierze pan do ręki gazetę, ma pan wrażenie, że dowiaduje się prawdy czy że śledzi jakąś narrację?



– No właśnie, gazety to nie świat, tylko język, czyli narracja. John Austin pisał nawet, że przepytwanie świadków przed sądem to bardzo trudna sprawa. Ludzie pamiętają nie to, co widzieli, tylko to, co sobie słowami zapamiętali. W jakimś domu dla psychicznie chorych śmiertelnie poparzonego pacjenta. Miał się kąpać. Wszedł do kabiny z wanną i łazienkę kazał mu czekać, aż wanna zostanie spłukana gorącą wodą. Chory powiedział, że poczeka. Łazienkę puścił wrzątek i chorego poparzył. To było niedopatrzenie, tragiczny wypadek czy celowe poddanie się umartwieciu? Sędzia pytał i pytał, nie mógł uzyskać zdecydowanej odpowiedzi. Nikt właściwie nie wiedział, jak zakwalifikować to zdarzenie, choć

wszyscy opisywali je podobnie. W codziennym życiu nie lubimy jednoznaczności i dokładności. Ostatnio zostałem zaproszony do nagrania programu telewizyjnego na temat poważnej pracy z filozofii. Przed rozmową zapytałem, czy mogę przeczytać fragmenty z książki. Redaktor prowadzący powiedział: „Czytać na ekranie? Tego nikt nie zechce oglądać”. Miał rację. Chcemy, żeby program był ciekawy i swobodny, a nie dokładny.

Nie dbamy o prawdę, dbamy o pozór.

Czyli telewizja ma przyciągać anegdotą i wesołością.

– Wtedy sobie pomyślałem, że żyjemy w trochę innym świecie niż ten, w którym ja wyrosłem. Ja bym chciał, żeby była czysta, jasna granica między relacjonowaniem faktów a komentarzem do nich. W komentarzu każdemu daję pełną swobodę, niech używa swojej wyobraźni, jak tylko chce.

A w relacjonowaniu faktów?

– To właśnie najważniejsze. W programie informacyjnym oczekujemy zgodności opisu z rzeczywistością. Kiedy oglądamy dziennik telewizyjny albo słucham wiadomości w radiu, chciałbym, żeby nikt mi nie dawał zmyślonych podpowiedzi, żeby mi nie mówił, jakie to jest trudne i zagadkowe, tylko żeby mi zrelacjonował fakty. A jeśli chce mi je naświetlać, niech wyraźnie mówi, z jakiego punktu to robi. Jeśli daje mi naświetlenie prawicowe – chętnie posłucham. Jeśli lewicowe – również chętnie. Ale jeśli nie mówi, jakie to naświetlenie, tylko naświetla, po prostu mąci mi w głowie. Natomiast jeśli chodzi o fakty – chcę mieć takie źródło informacji o tym, co się dzieje w świecie, które jest odpowiedzialne i traktuje serio odbiorców. I nie chcę tego mieszać z impresjami, wrażeniami, fikcjami.

To jednak coraz modniejsze!

– Ma pan rację, ale to właśnie mnie martwi. Jest czymś przerażającym, że nie można znaleźć stacji telewizyjnej, która byłaby niezaangażowana politycznie. A to z upływem czasu się nasila! Staje się coraz bardziej natrętne, nieprzyjemne i trudne do zaakceptowania. Jestem ciągle wystawiany na indoktrynację! Po

upadku komunizmu byłem przekonany, że czas propagandy się skończył. To jedna z największych naiwności, jedno z największych rozczarowań mojego życia.

A zapowiadano, że informacje będą dobre albo złe, ale zawsze prawdziwe.

– Przez pewien czas ludzie starali się mówić obiektywnie, ale bardzo szybko się okazało, że obiektywizm polega na tym, że musimy być konsekwentni. Konsekwencja z kolei oznacza, że mamy być konsekwentni nie w stosunku do faktów, tylko w stosunku do naszych poglądów. W ten sposób, pod inną nazwą, pojawia się teraz styl propagandy podobny do tego, który dominował w czasach komunistycznych. Po trzech zdaniach wiem, czy wiadomości są przedstawiane przez prasę lewicową, czy przez prawicową. Czy ktoś jest zwolennikiem PiS, czy PO. A nie chciałbym, żeby każdy, kto mi coś opowiada o świecie, mnie oświecał. Chcę wiedzieć o świecie, a nie o poglądach. Oddzielajmy to.

Manipulowani i mamieni (na własne życzenie)

A jak społeczeństwo na to reaguje?

– Społeczeństwo zawsze się zachowuje jak stoń. Jest gruboskórne, można kijem szturchać, trochę się odsunie, ale nie rusza się z miejsca. I nagle się wkurza... Bardzo mnie dziwiło, że zwolennicy Platformy po ostatnich wyborach byli zaskoczeni,

Jest czymś przerażającym, że nie można znaleźć stacji telewizyjnej, która byłaby niezaangażowana politycznie.

że PiS wygrało, chociaż „wszyscy” przewidywali, że przegra! Nie wiedzieli, w jakim świecie żyją... Główna pułapka, jaką propagandzista zastawia na innych, zwykle obraca się przeciwko niemu. Sam siebie oszukuje.

Przed wszystkim nas oszukuje.

– Moim zdaniem trzeba pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, o samooszustwie. O tym, że ludzie lubią ulegać złudzeniom. Po drugie, o wciskaniu kitu. Takim powierzchownym, radosnym, nieodpowiedzialnym sposobie upraszczania faktów. Pisał o tym Harry Frankfurt w książce

„On Bullshit”. Ten termin wszedł na stałe do nauk o komunikacji i nawet już nie jest wulgarny.

A jaki?

– Bullshit ma dziwaczne pochodzenie. Prawdopodobnie, ale to anegdota, czyli narracja, słowo wzięło się stąd, że nawóz rzekomo spod byka sprzedawano jako lepszy niż nawóz spod krowy. Czyli to jest łudzenie, mamienie, nabijanie w butelkę, wciskanie kitu, naciąganie, oszukiwanie. I, co najgorsze, samooszukiwanie. Trzeźwo myślenie społeczeństwo chroni się przed wciskaniem kitu. A na czym polega trzeźwe myślenie? Na tym, że ludzie szybko zdają sobie sprawę, że są manipulowani i mamieni.

Ale my lubimy być mamieni różnymi koncepcjami, byle tylko były miłe.

– Właśnie, to jednak niebezpieczna gra. Kiedy chcemy być mamieni? Gdy czujemy się zaniepokojeni. Gdy wzrasta poziom lęku, ludzie chcą być upewniani, że nic strasznego się nie stanie. Chcą, żeby im mówić: nie jest jeszcze tak źle, inflacja nie jest taka gigantyczna, wielkie inwestycje będą korzystne, tylko na razie jeszcze nie widać z nich pożytku, oskarżenia o faszyzm, o złodziejstwo i niefrasobliwość państwowych urzędników to przesada. Każde uogólnienie to przesada.

Ha, ha! To jest samooszukiwanie się!

– Tak. Czytałem gdzieś, co to jest samooszustwo. Zdarza się czasem pechowemu kierowcy, że jedzie samochodem i hamuje, ale hamulec działa jakby gorzej. Jedzie dalej,

ostrożniej i hamuje drugi raz – okazuje się, że pedał najpierw się zapada, a dopiero potem łapie. Jedzie kawałek dalej – próbuje po raz trzeci i wtedy czuje, że pedał łapie jeszcze niżej. Każdy rozsądny człowiek w takiej sytuacji orientuje się, że ma przeciek w systemie hydraulicznym. Ale skłonni do samooszustwa optymiści mówią sobie: to niemożliwe, to się prawie nie zdarza, ja nie mam takiego pecha. Jadę dalej! Są też ludzie, którzy gubią kartę płatniczą i co myślał? Może nikt nie znajdzie albo jak znajdzie, to jej nie użyje, zajmę się tym jutro... A przekładanie do jutra

to okropne ryzyko. Samooszustwo, które nas ogłupia.

Takich lekkoduchów nie brakuje.

– Owszem! Na utratę płynu hamulcowego i zgubienie karty kredytowej reagujemy dość nerwowo, i słusznie. Ale istnieje przecież cały przemysł wciskania kitu, czyli reklama. Ona zawsze nam mówi coś, co nie jest, ściśle biorąc, prawdziwe. Nikt się na to nie zżyma, bo wiemy, że reklama to namawianie, a nie recenzowanie. Jednak w pewnych krajach obowiązują przepisy żądające, by reklama nie stosowała atrap i zamienników. Jedna z firm kosmetycznych w USA w reklamie pokazała nowy krem do golenia. Kawałek papieru ściernego ktoś posmarował kremem i „ogolił” papier do czysta. Sąd zakazał pokazywania tej reklamy, bo uznał, że jest jawnie nieprawdziwa.

Gubimy prawdę

Pan daje przykłady: z jednej strony *bullshit*, z drugiej – prawda. Sęk w tym, że w życiu jest tak, że dwie strony prezentują *bullshit*, czyli swoją narrację. *De facto* więc nie potrzebują dyskutować między sobą. Bo chodzi im nie o prawdę, tylko o zdominowanie adwersarza, żeby moje było na wierzchu.

– To nie jest prawdziwa rozmowa! Jeżeli dwie osoby siadają do rozmowy, ale zamiast ustalania stanowiska chcą wyłącznie manifestować swoje przekonania i zwalczać przeciwników za pomocą krętych argumentów, korzyść dla słuchacza i dla widza jest z tej rozmowy żadna. Człowiek zupełnie traci zaufanie do środków masowego przekazu i nie wie, na kim ma się opierać, bo wydaje mu się, że w każdej chwili może zostać nabity w butelkę albo przez jedną stronę, albo przez drugą. To, na co pan zwraca uwagę, jest więc bardzo smutne – bo efekt jest taki, że kłócące się strony mają więcej szacunku dla siebie nawzajem niż dla osób z zewnątrz, które domagają się rzetelności. Człowiek rzetelny, szukający prawdy jest wrogiem i dla jednego, i dla drugiego. Dlatego, że oni prowadzą spór nie po to, by znaleźć poprawne i przekonujące rozwiązanie, ale by rozmówcę zapędzić w kozi róg i ośmieszyć. Na tym polega bezsens tej sytuacji.

A wie pan, że prawda w oczy kole?

– Owszem, istnieje problem prawdomówności. Na przykład w medycynie. Myślę o zagadnieniu, które się nazywa błąd o włos. Co jakiś czas zdarza się taki nieszczęśliwy przypadek, że lekarz się pomyli i, powiedzmy, źle opisze stężenie leków. I przygotowuje miksturę... Jeżeli on to wychwyci, najczęściej myśli sobie: udało się, nie spowodowałem nieszczęścia, nikomu o tym nie będę mówił. I to jest najgorsza rzecz, jaka może się zdarzyć, bo jeżeli jeden lekarz w takiej sytuacji zrobił błąd,

Główna pułapka, jaką propagandzista zastawia na innych, zwykle obraca się przeciwko niemu. Sam siebie oszukuje.



Pikieta w obronie demokracji zorganizowana przez KOD w Gdańsku w grudniu 2015 r.

można się obawiać, że kilku następnych w analogicznych sytuacjach postąpi tak samo. Zwykle więc szefowie instytucji medycznych mówią: błędy o włos powinny być raportowane. Zrobicie taki błąd – napisz, przestrzeż siebie i innych, żeby to się nie powtórzyło. Efekt jest jednak taki, że uczciwemu lekarzowi wylewnie się dziękuje, ale przy najbliższej okazji zwalnia się go z pracy albo przenosi. **Dlaczego?**

– Zwykle ludzie pracują w zwykły sposób, wobec tego wszystkim pisze się w opinii mniej więcej to samo – że są ofiarni, że zajmują się pacjentem itd. A tu nagle okazuje się, że jakiś lekarz pół roku temu o mały włos dopuściłby się wielkiego błędu. Zostało mu to wybaczone. Ale czy

się nie powtórzy? Piszący ma wątpliwości, czy może za niego ręczyć, czy on drugi raz nie zrobi tego błędu.

W ten sposób uczciwy człowiek kręci sznur na swoją szyję.

– Nie potrafimy społecznie zaakceptować i przyjąć racjonalnej reakcji w stosunku do błędów, których udało się uniknąć. Czyli powiedzenie prawdy rujnuje człowiekowi karierę. Bo nie traktujemy prawdy jako osobnej wartości. Gubimy ją. Gubimy prawdę w sytuacjach dotyczących awansu zawodowego. Gubimy prawdę, kiedy dajemy sobie wciskać

kit i kiedy naiwnie wprowadzamy się w samooszustwo, wmawiając sobie, że ogólnie rzecz biorąc, alkoholizm jest niebezpieczny, ale jak ja piję, to potrafię picie kontrolować. Albo jeżeli jadę 180 km na godzinę, to jestem młody, mam dobre auto, wypadek mi nie grozi. Ten naiwny optymizm usprawiedliwia kręactwo. To jest stała rysa lekkomyślnego społeczeństwa.

Pochwała nudy (i rzetelności)

Czy społeczeństwo może się rozwinąć, jeśli jest oparte na błędzie? Na ile to przeszkadza? A może nie przeszkadza?

– Uogólnienia na ten temat są zawsze niebezpieczne. Ale o pewnych tendencjach można powiedzieć. Zachodzi np. różnica między społeczeństwami protestanckimi i katolickimi. Katolicy są łagodniejsi, łatwiej wybaczą sobie, są bardziej przyjacielsko nastawieni i bardziej skłonni do budowania dobrej atmosfery. To wszystko są zalety. Trzeba jednak zadać sobie pytanie, czy te zalety mają jakiś koszt. Niestety, kosztem często są dyscyplina i prawda.

A społeczeństwa protestanckie?

– One są wymagające i surowe, silniej przywiązane do prawdy. Na przykład w Niemczech jest całkiem dobrze widziane i budzi uznanie, jeśli ktoś napisze pracę doktorską w dwóch tomach. W Polsce wszyscy się z tego śmieją. Znam tylko jeden przypadek doktoranta, który spontanicznie napisał pracę w dwóch tomach. Nie chcę tego oceniać, chcę

▶ tylko powiedzieć, że Polacy mają poczucie, że jest w nas jakiś geniusz. Szybko chwytałyśmy to, co istotne, i nie musimy tak bardzo się starać. Niemiec nie może spokojnie pójść spać, jeśli wie, że cytował z drugiej ręki. Będzie prosił kolegów: znajdź mi taki cytat, chcę mieć cytowanie źródłowe. Można powiedzieć, że to pedanteria, czepianie się szczegółów, że to udawana nauka, zbiór wspaniałych materiałów, ale w sumie nic więcej niż baza danych, na podstawie której można dopiero zrobić coś na prawdę pełnego polotu. Wobec tego proponowałbym: nie oceniamy się nawzajem, pamiętajmy o tej różnicy i pamiętajmy, że w obu przypadkach można przesadzić. To znaczy, można przesadzić, i czepiając się szczegółów, i jeżeli szuka się zbyt szybko uogólnień.

A który błąd jest bardziej niepokojący?

– Byłbym jednak po stronie protestantów. Łatwiej mi poradzić sobie z dobrym opracowaniem, dosyć szczegółowym, męczącym i miejscami nudnym. Bo jeśli mam wątpliwości, wiem, gdzie wrócić, wiem, co mam sprawdzić. Natomiast jeśli czytamy projekty pełne wyobraźni i rozmachu, podziwiam śmiałość hipotez i lekkość sformułowań, to one silnie na mnie oddziałują, ale jednocześnie budzą wątpliwości, czy autor coś bada, czy coś zgaduje.

Nie dbamy o prawdę, dbamy o pozór

Polacy wciąż słyszą w telewizji, że są wspaniałym narodem, że świat nas podziwia. Miło żyć w takim świecie. Tylko że w historii mieliśmy

taki okres, wiek XVIII, kiedy podobno też nas wszyscy podziwiali i to marnie się skończyło.

– Ja bym na to spojrzał z krótszej perspektywy. W jaki sposób chcemy wychowywać swoje dzieci? Myślę, że wymaganie rzetelności w wychowaniu każdego dziecka jest niezwykle ważne. Kiedy moje dzieci były małe, odkryłem z wielkim zdumieniem, że kochają dyscyplinę, bardzo się boją bałaganu. Dzieci mają więcej witalności niż dorośli, więc uwielbiają biegać, wskakiwać na coś, rzucać rzeczami, podskakiwać.

Kiedy chcemy być mamieni? Gdy czujemy się zaniepokojeni. Gdy wzrasta poziom lęku.

Są wtedy wesołe i pogodne. Ale już w przedszkolu rozumieją, jaka jest różnica między zabawą a pracą. Zdarza mi się teraz, że z wnuczkami próbuję się bawić w coś głupiego. One najpierw bardzo się cieszą, ale po chwili są tym zmęczone. Od pustej zabawy mają rówieśników, ode mnie spodziewają się czegoś poważnego. Wolą, żebym był poważnym dziadkiem, który robi wszystko porządnie i rzetelnie. Myślę, że w podobny sposób jak ja wnuczkom staramy się przypodobać dorosłym. Chcemy, żeby nas słuchali, i upraszamy to, co chcielibyśmy powiedzieć, żeby nasze słowa były dowcipne, oryginalne, szokujące. W tak tani sposób chcemy się podobać innym. A nie chcemy na uznanie założyć ciężkim wysiłkiem.

Popkultura taka jest...

– Bo to jest właśnie to, od czego zaczęliśmy! Popkultura to przede wszystkim postmodernizm. Nie dba-

my o prawdę, dbamy o pozór! Bo pozór jest jak makijaż – przeciętna osoba może nagle wyglądać świetnie, przyciągać uwagę. Coś takiego mamy w prasie, coś takiego jest w publikacjach pseudonaukowych, które stają się głośne i chwytliwe, coś takiego mamy w polityce, gdy dominuje samooszustwo i *bullshit*.

A fajnie byłoby posłuchać poważnej debaty. Tylko że jej nie ma.

– Nie ma, bo poważnie można mówić tylko na własną odpowiedzialność. Jeśli ktoś serio traktuje jakiś temat, ryzykuje, że za chwilę

będzie sam. Jeśli leśnik będzie mówić o rabunkowym wycinaniu lasu, koledzy szybko go zakrzyczą. Są przecież plany do wykonania, ludzie potrzebują mebli, mamy zobowiązania zagraniczne. Jeśli lekarz powie, że kolejki w lecznicach NFZ są przeraźliwie długie, koledzy będą go uspokajać: są takie, jakie muszą być, czy mamy jeszcze dłużej siedzieć na dyżurze, niż siedzimy? Czy mamy brać trzeci albo czwarty etat? Lekarzy jest za mało, bo pojechali za granicę. Krytyka tu niczego nie zmienia.

A gdyby, trochę na siłę, wprowadzić do debaty specjalistów?

– To dobry pomysł, ale ktoś zawsze znajdzie kontrspecjalistów! I znów popadamy w postmodernizm, w przekonanie, że liczą się tylko różne narracje... Żadna nie jest wiodąca i powstaje bałagan myślowy.

W takiej sytuacji kto ładniej, bardziej przekonująco powie, ten jest górą?

– Nasza wiedza o świecie jest ograniczona. Nie wiemy wszystkiego o kosmosie, nie wiemy wszystkiego o ludzkim zdrowiu ani o prawdziwym przebiegu II wojny światowej.

Podobnie jak o wielu innych sprawach. I musimy nauczyć się z tym żyć?

– Nauczmy się sceptycyzmu. O wielu sprawach lepiej powiedzieć, że nie wiemy, jak wyglądają, niż zgadywać i mówić, że to wiedza. Jeśli ktoś dobrze zgaduje, niech gra w tolotkę, ale niech nie zapewnia słuchających, że zawsze bez trudu odkrywa prawdę.

Robert Walenciak

Z głębokim żalem żegnamy
naszego Kolegę

GRZEGORZA ILKĘ

Człowieka lewicy, wiernego swoim przekonaniom i ideałom,
który całe życie walczył o prawa pracownicze i prawa człowieka.

Rodzinie i Bliskim serdecznie współczujemy.

Waldemar Witkowski – przewodniczący Unii Pracy
Jan Orkisz – wiceprzewodniczący Unii Pracy

OCHRONA ZA ŻŁOTÓWKĘ

Aby zostać ochroniarzem, nie trzeba teraz nic. Jak się już ma tę robotę, trzeba dotrwać do końca miesiąca. A najlepiej do kolejnej wypłaty

Dorota Bartosewicz

„Młodszy wartownik” wyskakuje jako pierwszy. Oczekiwanie to jedynie: wykształcenie minimum średnie, komunikatywność i zdolność szybkiej reakcji w sytuacji zagrożenia. Chwilę potem: „detektyw sklepowy”, w przypadku którego wymagane są dyspozycyjność oraz obiektywizm, lojalność i uczciwość. Tuż za nimi – „agent ochrony”, tu potrzeba obowiązkowości, terminowości i wysokiej kultury osobistej. W kolejnych ogłoszeniach, pod dumnie brzmiącymi nazwami „operator/pracownik wsparcia kontroli bezpieczeństwa”, mówi się wyłącznie o dobrej organizacji pracy, odporności na stres i zaangażowaniu. Niektórzy, również duże firmy, napiszą wprost: mile widziane (niewymagane) orzeczenie o niepełnosprawności. Zalogowana przez kwadrans na popularnym portalu z ogłoszeniami o pracę trafiam na ponad 30 ofert dla ochroniarzy. Co ciekawe, na palcach jednej ręki można policzyć te, które wspominają o koniecznym wpisie na listę kwalifikowanych pracowników ochrony fizycznej, posiadaniu legitymacji osoby dopuszczonej do pracy z bronią czy np. wymogu niekaralności (za przestępstwo popełnione umyślnie). Jak to w ogóle możliwe?

BEZDOMNY ZA GROSZE

O początku końca ochrony jako ochrony mówią dziś już wszyscy. Także sami pracownicy, zarówno byli, jak i obecni. – Cała ta branża to patologia. Pozatrudniali teraz głównie studentów, emerytów i rencistów. Nierzadko nawet dzieci. Stawki? Śmiech na sali! 2,70 czy 3,30 zł za godzinę to norma. A bywa, że płacą co drugi miesiąc, bo to i ozusować trzeba, tak się tłuma-



czą. Pieniądzy nigdy nie ma na czas – żali się Jakub Długosz, były konwojent, 17 lat w zawodzie.

– Jedni udają, że pracują, drudzy udają, że im za to płacą, taka prawda. Przecież nie tak dawno wyszło na jaw, że urząd miasta w Opolu do ochrony zabytkowego folwarku rodziny von Eynern zatrudnił... bezdomnych. Dali im telefony, ale co z tego, skoro nie

ny, po czym kolejne 24 godziny, tyle że na umowę-zlecenie w spółce córce. Nie, nie jestem wyjątkiem. No skąd! Każdy ma podobnie rozpisane dyżury. I to niezależnie od tego, czy pracuje na górze, czy na dole.

Na górze, czyli w konwojach, patrolach interwencyjnych lub jako obstawa VIP-ów. Na dole – przy ochranianiu urzędów, jednostek wojskowych, dworców, banków, osiedli, domków bądź placów budowy. – Tak czy siak wychodzi za cały miesiąc ok. 1,5 tys. zł – podsumowuje Kamil Sempolski.

To, że ochroniarstwo jest najgorzej płatnym zawodem w Polsce, potwierdziły też raporty Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a. Średnie zarobki za godzinę wynoszą 4-5 zł, czyli połowę stawki, która przysługuje zgodnie z prawem na podstawie umowy o pracę. Za to ani zajęć, ani godzin dodatkowych nie brakuje. „Pracownik ochrony jednego z urzędów wojewódzkich relacjonował, że gdy pracował w szpitalu, bywał zmuszany do

pomocy w znoszeniu zwłok, bez odpowiedniego przygotowania, chociażby odzieży ochronnej”, „Inny z pracowników przepracował na dyżurze bez przerwy 165 godzin, czyli tydzień, bo firma nie zorganizowała zastępstwa”. „Stwierdzono również przypadek nieprzerwanego dyżuru w wymiarze 105 godzin, czyli cztery dni w początkowym okresie świadczenia usług, kie-

Ochroniarstwo to najgorzej płatny zawód w Polsce.

zapewnili nawet dostępu do bieżącej wody. Płacili grosze, 1,20 zł za godzinę. Kto to w ogóle słyszał?! – to już Marian Opolski, w branży od ponad 10 lat. Kamil Sempolski, pracownik ochrony z 13-letnim stażem: – Kodeks pracy?! Jaki kodeks? Pracuję według grafiku, najpierw na etacie 24 godzi-

dy często firma nie ma jeszcze skompletowanego zespołu”. Podobnych przykładów w raporcie nie brakuje. Katarzyna Duda, która już od kilku lat analizuje rynek pracy ochroniarzy i pielęgniarek, spotkała się nawet z sytuacją, że salowa dostawała większą pensję, choć nierzadko to ochroniarz

bywał proszony o pomoc pacjentom, drobne naprawy, prace konserwacyjne, a nawet koszenie trawy: – Przy okazji nierzadko robił i za szatniarza, i za pracownika informacji.

W przypadku ochroniarzy w sklepach, na osiedlach czy budowach ich zadaniem może być też otwieranie drzwi przed klientami/mieszkańcami/gośćmi. W sklepach mają jeszcze kontrolować, czy pracownicy nabijają wszystkie produkty na kasę (kas z reguły jest 5-10, a ochroniarz sam jeden), przegrzebywać śmieci (chodzi o sprawdzenie, czy inny pracownik np. nie wypił wody, za którą nie zapłacił) czy segregować zepsute mięso (już po godzinach otwarcia marketu, rzecz jasna).

Ale ani obowiązkom, ani stawkom nikt w branży się nie dziwi. „Ważne, że jest tanio”, przeczytałem potem na

Z danych MSWiA wynika, że w latach 1999-2018 firmom ochroniarskim wydano 9285 koncesji, przy czym 3244 zostały cofnięte, a 314 wygasły.

zorom wcale nie jest na pierwszym miejscu. Liczy się przede wszystkim rachunek ekonomiczny – tak tłumaczy to zjawisko Seweryn Krajan, 16 lat w branży. I od razu dodaje: – Agencja na osobę z niepełnosprawnością, już jako zakład pracy chronionej, dostaje dopłaty z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych.

I to niemałe. Z danych Polskiego Stowarzyszenia Pracowników Ochrony wynika, że tylko z tego tytułu do kas firm ochroniarskich trafia co roku ok. 1 mld zł. Innymi słowy, na sektor, który w zamysle miał odpowiadać za

wprowadzając klientów w błąd, bo bywa, że żadna z nich nie jest uzbrojona.

– Ale przecież nie tylko o kasę chodzi, czym jeszcze można to tłumaczyć?! – upieram się.

– Niepisaną zasadą, która od lat rządzi rynkiem, jest: „Terrorysty omijają Polskę, przynajmniej na razie”. Ale to nieprawda! Kiedy dwa lata temu byłem na kongresie bezpieczeństwa obiektów handlowych, specjalista z ABW pokazał slajd z informacją, ile bomb wybuchło w kraju w zeszłym roku. Na sali było ok. 170 ekspertów z różnych dziedzin. Wszyscy zaniemówili. Mowa była aż o 147 – podkreśla Karol Chudzik.

Mnożyć można przykłady psucia rynku, podważania wiarygodności i łamania zasad konkurencji. Firmy startują do przetargów poniżej progu opłacalności, obowiązkowo przy założeniu, że „jakoś to będzie”, częste są oferty pracy pod hasłem: „Możesz pracować, ile chcesz,

ale nie mniej niż 260 godzin miesięcznie” (wychodzi 1,8 etatu, a przecież to praca w konwojach, obowiązkowo z bronią) albo wypowiedzanie umów firmom prywatnym i powoływanie na ich miejsce struktur wewnętrznych. „Ta swoista »konkurencja« toczy się przy wsparciu ww. jednostek przez państwo, a więc z państwowym sponoringiem”, bił na alarm już w maju zeszłego roku Sławomir Wagner z rady nadzorczej Polskiego Holdingu Ochrony, wcześniej wieloletni prezes Polskiej Izby Ochrony. Od tego czasu niewiele się zmieniło.

STANOWISKO NA WSTECZNYM

Ale po co firmom ochroniarzy w klapkach i z ciężowym brzuszkiem? Paweł Bilko, prezes Polskiego Stowarzyszenia Pracowników Ochrony, długo nie zastanawia się nad moim pytaniem. – Bo nie dość, że jest tańszy, to jeszcze w ocenie klientów nie wywołuje niepotrzebnych napięć ani negatywnych emocji, w przeciwieństwie do wyszkolonych i wyposażonych w sprzęt profesjonalistów. Z bronią, krótką czy długą, tylko by klientów straszył. Nikt nie patrzy na to, że ochrona ma OCHRANIAĆ. Z miłym dziadkiem tego problemu już nie ma. A przy okazji, jak będzie trzeba, to i przegoni bezdomnych, i zabłąkanym wskaże drogę do toalety.

2,70 czy 3,30 zł za godzinę to norma. A bywa, że płacą co drugi miesiąc.

forach branżowych. „No co, przecież to tylko ochrona. To nie mają być komandosi, porządnie traktowani i wynagradzani”. Albo: „Pan, który stoi w sklepie czy biurze i ma mniej lub bardziej formalny ubiór i napis na plecach »ochrona«, nie jest ochroną. On ma mieć jedynie zdrowe oczy i umiejętność powiadomienia załogi interwencyjnej ewentualnie policji. Na tym jego praca i obowiązki się kończą. Jako »prawy obywatel« może oczywiście mieć chęć grania Janosika, ale za to mu nie płacą i robi to prywatnie. Niektórzy pracodawcy mogą w ramach nagrody dać im na bilet do kina albo aqua-park” (pisownia oryginalna).

GRUPA DZIADKÓW ŚPIĄCYCH

Rynkowa praktyka pokazuje jeszcze jedno – najcenniejszy pracownik ochrony to teraz przede wszystkim osoba z... orzeczeniem o niepełnosprawności. Najlepiej z kategoriami P (choroby psychiczne) i U (upośledzenie umysłowe, dziś opisywane raczej jako niepełnosprawność intelektualna), nierzadko sama wymagająca opieki. Ale zamiast siedzieć w biurze, podobnie jak inni pracownicy, wysyłana jest do ochrony centrów handlowych, urzędów, a nawet banków.

– Pomieszczenie z popłataniem. Bezpieczeństwo obywateli wbrew po-

bezpieczeństwo obywateli w budynkach użyteczności publicznej lub podczas imprez masowych idzie mniej więcej tyle, ile w budżecie Mazowsza zapisano w 2019 r. na inwestycje.

W sieci aż huczy: „Inwalidzi na etatach ochroniarzy? Polska to jednak dziki kraj”. „Zamiast tych kwalifikowanych do ochrony kierują niepełnosprawnych, zatrudnianych w innych spółkach córkach bądź tych na umowy zlecenia – emerytów i dziadków śpiących, bo kto jak nie oni przyjdą dorobić do emerytury za te 3,50 zł za godzinę. Brak jest jakiegokolwiek nadzoru, kontroli w tym względzie”, podnoszą jedni, podczas gdy drudzy wytykają: „Kierownicy jednostek podlegających obowiązkowej ochronie zawierają umowy z najtańszą agencją, która zobowiązuje się do zapewnienia kwalifikowanych pracowników ochrony, ale na tym się kończy”.

– Ile w tym prawdy? – pytam Karola Chudzika, byłego już właściciela agencji ochrony. – To jedynie wierzchołek góry lodowej – odpowiada ponuro. – Kreatywność firm w kwestii obchodzenia przepisów nie zna w tej branży granic. Bo mamy od lat np. grupę interwencyjną, która, co do zasady, składa się z dwóch pracowników z bronią palną. Tyle że teraz agencje wpadły na pomysł i sprzedają nowe usługi, takie jak patrol interwencyjny, grupa dojazdowa lub dozorowa. W ten sposób



Spośród 250 tys. ochroniarzy jedynie 95 tys. to pracownicy kwalifikowani. Pozwolenie na broń ma 55-60 tys.

– Psu na budę taka ochrona. Komu to niby ma służyć? – nie dają za wygraną.

– Zgoda, ale są jeszcze wymagania firm ubezpieczeniowych co do liczby pracowników. Im jest ich więcej, tym łatwiej i szybciej można zbić cenę polisy.

Bilko w branży pracuje ponad 10 lat. W tym czasie nie tylko ochraniał wielkie wydarzenia czy „obiekty infrastruktury krytycznej”, ale też pracował na małych posterunkach bez prądu i wody. Mógłby prowadzić własną agencję ochrony, ale nie zdecydował się na to. – Nie chcę robić tego tak, jak to obecnie wygląda – krzywi się. Ma pozwolenie na broń. Gorzej z innymi – szacuje się, że spośród

250 tys. ochroniarzy jedynie 95 tys. to pracownicy kwalifikowani. Przy czym pozwolenie na broń ma 55-60 tys.

– Swoje zrobiła wprowadzona w 1997 r. ustawa o ochronie osób i mienia, która stała się gwoździem do trumny. To wtedy do jednego worka wrzucono zarówno ochroniarzy, jak i stróżów, dozorców, portierów – ubolewa prezes Polskiego Stowarzyszenia Pracowników Ochrony. – Potem, dokładnie w styczniu 2014 r., była jeszcze deregulacja zawodu. To wówczas zniesiono egzaminy państwowe dla pracowników ochrony w komendach wojewódzkich, a także licencje pierwszego i drugiego stopnia.

Wcześniej stróż był stróżem, dozorca – dozorcą, portier – portierem,

a ochroniarz – ochroniarzem. Ten ostatni musiał brać udział w wielotygodniowych szkoleniach i egzaminach specjalistycznych, teoretycznych i praktycznych. Kazimierz Sobolewski, 10 lat w konwojach, przypomina sobie: – To była cała masa przedmiotów: blok prawny, w tym z prawa cywilnego, procesowego i pracy, blok ochrony osób, w tym przyczyny zamachu, metody i sposoby ataku oraz założenia taktyczne, blok ochrony mienia, blok wyszkolenia strzeleckiego, blok samoobro-

Najcenniejszy pracownik ochrony to teraz osoba z... orzeczeniem o niepełnosprawności.

ny i technik interwencyjnych... Do tego psychologia, etyka pracownika ochrony czy np. zasady udzielania pomocy przedlekarskiej. Dzięki temu ten, kto przeszedł to wszystko, coś sobą reprezentował.

Jeżeli ktoś miał np. licencję drugiego stopnia, mógł być m.in. kierownikiem konwojentów albo kierownikiem ochrony w danym obiekcie. – Obecne kursy to fikcja – ocenia Sobolewski. Bo wystarczy, jak przekonuje, że chętni zgłoszą się do ośrodka szkoleniowego i zapłacą np. 1-2 tys. zł za zajęcie, nawet nie muszą w nich uczestniczyć.

Arkadiusz Drozda, 11 lat w branży, potwierdza: – Bywa i tak, że dana osoba zostaje zapisana z datą wsteczną, czyli dostaje adnotację, że uczestniczyła w iluś godzinach kursu albo na-

wet go ukończyła. W rzeczywistości niczego nie jest uczona. Potem idzie na komendę, z automatu dostaje wpis na listę kwalifikowanych pracowników ochrony. I od tej pory może się posługiwać środkami przymusu bezpośredniego, w tym pałką typu tonfa.

REANIMACJA TRUPA

Przedstawiciele stowarzyszeń i związków branżowych przyznają jeszcze jedno. W tej sytuacji i z takim wizerunkiem (ostatnio popsuł go dodatkowo atak na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, którego na scenie napastnik kilka razy dźgnął 14-centymetrowym nożem) najlepiej byłoby sektor zlikwidować, po czym zbudować na nowo. Ale już na innych zasadach.

Najczęściej wspominają o konieczności przywrócenia państwowych egzaminów i weryfikowania sprawności kandydatów. Choć też nie wszyscy. „Można było być totalnym głąbem i paralitykiem, ale je zdać – jak nie za pierwszym, to za drugim razem”, „Pamiętam, że na kursie, który kończyłem, z 30 osób ponad połowa była z grupą inwalidzką. A najbardziej utkwiał mi w głowie chłopak, który miał zaburzenia psychiczne, i drugi – rencista po wszczępieniu bajpasów. Obaj później w konwojach z licencją II jeździli”, przerzucają się argumentami na zamkniętym forum dla ochroniarzy. Dla

tego część opowiada się w ogóle za zakazem zatrudniania osób z grupą inwalidzką, szczególnie na imprezach maso-

wych. A jeszcze inni są dodatkowo za limitem wieku (maksymalnie 60 lat).

W tej sprawie do szefa MSWiA Joachima Brudzińskiego trafiła już stosowna petycja, jak podawały niedawno media. Jej autor – pozostał anonimowy – domaga się pilnych zmian w ustawie o ochronie osób i mienia („Ochrona w obecnym stanie przepisów nie jest w stanie odeprzeć ataków osób zakłócających porządek”). Paweł Bilko kwituje: – Mniejsze zmiany? To nie ma sensu. Każda próba ich wprowadzenia to nic innego jak reanimacja trupa. Bo ta branża już jest trupem.

Dorota Bartosewicz

Imiona i nazwiska niektórych osób, na ich wyraźną prośbę, zostały zmienione.

PRZYSTANKI ZAROSŁY TRAWĄ

Nie trzeba jechać daleko, by znaleźć miejsca bez autobusów. 75 km od Warszawy też są białe plamy



Anna Brzeska

– Wiochy to wiochy, nie odezwą się, nie pójdą strajkować – stwierdza gorzko Alina, mieszkanka wsi w gminie Lipie. Nie wierzy już, że w jej miejscowości znów będzie tyle autobusów, by możliwe było życie bez samochodu.

Gmina Lipie położona jest na styku województw śląskiego i łódzkiego. – Jest tu kilka wiosek, na północny

500+ czy na podwyżki dla nauczycieli. Bo jeśli staną szkoły w trakcie matur, to będzie dramat. U nas więc nic się nie zmienia.

PODRÓŻ W JEDNĄ STRONĘ

Autobus z Julianowa do najbliższego miasta, Częstochowy, rusza o godz. 6.10. Jedzie przez kolejne wioski, potem przez gminne Lipie i wiele innych, bliższych miastu miejscowości. Choć do Częstochowy

Trzeci o 12.50. Ten ostatni to najszybszy kurs i ma najmniej przystanków, ale i tak jedzie godzinę z kwadransem.

Powrotny z Częstochowy jest... jeden. O godz. 11. Mieszkając w Julianowie i nie mając samochodu, nie da się pracować w mieście. I jeszcze jeden kłopot. – Autobusy w kierunku Julianowa jeżdżą tylko od poniedziałku do piątku. W ferie, wakacje i weekendy nie ma nic – podkreśla Alina.

Sprawdzałam wieś gminną, Lipie, sądząc, że tam będzie znacznie lepiej. Faktycznie – autobusów Lipie-Częstochowa (i z powrotem) jest przez cały dzień aż 11. Ale przedostatni z miasta wraca już o 15.30, jeśli zatem ktoś kończy pracę o godz. 16, musi czekać na autobus do 18.35.

W sobotę, czyli wtedy, gdy w kierunku Julianowa nic już nie jedzie, do Lipia można dojechać z Częstochowy kursem o godz. 10.10 i 14.30. Wieczorne kino czy restauracja w mieście odpadają. W niedzielę nie ma zaś żadnych autobusów – ani z Lipia, ani z Julianowa.

– Do Częstochowy da się dojechać tylko z Krzepic, a to kilkanaście kilometrów od Julianowa – opowiada Alina. Zastanawia się czasem, dla-

Autobusy szkolne zabierają tylko uczniów. Nie ma opcji, że zabiorą starszą panią do przychodni.

wschód od Lipia: Julianów, Lindów, Stanisławów, Albertów czy Wapienik i Chałków, zostawionych niemal zupełnie z niczym – opowiada Alina.

Kobieta nie chce, bym ujawniła, w której z tych wsi mieszka. Boi się, że ktoś ją rozpozna i będzie miała problemy z załatwieniem czegoś w gminie. Uważa, że niezmotoryzowani mieszkańcy wsi zawsze pozostaną grupą społeczną bez żadnej karty przetargowej: – Rząd musi mieć przecież pieniądze na nowe

stać niespełna 40 km, podróż z ponad 30 przystankami zajmuje półtorej godziny.

– Ale to chyba dobrze, że autobus zabiera po drodze ludzi z kolejnych wsi? – pytam Alinę.

– Wcale nie. Z tych miejscowości bliżej Częstochowy jest znacznie więcej autobusów, którymi można dojechać do miasta. To krążenie nie jest do końca uzasadnione – tłumaczy.

Przeglądałam dalej rozkład. Drugi autobus rusza z Julianowa o godz. 6.25.

czego w niedzielę nie mógłby chociaż prywatny bus jeździć w kierunku Julianowa czy Lipia. – Słyszałam od znajomej, że przewoźnicy proponowali to pani wójt, ale ponoć odpowiedziała, że nie ma takiej potrzeby, bo wszyscy mają samochody.

Czy to prawda? Wójt gminy Bożena Wieloch zapewnia, że zdaje sobie sprawę z problemu wykluczenia transportowego. – Wielokrotnie podejmowaliśmy rozmowy z lokalnymi przewoźnikami, ale ich oferty nie spełniały wymaganych przez nas kryteriów – wyjaśnia. Innymi słowy, dla gminy dofinansowanie takich przejazdów byłoby zbyt kosztowne.

– Prowadzimy konsultacje z mieszkańcami dotyczące potrzeb komunikacyjnych, aby przygotować się na wdrożenie rozwiązań zapewniających optymalną sieć połączeń – zapewnia dalej pani wójt. – Jako samorząd działamy bardzo intensywnie. Jednak to, co robimy, nie ma umocowania prawnego. A transport publiczny od lat oczekuje na rozwiązania systemowe. Nie można mówić, że wykluczenie komunikacyjne mieszkańców to niedołność samorządów.

NAJGORZEJ MAJĄ KOBIETY

Wioski w okolicy Julianowa to przykład typowej białej plamy, otoczonej przez obszary lepiej skomunikowane. – Jesteśmy na styku województw śląskiego i łódzkiego. Parę kilometrów dalej jest już łódzkie, tam jest trochę busów – mówi Alina. – Czasem bardziej opłacałoby się dojechać w tamtą stronę, np. do leżących na styku województw Smolarzy. Tam jest przystanek. Sama tak przez parę lat jeździłam kilka kilometrów rowerem. Stamtąd autobusem dojeżdżałam do pracy. Zima, mróz, śnieg, wichury, a ja na tym rowerze. Takich kobiet jak ja była masa. Nadal tak jeżdżą całe lata.

Alina mieszka w gminie Lipie od urodzenia: – W czasach mojej młodości było tu czym jeździć. W okolicy od wielu lat dominowali chłoprobotnicy, nie rolnicy. W okresie transformacji powstało tu sporo przetwórnictwa owocowo-warzywnych, potrzebowały dużo ludzi do pracy i dowoziły ich autobusami.

Co się zmieniło? – Wieś się wyludnia, bo nie ma tu żadnych możliwości. Tymczasem już parę kilome-

trów stąd często jeżdżące prywatne busy są pełne! Ludzie jeżdżą na targ, na zakupy, do lekarza. A u nas są skazani na chodzenie wiele kilometrów. Droga zresztą nie jest szczególnie bezpieczna. Praktycznie nie ma chodnika – zrobili tylko kawałek. Ludzie zaczęli wtedy jakby częściej wychodzić, zrobiło się jakoś tak normalnie. Ale przerwali budowę. Podejrzewam, że dopiero przed następnymi wyborami zrobią kolejny odcinek.

Wyludnianie się pozbawionych transportu wsi jest zjawiskiem powszechnym. – Coraz więcej domów zostaje wystawionych na sprzedaż. Jeśli umiera choćby jedno z rodziców tych młodych, którzy stąd powyjeżdżali, najczęściej sprzedają oni dom, a mamę czy tatę biorą do siebie do miasta – tłumaczy Alina. – Większość pól wykupili okoliczni bogaci przedsiębiorcy, nawet ich nie uprawiają. Posieją czasem byle jakie żytko, bez nawozu – byle było przeorane. Za te niby uprawiane grunty przedsiębiorcy mają z UE ogromne dotacje.

Skoro wszyscy wyjechali, kto pracuje w przetwórnictwie? Oczywiście Ukraińcy. Przedsiębiorcy umieszczają ich w odkupionych od mieszkańców pustych domach. – Jeśli chodzi o Polaków, to w przetwórnictwie pracują przede wszystkim kobiety, które nie mają czym dojechać do pracy gdzieś dalej. Dostają tu jednak marne

Z Julianowa do Częstochowy są trzy autobusy. Z powrotem... jeden. O godz. 11.

pieniądze. Za godzinę ciężkiej pracy, jak słyszałam, 7-8 zł. Ale mają jeszcze wiele lat do emerytury, więc są skazani na przetwórnictwo.

Alina, mimo że ma już dorosłą córkę, która – jak łatwo zgadnąć – dawno wyjechała ze wsi, najbardziej współczuje jednak młodzieży, która wciąż mieszka z rodzicami w okolicy. – W miastach z rozmaitych imprez czy z kina mogą wrócić do domu autobusami, nawet nad ranem. Tutaj nie mają takiej szansy. Trudno się dziwić, że potem słyszymy w mediach, jak to ładują samochodem gdzieś na drzewie. I wszyscy zabici. Przecież to głównie młodzież ze wsi. Oni też chcieliby móc gdzieś pojechać wieczorem. Zresztą to samo dotyczy dorosłych. Nie da się stąd nawet pojechać do znajomych – żali się.

Problemem są też zakupy. – Czasem proszę córkę, żeby mi zrobiła zakupy w mieście i potem je przewiozła. To najczęściej środki czystości i inne rzeczy, które można kupić na zapas. Miejscowe sklepy mają horrendalne ceny, a często też przeterminowane artykuły.

PÓKI ŻYJE MAŻ KIEROWCA

Nie trzeba jednak wybierać się na pogranicze województw czy wschodnie rubieże Polski, by znaleźć miejsca, gdzie nie ma żadnych autobusów. Wiola Szulejewska mieszka z rodzicami i dwójką małych dzieci w Sulnikowie (gmina Gzy, powiat Pułtusk, województwo mazowieckie). – Nasza wieś oddalona jest o kilkanaście kilometrów od Pułtuska, a kilka od gminnej wsi Gzy. To w Gzach mamy urząd, sklep, pocztę, bank, kościół, szkołę podstawową, przedszkole i ośrodek zdrowia – opowiada.

Ona i jej rodzice mają samochody – trzy pojazdy dla trzech dorosłych osób. Wiola: – Z Sulnikowa i kilku okolicznych miejscowości nie ma żadnej komunikacji publicznej ani prywatnej, która mogłaby dowieźć ludzi nie tylko do Pułtuska, ale gdziekolwiek. Stąd bez samochodu nie dojedzie się nigdzie. Jedynym wyjątkiem są autobusy szkolne, ale zabierają tylko uczniów. Nie ma opcji, że zabiorą starszą panią czy inną osobę, która nie jest w stanie prowadzić. Tacy ludzie są skazani na

łaskę i niełaskę rodziny, sąsiadów czy znajomych. Znam osoby, które chcą jechać kilka kilometrów do ośrodka zdrowia, dzwonią po dorosłe dzieci mieszkające w Pułtusku czy Warszawie. Syn czy córka bierze wtedy urlop w pracy, by zawieźć mamę lub tatę do lekarza. Albo zrobić im zakupy.

Pytam, czy dużo jest we wsi osób bez prawa jazdy albo samochodu. Okazuje się, że niewiele. Co nie znaczy, że problem nie istnieje. Wiola wyjaśnia, dlaczego nie ma powodów do radości: – Od wielu lat niemal w każdym domu jest samochód lub nawet kilka. Ludzie kupują najtańsze auta, po 2 tys. zł, dojeżdżają nimi do Pułtuska, zostawiają je tam i jadą pekaesem do Warszawy. Jakoś więc sobie radzą. Siłą rzeczy zaczną jednak się pojawiać osoby niezdolne do prowadzenia. To ▶

► częściej problem kobiet. Wiadomo, że wśród dzisiejszych emerytek na wsi – albo pań, którym do emerytury mało brakuje – wiele nie jeździ samochodami. Póki żyje mąż, wszystko w porządku, ale gdy umiera lub choruje – ich dom zostaje odcięty od świata.

W Sulnikowie jeszcze kilka lat temu autobusy były. Dlaczego już nie ma, skoro są tak potrzebne? Wiola policzyła kiedyś opłacalność podróżowania nimi: – Jednorazowy bilet z Sulnikowa do Pułtusza kosztował 9 zł. Odległość między miejscowościami to 15 km, czyli za 1 km płacono się 60 gr. Dojazd do Pułtusza samochodem kosztuje 25-40 gr za kilometr. Przejazd komunikacją publiczną jest więc droższy niż przejazd samochodem, nawet jeśli wiozę tylko siebie. A gdybym jechała z dziećmi i podzieliła te 40 gr na kilka osób – wydajcie jeszcze mniej.

Ludzie kupują najtańsze auta, po 2 tys. zł, dojeżdżają nimi do Pułtusza, zostawiają je tam i jadą pekaesem do Warszawy.

Wiola sądzi, że wieś, w której dzisiaj nie można kupić nawet chleba, z czasem po prostu opustoszeje: – To nie jest dobre miejsce do życia. A to przecież Mazowsze, niewiele ponad 75 km do Warszawy. I już zupełnie inny świat.

TEMAT BEZPAŃSKI

Na warszawskiej SGH na początku marca, w związku z zapowiadaną kolejną już nowelizacją ustawy o publicznym transporcie zbiorowym, odbyła się debata poświęcona problemom komunikacyjnym wsi. Choć w kuluarach następnym projekt ustawy (trudno zliczyć, ile ich było) spotyka się z krytyką, uczestnicy debaty – eksperci z Katedry Transportu oraz firm świadczących usługi doradcze dla samorządów – pozostają dyplomatami. Przynajmniej w oficjalnych wypowiedziach.

Trafić można jednak i na dosadnie opinie. „Konferencja dość jasno pokazała, że temat na poziomie rządowym jest bezpieczeństwa – nie ma przecież w Ministerstwie Infrastruktury nawet odpowiedniego departamentu. W efekcie transportem zbiorowym zajmuje się Departament Prawny, który ma dość ograniczoną wiedzę merytoryczną i nie ma »przebicia«, żeby załatwić pieniądze. Swoją drogą 1,5 mld zł już stopniało

do 0,5 mld zł. Nikt więc nie ma ani całościowej koncepcji, woli czy wizji, ani zdolności administracyjnej do jej wprowadzenia. Możemy się więc spodziewać dalszej agonii połączeń lokalnych”, pisze w mediach społecznościowych jeden z ekspertów, który wolałby pozostać anonimowy.

To zrozumiałe, że żaden z nich nie chce otwartego konfliktu z ministerstwem – jeśli ludzie z resortu obrażą się na tych, którzy w debatach podsuwają sensowne uwagi i rozwiązania, mieszkańcy wsi na pewno na tym nie skorzystają.

Co o projekcie sądzą gminy? – Cieszę się na zapowiedzi wprowadzenia ustawy o finansowaniu połączeń na tzw. białych plamach, bo każda złotówka wydana na ten cel pomoże mieszkańcom. Jednak za wcześniej, by odnieść się do tych

przepisów. Nie znamy szczegółów, w tym wielkości i zasad ewentualnych dopłat. Przedstawiciele samorządów lokalnych, także takich gmin jak nasza, wciąż czekają na rozwiązania strategiczne i systemowe, dotyczące również sposobów finansowania naszych działań – mówi wójt gminy Lipie.

Ministerstwo Infrastruktury, pytane o obiecywane przez PiS kwoty dofinansowania do transportu, informuje, że „w okresie przejściowym, przed rozpoczęciem funkcjonowania nowego systemu publicznego transportu zbiorowego, które jest przewidziane na 31 grudnia 2021 r., dopłata do kwoty deficytu jednego wozokilometra linii o charakterze użyteczności publicznej będzie wynosiła maksymalnie 1 zł”. Okazuje się jednak, że obiecywane dopłaty... zmniejszają się za trzy lata. Od 1 stycznia 2022 r. mają one wynosić „nie więcej niż 0,8 zł do jednego wozokilometra”. Ciekawe, czy prywatni przedsiębiorcy w ogóle zdecydują się na inwestowanie w nierentowne dziś linie, wiedząc, że dopłaty do nich zostaną tak szybko zmniejszone. Jeśli nie, to nie trzeba być ekspertem, by wiedzieć, że nie zmieni się absolutnie nic. Wieści o tym, że tak szumnie dziś obiecywane dotacje będą maleć, zapewne nie zobaczymy na plakatach wyborczych PiS.

Anna Brzeska

Rozmawia Anna Brzeska

Podczas niedawnej konwencji PiS Jarosław Kaczyński obiecał przywrócenie zlikwidowanych w ostatnich latach połączeń autobusowych – przede wszystkim na wsi i w małych miastach. Wracamy więc do tematu wykluczenia komunikacyjnego. Przez ostatnie lata nic w tej sprawie się nie zmieniło, jest wręcz coraz gorzej.

– Ja się cieszę, że temat stał się priorytetem politycznym. Już od prawie dwóch lat pracowaliśmy nad tą ustawą. To, że prace szły słabo, to jedno, ale mieliśmy też poczucie braku uwagi na najwyższym szczeblu politycznym. Innymi słowy, tak naprawdę do tej pory nikogo to nie interesowało. Poza tym wciąż chciało coś zmieniać bez pieniędzy. Nie mówię, że to niemożliwe, bo jestem człowiekiem z natury oszczędnym, ale bez pieniędzy to szalenie trudne i ambitne.

Teraz jest atencja i podobno będą pieniądze.

– Tak. Jest też ogromna potrzeba ekonomiczna. Podczas naszego ostatniego seminarium na SGH dyrektor Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN prof. Monika Stanny mówiła o tym, że na wsi ciągle mamy do czynienia z ukrytym bezrobociem. Chodzi o nieefektywne gospodarstwa rolne, generujące niskie dochody – i brak możliwości wyjścia z tej sytuacji. Z drugiej strony są miasta – nie tylko Warszawa – które borykają się z brakiem siły roboczej.

Omawialiśmy także istnienie tzw. klina wykluczenia transportowego, który sięga od Podlasia po województwo łódzkie. Wykazały to badania PAN. Zasięg tego klina pokrywa się z obszarami, gdzie zamknięte są przewozy szkolne (to te regiony, gdzie decyzją samorządów nikt poza uczniami nie może korzystać z autobusów przewożących dzieci do szkół – przyp. red.), i obszarami o dużej wypadkowości. Jeżeli nie ma autobusu, ludzie sobie radzą na różne sposoby. Na przykład tak, że 18-letni dzieciak jedzie 20-letnim samochodem i wiezie trójkę innych dzieciaków.

Wiadomo, jak to czasem się kończy.

– Tak, rośnie liczba wypadków. Zresztą to samo dotyczy dorosłych

O BIAŁYCH PLAMACH NIE WYSTARCZY MÓWIĆ

Jeżeli nie ma transportu, to 18-latek wiezie trójkę innych dzieciaków 20-letnim samochodem

DR MICHAŁ WOLAŃSKI

– doradca w dziedzinie transportu,
Katedra Transportu SGH

– nie każdy lubi jeździć samochodem, nie każdy jest w stanie. Natomiast sytuacja zmusza tych ludzi do jeżdżenia.

Co więc dalej z najnowszym projektem ustawy o transporcie zbiorowym?

– Ten projekt wygląda teraz tak, jakby był pisany jeszcze przed tym dużym przyzwoleniem politycznym dla tematu. Bo ciągle nie jest najlepszy.

Czego w nim brakuje?

– Przypisania transportu do jednego szczebla samorządu. Moim zdaniem powinny być to powiaty, najlepiej dogadujące się między sobą, czasem nawet ponad granicami województwa. Obszary wykluczenia transportowego i generalnie słabego rozwoju gospodarczego to bowiem często obrzeża województw. Problemy tych sołectw trudno zrozumieć z perspektywy stolicy województwa.

Nie podoba mi się też przedziwny mechanizm, że plan transportowy robi sejmik województwa, a wdrażają go powiaty. To niezbyt motywujące, jeśli jeden decyduje, jak drugi wydaje pieniądze. Uważam poza tym, że prawo powinno dawać możliwości, a nie przesądzać o jakimś jednym słusznym modelu. Nie podoba mi się rozwiązanie, że służby publicznej (czyli takiej, gdzie usługi są wykonywane przez prywatnych przewoźników, ale na podstawie umowy z samorządem – przewoźnicy otrzymują wtedy od samorządów dopłaty do ulg ustawowych dla pasażerów –



przyp. red.) w transporcie ma być 70%, a przewozów „komercyjnych” (czyli wykonywanych przez przewoźników bez umowy z samorządem, jedynie na mocy zezwolenia na realizację tego typu usług) maksimum 30%.

Istnieje tzw. klin wykluczenia transportowego, który sięga od Podlasia po województwo łódzkie.

Bo na innym obszarze może być inna potrzeba?

– Tak. Rozmawiałem o tym np. z dyrektorem Departamentu Dróg i Publicznego Transportu Zbiorowego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podkarpackiego. On chciałby dokontraktować najwyżej 30% przewozów w ramach umowy z samorządem, a resztę zostawić

przewoźnikom tzw. komercyjnym – bo akurat na jego terenie jeżdżą nieźle. Czyli zupełnie odwrotnie, niż próbujemy narzucić z Warszawy.

Natomiast rzeczywiście pieniądze powinny motywować samorządy do osiągania generalnego celu, który musimy nazwać po imieniu. Nie wystarczy więc mówić o białych plamach – trzeba precyzyjnie powiedzieć, co to jest biała plama, i przyznawać pieniądze tym, którzy je eliminują. Oczywiście poprzez konkursy.

Czym dla pana są białe plamy?

– Dla mnie to sołectwa, z których w każdy dzień roboczy nie można dojechać na osiem godzin do pracy w najbliższym ośrodku, w którym praca jest względnie dostępna, i potem z niej wrócić. Ale jestem otwarty na inne definicje.

Czy w tej chwili konkurencja między przewoźnikami się sprawdza?

– Ma swoje ułomności, które można eliminować. Samorządy od lat narzekają, że nie mają nadzoru nad konkurencją, możliwości jej regulacji. I jeżeli np. do Krakowa wjeżdża mnóstwo dymiących busów, dobrze byłoby móc żądać, aby to były duże autobusy, spełniające normy ekologiczne.

Takie rozwiązanie nie byłoby droższe?

– Okazuje się, że wcale nie, bo w tzw. modelu busowym mnóstwo pieniędzy pochłaniają wynagrodzenia kierowców, których na rynku brakuje. W większym autobusie ten kierowca obsługuje więcej pasażerów. Teraz zaś mamy taki model, że ludzie przychodzą na przystanek i wsiadają do tego busa, który pierwszy przyjedzie. Przewoźnicy zatem, by się utrzymać, muszą jeździć z dużą częstotliwością, pogłębiając problem smogu.

Bez regulacji mamy więc dziką dżunglę.

– Tak. Prawo musi dawać narzędzia do regulowania, ale nie zmuszać do jakichś konkretnych rozwiązań. Czasem wcale nie jest najlepiej, kiedy autobus jeździ według z góry ustalonego i sztywnego rozkładu. Za naszą zachodnią granicą na obszarach, gdzie z transportu korzysta

▶ mało ludzi, jest opcja busików na życzenie. Autobus jedzie np. o godz. 6 rano i o 14, a potem jeden z autobusów już tylko czeka. I jeśli są pasażerowie, to jedzie. Może jeśli ludzie zobaczą, że mają taką usługę, zaczną rezygnować z samochodu i przetransportować się to w regularny system? To daje ofertę bez konieczności robienia kilometrów na pusto, czego boją się przewoźnicy i samorządy.

Obszary wykluczenia transportowego i słabego rozwoju gospodarczego to często obrzeża województw.

À propos pieniędzy, czy już wiadomo, jaką kwotę rząd przeznaczy na poprawę dostępności komunikacyjnej?

– Najnowszy projekt zakłada dofinansowanie w wielkości 800 mln zł, ale nie więcej niż 1 zł do kilometra, pod warunkiem że przewoży są objęte służbą publiczną, czyli umową z samorządem określającą prawa i obowiązki przewoźnika.

Proszę przypomnieć, jak mają działać te dopłaty.

– To mechanizm w pewnym stopniu przeniesiony z PRL i nie jest on najlepszy. Przewoźnicy mają stałą dopłatę – rząd obiecuje teraz złotówkę – do każdego przejechanego kilometra.

Dlaczego nie jest najlepszy?

Przewoźnikom nie będzie to się opłacało?

– To zależy. Są połączenia, które będą rentowne dzięki tej złotówce do kilometra, i takie, które nie będą. Nie ma jednak jasnych kryteriów, jakiego typu połączenia są priorytetem. Dlatego spodziewam się raczej wzmocnienia linii dobrych, ale i tak nierealizujących celów społecznych (np. Warszawa-Płońsk-Płock), a nie rzeczywistego docierania do dziś po-

mijanych sołectw. Nikt nie zadaje sobie jednak pytania, które połączenia najlepiej zrealizują cele gospodarcze. Czasami lepiej byłoby dołożyć 2 zł, a nie złotówkę, aby połączyć obszar, gdzie jest praca, z obszarem, gdzie jej nie ma. Czy dorzucić większe środki tam, gdzie dzieci mogłyby jeździć do liceum, ale teraz nie mają jak i mieszkają w internacie. A przecież nauczyliśmy się przez ostatnie lata

w UE urządzać konkursy i wymyślać mądre ich kryteria. Mam z jednej strony nadzieję, że ta wiedza będzie tu wykorzystywana, ale z drugiej obawy, że tak się nie stanie.

Z innymi ekspertami z SGH wymyślicie od lat mapy transportowe. Dlaczego Ministerstwo Infrastruktury nie może dać wam tego projektu do zrobienia? Rozwiązanie problemu transportu przecież i tak byłoby ich sukcesem.

– Też się nad tym zastanawiam. My lubimy dialog, robimy seminaria. Na koniec zaś nie balibyśmy się

W modelu busowym dużo pieniędzy pochłaniają wynagrodzenia kierowców. W większym autobusie ten kierowca obsługuje więcej pasażerów.

podjąć decyzji, bo seminariami to można przeżyć całe życie. To jednak kwestia otwartości na zewnętrznych ekspertów. Ale nie chcę w ten sposób lobbować, więc nie wychodzę z takim tematem, bo to byłoby dla mnie niezręczne.

Czy wciąż tzw. lobby busiarzy hamuje zmiany?

– Ja nie jestem przeciwny tzw. busiarzom. To są prywatni przedsiębiorcy, którzy w niektórych regionach robią kawał dobrej roboty. Natomiast ten rynek wymaga nadzoru i regulacji. Jeżeli tych przewoźników będzie dwa razy więcej, również dla kierowców (i menedżerów) będzie więcej pracy. Żebyśmy tylko nie upaństwowili rynku, to i dla przedsiębiorców będą zlecenia. W efektywność państwowych firm nie wierzę. Badałem to w swoim doktoracie.

Kiedy ma być gotowy projekt ustawy o transporcie publicznym?

– Mówiono, że zaraz. Ale podczas naszego ostatniego seminarium pojawiały się wypowiedzi, że do końca roku.

No cóż, czas leci tak szybko...

– Boję się, że zanim powstanie „główna” ustawa o transporcie publicznym, będzie gotowa dodatkowa ustawa o finansowaniu transportu publicznego. Istnieje zatem ryzyko, że jeśli pieniądze pojawią się przed wdrożeniem nowego systemu, pójdą na dofinansowanie tego, co już jest. I z przedsiębiorstwa busowego będzie można sobie postawić nowy dom, ale wykluczenia nie zlikwidujemy.

Jakie ma pan więc ogólne nastawienie do tego projektu?

– Jestem już trochę zmęczony. Dużo się o tym mówi. Chętnie bym nawet społecznie coś przy tym porobił, a nie tylko – z całym szacunkiem – odpowiadał na pytania dziennikarzy. Teraz to, co robię, jest tylko takim trochę lobbowaniem, może ktoś coś usłyszy, w czymś się utwierdzi, a koniec końców decyzje zapadają gdzie indziej.

Oczywiście do tego dochodzi kwestia narastającego konfliktu na linii rząd-samorządy. Teraz on się zaostriżył, ponieważ PiS liczyło, że będzie rządziło w samorządach w większym zakresie.

Czyli tym bardziej rząd PiS jest negatywnie nastawiony do samorządów.

– Wiadomo, o co chodzi, ale szkoda gadać.

Anna Brzeska

My, pasażerowie, żądamy

1. Przywrócenia zlikwidowanych połączeń autobusowych i kolejowych do małych miejscowości. Miliony z nas nie mają czym dojechać do pracy, szkoły i lekarza.
2. Internetowego rozkładu jazdy, w którym w jednym miejscu dowiemy się o godzinach kursowania wszystkich autobusów i pociągów. To możliwe i działa np. w Czechach.
3. Wspólnych biletów obowiązujących we wszystkich środkach transportu publicznego na terenie wybranej gminy, powiatu lub regionu. To możliwe i działa np. w Holandii.

Petycję tej treści, skierowaną do premiera, parlamentarzystów i prezydenta, można podpisać do 27 marca na stronie internetowej www.lepszytransport.pl.

Z Galicji



Jan Widacki

PSYCHOTERAPIA NARODOWA

O powiadano kiedyś dowcip o jegomościu, który cierpiał na impotencję. Ta niemoc doprowadziła go do depresji. Przyjaciół, któremu się zwierzył ze swoich problemów, polecił mu wizytę u lekarza. Kiedy spotykają się znów po kilku tygodniach, przyjaciel widzi, że druh niedawno pogrążony w depresji tryska radością i chęcią życia. „Byłeś u lekarza?”, pyta. „Byłem u psychoanalityka!”. „I co? Pomogło? Już nie jesteś impotentem?”. „Impotentem jestem nadal, ale jestem z tego dumny!”.

Dowcip taki sobie. Ale prawdziwy. Zapewne oburzają się na mnie psychoanalitycy i psychoterapeuci, że z nich drwię. Niestęśnie. Z nikogo nie drwię, a psychoterapia, z grubsza rzecz biorąc, na tym właśnie polega. Polega na leczeniu kompleksów.

W przypadku bohatera naszego dowcipu można było zapewne leczyć impotencję. Gdyby leczyć ją skutecznie, usunięto by źródło kompleksów i w końcu depresji. Można też było, pozostawiając przyczynę kompleksów, poprawiać samopoczucie delikwenta.

Z narodem jest jak z tym delikwentem. Ma różne słabości, a ich świadomość rodzi kompleksy. W tym przypadku także są dwie drogi terapii. Można słabości usuwać, a tym samym usuwać zrodzone z nich kompleksy. To zadanie trudne, czasochłonne, kosztowne, dla pacjenta nieraz bolesne, ale dające nadzieję na wyzdrowienie. Łatwiej jednak prowadzić swoistą narodową psychoterapię.

Jako naród mamy mnóstwo kompleksów. Jesteśmy ubożsi niż społeczeństwa zachodnie, nasza nauka nie może dogonić nauki w przodujących krajach, słabo znamy języki i trudno nam się dogadać za granicą, mamy rozmaite zapóźnienia cywilizacyjne, mamy opinię pijaków, a w dodatku różne, niekoniecznie piękne, epizody w historii (tymi pięknymi już dawno zdążyliśmy się pochwalić). W zestawieniu ze światem zachodnim, który po otwarciu granic stał się nam dobrze znany, wstyd było się przyznać do ksenofobii, nietolerancji, nacjonalizmu.

Wszystkie te kompleksy im bardziej i głębiej skrywane, tym bardziej nas frustrują. Każdy, kto się czuje odpowiedzialny za naród, a więc jego elita, a już na pewno rządzący, powinien dążyć do usunięcia przyczyn kompleksów. Stawiać na naukę i edukację, otwierać się na

świat, wspierać innowacyjność, tępić narodowe wady, umacniać praworządność, rozliczyć się z historią, piętnować nietolerancję, ksenofobię, nacjonalizm. Od 30 lat nikt nam tego nie broni. Jesteśmy wolni. Ale to pociąga za sobą koszty. Nie tylko materialne.

Można też wybrać inną drogę. Mniej męczącą. Można, jak w koszmarnej bajce, wszystkie wady ogłosić cnotami. Nie znasz języków? Co z tego? Niech inni się uczą polskiego! Wstydzisz się swojego zacofania, swojej zaściankowości? Niepotrzebnie. To nie zacofanie, to trwanie przy odwiecznych wartościach! Porównujesz się do innych i obawiasz się, że jesteś gorszy, więc chcesz podjąć wysiłek, by być lepszym? Po co? Ty już jesteś lepszy! To oni są gorsi od ciebie! Oni są zdegenerowani. Kibole to nie rozwyrzone prymitywy, ale wzorowi patrioci, podobnie jak fanatyczni narodowcy, jawnie nawiązujący do faszyzmu. Chcesz przeprosić za winy przodków? Jakie winy? My zawsze byliśmy tymi dobrymi, tymi szlachetnymi. Tylko nam robiono krzywdę przez wieki, my nigdy nikomu. Ani się ważyć przeproszać! Wstań z kolan!

No to wstajemy. Dziś ok. 40% społeczeństwa zachwyca się postęпами narodowej psychoterapii. Nie trzeba już się pilnować, by nie ujawnić nacjonalistycznych poglądów, nie trzeba się wstydzić antysemityzmu, udawać, że się jest tolerancyjnym. Koniec z lewacko-liberalną poprawnością polityczną! To, czego dotąd należało się wstydzić, dziś jest powodem do chwały.

Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że przestaliśmy gonić stare demokracje zachodnie, że staczamy się na margines Europy. Zadowoleni z siebie rujnujemy instytucje demokratycznego państwa prawa, szkielet każdej demokracji. Oddalamy się od wartości zachodnich. Zbliżamy się coraz bardziej do Wschodu, którym skądinąd przy każdej okazji demonstracyjnie gardzimy.

Kołtun polski rośnie. Specyficznie polski. Nawet miał nazwę, która w didaskaliach państwa PiS brzmi prawie patriotycznie: *plica polonica*. Jeszcze trochę, a uwierzemy, że świat nam tego kołtuna zazdrości. Prezes państwa jest także naczelnym psychoterapeutą narodu. Chyba nawet dlatego właśnie został tym prezesem, że znał prawidła psychoterapii.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

SŁOWACY STAWIAJĄ NA SŁOWACZKĘ

Zuzana Čaputová coraz bliżej prezydentury

Łukasz Grzesiczak

Korespondencja z Bratysławy

Pierwsza tura wyborów prezydenckich na Słowacji obyla się bez niespodzianek. Niektórych mogła co najwyżej zaskoczyć skala zwycięstwa Zuzany Čaputovej, która zdobyła ponad dwa razy więcej głosów niż jej kontrkandydat. Do ostatniej chwili decydowało się także, kto zmierzy się z nią w drugiej turze zaplanowanej na 30 marca.

16 marca do urn poszło 48,7% uprawnionych, a Čaputová zdobyła 40,6%. Ta liberalna prawniczka jeszcze rok temu była na Słowacji w zasadzie nieznana. Dopiero w 2017 r. zaangażowała się w politykę i przystąpiła do partii Progresywna Słowacja, której została wiceprzewodniczącą. O zamiarze kandydowania

Liberalna prawniczka jeszcze rok temu była na Słowacji w zasadzie nieznana.

na prezydentkę poinformował w maju 2018 r. Wcześniej zajmowała się działalnością społeczną. W podbratysławskiej miejscowości Pezinok walczyła przeciwko powstaniu nielegalnego wysypiska śmieci, za co otrzymała Nagrodę Goldmanów, nazywaną Zielonym Noblem. W roku 2017 Čaputová wraz ze stowarzyszeniem obywatelskim Via Iuris zaangażowała się w walkę o zniesienie amnestii wprowadzonych przez byłego premiera Vladimíra Mečiara. Złożyła w Radzie Narodowej petycję z 76 tys. podpisów – miesiąc później parlament zniósł amnestie. Według dziennika „Sme” była to największa akcja zbierania podpisów w historii Słowacji.

W drugiej turze Zuzana Čaputová zmierzy się z Marošem Šefčovičem,

który dostał 18,7% głosów. Ten ceniony również w świecie dyplomata i urzędnik europejski obecnie pełni funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej ds. unii energetycznej. Proeuropejski kandydat, który otrzymał poparcie rządzącej socjaldemokratycznej partii Smer, zmuszony był szukać głosów u konserwatywnych i populistycznych wyborców. Podczas kampanii prezentował się w spotach jako zagorzały katolik na tle żony bijącej mięso na kotlety i w tej nowej roli wypadł nienaturalnie. Słaby wynik pokazuje, że łątka Smeru przeszkodziła mu w walce o głosy euroentuzjastycznych wyborców, a jego proeuropejskie poglądy zniechęciły wyborców populistycznych.

Ci oddali głosy na któregoś z kandydatów populistycznych i skrajnie prawicowych. Poparł ich co czwarty głosujący. Trzeci wynik (14,4%) otrzymał prawnik Štefan Harabin, a czwarty (10,4%) zdobył neofaszysta Marian Kotleba, szef zasiadającej w słowackim parlamencie Ludowej Partii Nasza Słowacja.

Pozostali kandydaci uzyskali 5,7% poparcia i mniej. W zasadzie nie powinni zajmować myśli ani polskich czytelników, ani słowackiej opinii publicznej. Poza Bélą Bugárem (3,1%) z konserwatywno-liberalnej partii Most-Híd działającej na rzecz pojednania i współpracy słowacko-węgierskiej. Choć Bugár jest w koalicji rządowej ze Smerem, zapowiedział, że w drugiej turze poprze Čaputová.

Wydaje się jednak, że wszystko jest już rozstrzygnięte. Zuzana Čaputová zmierzy się w bezpośrednim starciu ze Šefčovičem, a nie z Harabinem. Zdecydowało o tym 4,3 pkt proc. Gdyby Harabin zajął drugie miejsce, z pewnością przejąłby głosy wyborców Kotleby i mógłby z powo-

dzeniem powalczyć o głosy oddane na kandydata Smeru. Harabin podejrzewa fałszerstwo i wzywa członków komisji wyborczych do ujawnienia jego skali, ale pamiętając, ile razy mijał się z prawdą podczas kampanii wyborczej, trudno jego apele traktować poważnie. W obecnej sytuacji trudno też sobie wyobrazić, by wyborcy antysystemowi, populistyczni i antyeuropejscy poparli brukselskiego urzędnika. Skoro alternatywą jest 45-letnia rozwódka, która oficjalnie przyznała, że jest zwolenniczką małżeństw jednopłciowych i adoptowania przez nie dzieci, prawdopodobnie pozostaną w domu.

Zwolennicy Čaputovej pozostają jednak ostrożni i nie chcą chwalić dnia przed zachodem słońca. Podobnie jak sama kandydatka, która nie ustaje w walce o głosy.

– Nikt nie może być pewien, że wygra Zuzana Čaputová. Mamy jednak szansę, ta daje nadzieję, a to najważniejsze – mówi Magda Vášáryová, była aktorka, dyplomata i polityczka. Vášáryová, podobnie jak większość osób, z którymi rozmawiam w sztabie Čaputovej, nie chce deprecjonować wyborców, którzy oddali głos na populistów. – Myślę, że nie możemy wszystkich wyborców Kotleby i Harabina mieć za „neoludaków”, „mečiarowców” czy „neofaszystów”. Musimy próbować porozumieć się z nimi, jak powiedziała Čaputová, komentując wyniki głosowania w pierwszej turze – uważa. I dodaje: – Słowacja od 1990 r. cały czas walczy o to, gdzie będzie należeć. Na szczęście nasze organizacje pozarządowe są bardzo silne i obserwuję młodą, aktywną generację.

Zuzana Čaputová prawdopodobnie będzie nie tylko pierwszą słowacką prezydentką, ale i kobietą, która pogrzebie Smer. Partia, którą w 1999 r. założył Robert Fico, opuszczając



Robert Fico ze Smerem od kilkunastu lat w zasadzie nie przegrywał, a jeśli już, po porażce wracał jeszcze silniejszy. Wydawało się, że jego gwiazda zgaśnie po przegranej drugiej turze wyborów prezydenckich w 2014 r., w której zdobył jedynie 40,61%. Wtedy to nikomu wcześniej nieznanemu filantrop i biznesmen Andrej Kiska został prezydentem Słowacji. Kiska przez lata był najpopularniejszym słowackim politykiem, chadeckie poglądy łączył z silnym proatlantyckim kursem. Lubiany był także za granicą; politolog prof. Michał Kubát z Uniwersytetu Karola w Pradze żartuje, że Kiskę bardzo ceniono w Czechach. – Kiedy w 50. rocznicę inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację prezydent Czech Miloš Zeman nie zdecydował się wygłosić orędzia, Czeska Telewizja transmitowała orędzie prezydenta Kiski. Prezydent Słowacji jest takim zastępczym prezydentem dla wszystkich Czechów, którzy nie mogą znieść Zemana – tłumaczy Kubát.

ze względów ambjonalnych Partię Lewicy Demokratycznej, w ostatnich latach była hegemonem na scenie politycznej. Smer rządzi do dziś od 2006 r., z krótką przerwą na lata 2010-2012.

– Smer nie jest partią o silnej podbudowie ideologicznej. To typowa partia władzy – tłumaczy dr Juraj Marušiak, politolog ze Słowackiej Akademii Nauk. Przypomina, że u źródeł powstania tej formacji był pragmatyzm, a nie ideologia. Ta pojawiła się w 2004 r., kiedy ze słowackiej sceny politycznej zniknęła Partia

Zuzana Čaputová nie ustaje w walce o głosy.

się mocno proputinowsko – twierdzi Marušiak i przypomina, że w ubiegłym roku ze Smeru odszedł były minister kultury Marek Mačarič. Od tego czasu koalicja ma kruchą większość jednego posła, a Smer jest silnie uzależniony od grupki prorosyjsko zorientowanych posłów niezależnych. W zasadzie wcześniejsze wybory wiszą na włosku. Nie ma tylko jasności, czy Smerowi by się opłacało. Marušiak sądzi, że Smer,

Kiska od początku prezydentury wszedł w zware z premierem Ficą. Jednak ten ostatni przez długi czas był górą. Kisce, mimo zapowiedzi, nie udało się zbudować własnego zaplecza politycznego, nie mówiąc już o własnym ugrupowaniu. Raczej ograniczał się do funkcji reprezentacyjnych, spotkań, pilnowania żyrandola i coweekendowych lotów do Popradu, gdzie zdecydowała się pozostać na czas prezydentury jego żona. Ostatecznie zadeklarował, że nie wystartuje w kolejnych wyborach prezydenckich. Ponoć z powodów rodzinnych. Plotki o takiej ewentualności krążyły po Bratysławie od dawna, budząc popłoch wśród przeciwników Ficy. Zdawało się, że skoro Kiska się wycofał, to właśnie Fico zostanie nowym lokatorem pałacu prezydenckiego.

Kto mógł wtedy wiedzieć, że w 2018 r. Słowację ogarnie kryzys polityczny. Był on wynikiem zamordowania dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej archeolożki Martiny Kušnírovej. Przed śmiercią Kuciak pracował nad

Faworytka wyścigu prezydenckiego jest zwolenniczką małżeństw jednopłciowych i adoptowania przez nie dzieci.

Lewicy Demokratycznej. – Smer postanowił, że zajmie jej miejsce i będzie pełnił funkcję demokratycznej lewicy. Należy pamiętać, że ta decyzja zapadła w kierownictwie Smeru, a nie w partyjnych dołach. Smer jest dziś bardzo mocno uzależniony od elektoratu narodowego, zwłaszcza po ostatnim kryzysie politycznym musi ściślej współpracować ze Słowacką Partią Narodową. Ta orientuje

któremu po ostatnim kryzysie politycznym udało się wreszcie ustabilizować poparcie na poziomie 20%, na wcześniejszych wyborach mógłby skorzystać. Innego zdania jest Samuel Marec, publicysta m.in. „Denníka N”. Uważa on, że Smer i jego koalicjanci należą do przeszłości słowackiej polityki i zrobią wszystko, by rządzić do końca kadencji, którą zaplanowano na 2020 r.

► tekstem dotyczącym defraudacji funduszy unijnych na wschodzie kraju, w którą zamieszani byli działacze Smeru.

Zaczęły się protesty. Na ulice wyszło wtedy ponad 100 tys. osób. Manifestanci żądali, by do dymisji podał się Robert Kaličák, ówczesny minister spraw wewnętrznych. Co prawda, Słowakom nie udało się doprowadzić do wcześniejszych wyborów parlamentarnych, ale upadł rząd. Ta sama koalicja parlamentarna powołała nowy, już bez Kaličáka i Ficy. Tego ostatniego zastąpił ekonomista Peter Pellegrini, choć wszystko wskazuje, że w rzeczywistości z tylnego siedzenia nadal rządzi Fico, który pozostał szefem partii.

Kryzys polityczny wzmocnił siły proeuropejskie, wyprowadził ludzi na ulice, co zbudowało poczucie wspólnoty i wyznawania podobnych wartości. Narodził się proeuropejski i prodemokratyczny ruch Za Przyzwoitą Słowację. Paradoksalnie protesty zmusiły Smer do zwrócenia się w kierunku elektoratu populistycznego i bardziej konserwatywnego. Naturalnie Fico jest technokratycznym bezideowym politykiem partii władzy, który inną twarz pokazywał słowackim wyborcom, a inną w Brukseli, ale trzeba uczciwie przyznać, że przed zabójstwem dziennikarza Słowacja uchodziła za prymusa Europy Środkowej. Jako jedyne państwo z Grupy Wyszehradzkiej wprowadziła euro, deklarowała, że chce należeć do ścisłego jądra UE. Kryzys polityczny sprawił, że Fico o organizację antyrządowych protestów oskarżył George'a Sorosa i chcąc lub nie przeformułował słowacką politykę w kierunku prokremlowskim.

Robert Fico popełnił potem – być może największy w karierze – polityczny błąd. Kiedy w sąsiednich Czechach nikogo nie dziwił socjaldemokrati startujący z hasłami antyimigranckimi i antyeuropejskimi, postawił na brukselskiego urzędnika, którego euroentuzjastyczna liberałka obeszła z lewej, a antyeuropejcy populiści z prawej strony. Wiele wskazuje na to, że Zuzana Čaputová, Štefan Harabin i Marian Kotleba przejdą do historii jako grabarze słowackiej socjaldemokracji.

Łukasz Grzesiczak

Jakub Katulski

Izraelczycy 9 kwietnia pójdą do urn w atmosferze skandali politycznych i populistycznej walki o tron. Po raz kolejny wybory odbywają się przed końcem kadencji parlamentu, co w Izraelu stało się niemal tradycją. Powodem przedwczesnych wyborów zarówno w poprzednich latach, jak i w tym roku był rozpad koalicji rządzącej. Na tegorocznych jednak kładą się cieniem nie tylko zakulisowe konflikty między partiami prawicowej koalicji, ale również skandal korupcyjny, w który jest uwikłany premier Benjamin Netanjahu.

EIZE BALAGAN!

Krótki przewodnik po izraelskich wyborach parlamentarnych

Głównym powodem rozpadu koalicji w listopadzie ub.r. była rezygnacja ministra obrony Awigдора Liebermana, przewodniczącego partii Jisrael Betenu (Nasz Dom Izrael). Ten urodzony w Kiszyniowie absolwent Państwowego Uniwersytetu Rolniczego Mołdawii i były bramkarz w klubach nocnych jest kojarzony jako lider Żydów z krajów byłego Związku Radzieckiego, którzy przybyli do Izraela tłumnie po roku 1990. Lieberman jest zwolennikiem jastrzębiej koncepcji polityki zagranicznej i często krytykuje Netanjahu za zbyt łagodne postępowanie z Hamasem w kolejnych konfliktach ze Strefą Gazy.

W listopadzie ub.r. doszło do krótkotrwałej wymiany ognia między Izraelem a Hamasem. Kiedy po dwóch dniach dzięki mediacjom egipskiej delegacji nastąpiło zawieszenie broni, Lieberman oskarżył premiera o „kapitulację wobec terroru”. Jego zdaniem izraelska odpowiedź na ostrzał ze Strefy Gazy była zbyt słaba, a „terroryści nie powinni czuć, że mogą swobodnie protestować przy granicy”. W efekcie osłabienia koalicji rządzącej zdecydowano się na wcześniejsze wybory, dzięki którym na nowo udałoby się zmontować sojusz mię-

dzy istotnymi partiami izraelskiej sceny politycznej.

NIEBIESKO-BIAŁA KOALICJA Z GENERAŁEM

Tym razem pojawił się jednak nowy gracz, który może zagrozić Likudowi i nieco odświeżyć lokalną politykę. Prokurator generalny Awichaj Mandelblit zdecydował się oskarżyć urzędującego premiera w trzech różnych sprawach korupcyjnych, związanych z przekupywaniem mediów w celu uzyskania lepszej prasy, jak również przyjęciem łapówek w postaci szampana i kubańskich cygar o łącznej wartości ok. 200 tys. dol. Netanjahu jest też zamieszany w aferę związaną z nabyciem przez Izrael trzech łodzi podwodnych od koncernu ThyssenKrupp. Bliscy współpracownicy i krewni premiera mieli lobbować na rzecz niemieckiej firmy w resorcie obrony. Przewodniczący Likudu nie jest w tej sprawie oskarżonym, chociaż śledczy przyglądają się jego powiązaniom. Sprawa nabrała rumieńców w lutym tego roku, kiedy się okazało, że Netanjahu sam był wcześniej udziałowcem GrafTech International, jednego z głównych dostawców stali dla ThyssenKrupp.





Koalicja Niebiesko-Biała kontra Likud i przyjaciele. Nz. od lewej: Mosze Ja'alon, Beni Ganc, Jair Lapid i Gabi Aszkenazi oraz Itamar Ben Gvir, Benjamin Netanjahu, Bezalel Smotrich.

Z tych skandali niemal nagle wyłonił się Beni Ganc, były szef sztabu Cahalu (Sił Obrony Izraela), który zdecydował się przeciwstawić korupcji w rządzie i w grudniu sformował partię Hosen Lelsrael (w wolnym tłumaczeniu – Odporność Izraela). Ganc może być nowicjuszem na scenie politycznej, ale wielu Izraelczyków go zna i darzy zaufaniem z racji jego służby wojskowej w randze generała porucznika. To w nim nadzieje pokładają ci wyborcy, którzy chcieliby stabilizacji politycznej i przełamania impasu w długotrwałym konflikcie izraelsko-palestyńskim.

W lutym Ganc zdecydował się połączyć siły z prowadzoną przez byłego ministra finansów Jaira Lapida partią Jesz Atid (Jest Przyszłość) prezentującą poglądy centrystyczne i skupiającą się głównie na aspektach społecznych. Lapid promuje poglądy, z którymi sympatyzują progresywni Izraelczycy, otwarcie mówiąc o potrzebie równości wszystkich obywateli, łącznie z wprowadzeniem obowiązku służby wojskowej ultraortodoksyjnych Żydów, którzy cieszą się w kraju wieloma przywilejami wynikającymi z ich przynależności religijnej. Wraz z Gancem mówi także o konieczności powrotu do negocjacji pokojowych z Palestyńczykami, których efektem miałyby być powstanie niezależnego państwa na Zachodnim Brzegu. Ganc i Lapid zdecydowali się nazwać swoją koalicję wyborczą od barw izraelskiej flagi – Kahol Lavan (Niebiesko-Biali).

Według sondaży żadna partia nie ma jednak szans na samodzielne rządzenie. Z ordynacji wyborczej wynika, że krajem będzie rządzić to ugrupowanie, które zdobędzie przynajmniej 61 miejsc w 120-osobowym parlamencie. Sprawę w pewnym sensie komplikuje fakt, że Izraelczycy głosują nie bezpośrednio na swoich przedstawicieli, ale na partie, które przedstawiają listy proponowanych postów. Z tego powodu jest istotne, by partiom przewodniczyły osoby charyzmatyczne, mogące być lokomotywami wyborczymi całych list. Niektóre partie decydują się na organizowanie

Izraelczycy 9 kwietnia pójdą do urn w atmosferze skandali politycznych i populistycznej walki o tron.

praw wyborów, w których członkowie mogą wybierać nazwiska, jakie mają się pojawić na listach. Do nadchodzących wyborów startuje niemal 50 ugrupowań, ale liczy się jedynie dziesiątka, jeśli wierzyć badaniom preferencji politycznych. Właśnie od tych mniejszych ugrupowań zależeć będzie sukces i Likudu, i Niebiesko-Białych. Oba okręty flagowe uzyskają prawdopodobnie ok. 30 miejsc w parlamencie. Przywódca partii, która zdobędzie więcej głosów, będzie mógł zbudować koalicję, oferując miejsca w rządzie innym ugrupowaniom.

JASTRZĘBIE Z LIKUDU

Likud tradycyjnie budował swoje portfolio z partii prawicowych i reli-

gijnych, co dla niektórych wyborców stanowiło problem. Chociaż w założeniu jest ugrupowaniem świeckim, musiał dzielić gabinet z partiami o poglądach nacjonalistyczno-religijnych. Wśród partii, które zapowiedziały chęć utworzenia koalicji z Netanjahu, znalazło się ugrupowanie Ocma Jehudit (Żydowska Siła) odwołujące się do dziedzictwa kontrowersyjnego rabina Meira Kahanego. Partia jest często określana jako antyarabska i ultranacjonalistyczna, a jej korzenie wywodzą się z utworzonej przez Kahanego grupy Kach, zdelegalizowanej za ekstremistyczne poglądy. Kach jest dzisiaj uważana za organizację terrorystyczną m.in. przez Izrael, Unię Europejską i Stany Zjednoczone – z wielu powodów, wśród których wymienia się wykorzystywanie materiałów wybuchowych i planowanie zabójstw politycznych.

Najgłośniejszym aktem terroru powiązanim z tym ugrupowaniem był atak Barucha Goldsteina na mułmanów w Grocie Patriarchów w 1994 r., wskutek którego zginęło 29 osób. Z Kach związana była także grupa, do której należał zabójca premiera Icchaka Rabina, Jigal Amir. To dziedzictwo nie przeszkodziło jednak premierowi Netanjahu pomóc Ocma Jehudit w nawiązaniu sojuszu politycznego z HaBajit HaJehudi (Żydowski Dom), by partie miały większe szanse na zdobycie miejsc

w Knesecie. Dla niektórych Izraelczyków udział premiera w negocjacjach między mniejszymi partiami świadczy o tym, że legitymizuje on poglądy, które podzielają wyznawcy rabina Kahanego. Przywódca Ocma Jehudit, Baruch Marzel, w niedawnym wywiadzie dla portalu Jerusalem Post sugerował, że jedyny sposób na osiągnięcie pokoju to wyrzucenie Arabów z kraju. Te poglądy sprawiają, że obie partie religijne nawet w obliczu porażki wyborczej Likudu w żadnym wypadku nie zdecydowały się na koalicję z Lapidem i Gancem, którym bliżej jest do przeciwległego końca politycznego spektrum.

Koalicję z Netanjahu utworzy także HaJamin HaHadasz (Nowa Prawica) – partia powołana przez ministra

► edukacji Naftalego Bennetta i minister sprawiedliwości Ajelet Szaked. Ugrupowanie to ma w obecnym parlamencie trzy miejsca, jednak według sondaży może liczyć nawet na siedem. Ze względu na jastrzębią koncepcję polityki obronnej, otwarty opór wobec powstania państwa palestyńskiego i poparcie dla rozbudowy żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu (nielegalnych w świetle prawa międzynarodowego) nowej partii prawdopodobnie uda się odebrać kilka mandatów ugrupowaniu Awigdora Liebermana, które według części sondaży może się znaleźć poza Knesetem lub otrzymać ledwie

czasu Partia Pracy nie potrafi odbudować zaufania izraelskich gołębi i sympatyków lewicy, a obecnemu przewodniczącemu, przedsiębiorcy Awiemu Gabajowi, brakuje charyzmy legendarnych przywódców Izraela. Dzisiaj elektorat Partii Pracy został w dużej mierze zagospodarowany przez Jesz Atid.

Istotną siłą wśród mniejszych partii jest też Merec (Energia), która celuje w wyborców o bardziej skrajnych poglądach. Merec również odwołuje się do dziedzictwa izraelskiego ruchu robotniczego, wywodząc się z partii Mapam, która budowała kolejne koalicje rządowe wraz z Mapai Ben Guriona.

Do wyborów startuje niemal 50 ugrupowań, ale liczy się zaledwie dziesiątka.

jeden mandat. Podobny los może spotkać centroprawicową Kulanu (My Wszyscy), której prowadzi Mosze Kahlon, minister finansów. Kulanu kieruje ofertę przede wszystkim do sefardyjczyków reprezentujących niższą klasę średnią i priorytetem jest dla niej obniżenie kosztów życia w kraju. Jednak ostatnie kadencje przyniosły wzrost cen mieszkań i podstawowych produktów spożywczych, co przekłada się na spadek zaufania do tej partii. W efekcie z dzisiejszych dziesięciu mandatów prawdopodobnie zostaną jej trzy.

GASNĄCA GWIAZDA PARTII PRACY

W obozie centrolewicowym, poza główną siłą w postaci Niebiesko-Białych, należy zwrócić uwagę przede wszystkim na Partię Pracy, gasnącą gwiazdę sceny politycznej. Dawniej Partia Pracy była niemal synonimem Izraela i to ją pod różnymi postaciami tworzyli tacy politycy jak Dawid Ben Gurion, Golda Meir czy Szimon Peres. Z wszystkich ugrupowań Partia Pracy była najbliższa osiągnięcia ostatecznego porozumienia z Palestyńczykami, do momentu gdy w roku 1995 został zamordowany jej przewodniczący, premier Icchak Rabin, i ponownie pod przewodnictwem Ehuda Baraka przed wybuchem drugiej intifady w roku 2001; w następnych wyborach ustąpiła pola Likudowi, dowodzonemu wówczas przez Ariela Szarona. Od tego

Dzisiaj Merec nie niesie już ideologii marksizmu-leninizmu jak jej poprzedniczka, ale skupia się na konflikcie izraelsko-palestyńskim. Oprócz tego, jak na nowoczesną lewicę przystało, mówi o prawach mniejszości narodowych i seksualnych, rozdzielaniu państwa i religii, problemach środowiska oraz idei państwa opiekuńczego.

Merec i Partia Pracy nie są dużymi ugrupowaniami i każde z nich może liczyć na sześć lub siedem miejsc w parlamencie. Dla Ganca i Lapidę jednak właśnie te partie będą kluczowe w utworzeniu koalicji, chociaż samo to nie wystarczy. Koalicja Niebiesko-Białych w razie wygranej będzie musiała zwrócić się o pomoc również do partii arabskich. W obecnym Knesecie cztery arabskie ugrupowania połączyły się w jeden blok, który w wyborach uzyskał aż 82% wszystkich arabskich głosów w kraju. Tyle że partie arabskie są dla wielu Izraelczyków problematyczne, nie tylko ze względu na oczywiste skupienie się na interesie jednej grupy etnicznej. Naturalne dla ugrupowań arabskich jest poparcie dla dwupaństwowego rozwiązania sporu. Jednocześnie niektórych posłów, takich jak Hanin Zubi, oskarża się wprost o popieranie Hamasu, głównie poprzez kontrowersyjne wypowiedzi i działania na rzecz Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu i w Gazie. Prawicowy elektorat poczynania tych partii uznaje nawet za zdradę stanu.

Sondaże przeważnie sugerują remis głównych partii, ze wskazaniem

na Niebiesko-Białych. Jednak dla głównej siły opozycyjnej prawdziwym wyzwaniem może być nie zwycięstwo w wyborach, ale budowa koalicji mającej przewagę w Knesecie. Matematyka wyborcza oparta na badaniach opinii publicznej sugeruje, że centrolewica i lewica będą wspólnie zmuszone do budowy koalicji z Arabami, którzy zapewne chętnie przystaną na taką propozycję. Problemem stanie się przekroczenie progu 60 posłów, do czego mogą się okazać konieczne niektóre partie z przeciwnego biegu politycznego. Rozsądnym kandydatem wydaje się Kulanu, obecnie w koalicji z Likudem, która w kampanii zapowiada, że jest gotowa na koalicję z każdym. Jednak do zapewnienia trwałej zdolności rządzenia krajem może być niezbędna jeszcze jedna partia, choć kandydaci mogą się okazać nieoczywiści. Wydaje się zatem bardziej prawdopodobne, że to prawicy uda się zbudować koalicję.

USA I POLSKA W KAMPANII

Tegoroczna kampania wyborcza jest dość dynamiczna i kilkakrotnie zmieniała motywy przewodnie. Jednym z nich są zarzuty korupcyjne wobec premiera Netanjahu. Bibi w swoim stylu nie przyjmuje zarzutów, a opozycję oskarża o manipulacje. Każdego przeciwnika politycznego nazywa lewicą, mówiąc, że wywiera ona „bandycką, niemal nieludzką presję na prokuratora generalnego”.

Główny rywal premiera również ma problemy z wizerunkiem z powodu niedawnych przecieków o sekstaśmach i dotyczących bezpieczeństwa narodowego informacji, które miały wypłynąć z jego telefonu zhakowanego przez Iran. Główny zainteresowany zaprzecza tym doniesieniom i zapewnia, że na telefonie nie było żadnych kompromitujących materiałów. W specjalnym oświadczeniu Ganc podkreślił, że problemem o wiele poważniejszym niż jego telefon jest polityka Netanjahu, wynikająca z jego skromnej etyki osobistej.

W kampanii pojawiają się jednak nie tylko lokalne skandale i programy wyborcze. Partie i ich liderzy grają na najniższych populistycznych instynktach i wciągają w to polityków spoza Izraela. Donald Trump informował ostatnio, że gdyby to on kandydował na stanowisko premiera,



Kampania wyborcza osiąga coraz wyższą temperaturę. Nz. Itamar Ben Gvir (z lewej) i Atta Abu Miniem po przesłuchaniu w Sądzie Najwyższym, 14 marca 2019 r.

otrzymałby aż 98% głosów. Nie jest do końca jasne, co chciał osiągnąć tymi słowami, ale amerykańska administracja zdecydowała się również na inny gest. Krótko przed wyborami ma przyjechać do Jerozolimy sekretarz stanu Mike Pompeo, który ma zapewnić o „niesłabnącym poparciu” Stanów Zjednoczonych dla Izraela. W trakcie kampanii wyborczej ten gest może być odczytywany dwójako, ale najprawdopodobniej ma to być dowód przyjaźni z Netanjahu niż generalnie z Izraelem. W końcu Pompeo nie planuje żadnych spotkań z głównymi rywalami premiera.

Netanjahu w kampanię zaangażował także Polskę, grając na najniższych instynktach izraelskiej prawicy. Podczas konferencji bliskowschodniej w Warszawie dał się wciągnąć w pytanie dotyczące współpracy Polaków z nazistami, wprawiając w ruch tę samą maszynę, która wywołała takie poruszenie w relacjach polsko-żydowskich w ubiegłym roku. Chociaż po polskiej reakcji strona izraelska bardzo szybko ogłaszała sprostowania, w taki sam ton uderzył Jair Lapid. Z drugiej strony już po kilku dniach izraelskie media, które nie sprzyjają premierowi Netanjahu, zauważyły, że w świetle tego typu oskarżeń współpraca z rządami polskim i węgierskim, które obecnie w Izraelu są uważane za skrajnie nacjonalistyczne, nie może być uznana za realpolitik. Tego typu populistyczne wypowiedzi w dłuższej

perspektywie nie wpłynęły na sondaże wyborcze, za to wymusiły na organizacjach żydowskich z diaspory rozpoczęcie kampanii potępiającej słowa izraelskich polityków i przeproszającej za krzywdzące wypowiedzi. Zdaje się jednak, że w wirze kampanii już o tych wypowiedziach zapomniano.

Choć w Polsce wzbudziło to ogromne emocje, w Izraelu politycy bardzo szybko przeszli do rozmów o bardziej palącym dla nich problemie, jakim jest zagrożenie ze strony Iranu. Obecny premier może dużo mówić o bezpieczeństwie i prezentować się ze światowymi przywódcami, wśród których są liderzy krajów arabskich. Problem pojawia się, gdy przez przypadek przyznaje się do ukrytych

Prawdziwym wyzwaniem może być nie zwycięstwo w wyborach, ale budowa koalicji mającej przewagę w Knesecie.

działań w Syrii, jak to zrobił przed wylotem do Polski. Sprawa szybko została skomentowana przez Ganca, który zauważył, że to poważne naruszenie poufnych informacji dotyczących działań Cahalu. Udział w konferencji bliskowschodniej w Warszawie miał być przedstawiony przez Netanjahu jako sukces potwierdzający jego zdolności dyplomatyczne, które pomogą Izraelowi pozyskać sojuszników w walce z Iranem. Przez pomyłkę jego kancelaria opublikowała jednak nagranie przedstawicieli Bahrajnu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich

i Arabii Saudyjskiej twardo krytykujących Iran. Nagranie zostało szybko usunięte, gdy okazało się, że pochodziło ze spotkania, które odbywało się za zamkniętymi drzwiami. Liderzy opozycji nie omieszkali skrytykować Netanjahu. Cipi Liwni, była minister spraw zagranicznych współpracująca blisko z Arielem Szaronem, przypomniała premierowi na Twitterze, że politykę zagraniczną należy budować na wzajemnym zaufaniu.

PROKURATOR CZEKA NA NETANJAHU

Obie strony politycznego spektrum starają się grać kartą bezpieczeństwa, co może być trudne. Wyborcy popierający Netanjahu z pewnością doceniają to, że skutecznie bronił kraju w kilku ostatnich konfliktach z Hamasem, nie pozwalając na eskalację i ograniczając liczbę izraelskich ofiar. Z drugiej strony niektórzy mogą oczekiwać bardziej zdecydowanych działań i polityki twardej ręki wobec Palestyńczyków. Dla nich alternatywą są jedynie mniejsze partie prawicowe, które mogą rządzić tylko wspólnie z Likudem. Popierający Ganca zauważają jednak, że tak naprawdę to on jako szef sztabu Cahalu bronił kraju, zawiadując armią. Jego doświadczenie wojskowe może przemawiać do tych wyborców, którzy szukają przetłumaczenia impasu, ale nie chcą ryzykować bezpieczeństwa kraju.

Przy tak wyrównanej kampanii bardzo trudno przewidzieć wynik wyborów i późniejszych rozgrywek koalicyjnych. Jednak niezależnie od ich

wyniku Beniamina Netanjahu w lipcu czekają przesłuchania, które zdecydują, czy zostanie on postawiony w formalny stan oskarżenia. Ehud Olmert, ostatni premier, na którym takie zarzuty ciążyły, ustąpił ze stanowiska. Choć prawodawstwo oficjalnie nie wymaga tego od urzędujących polityków, dla Izraelczyków byłoby dziwne, gdyby Netanjahu zdecydował się dalej rządzić krajem. Dla opozycji byłoby to ostateczne potwierdzenie zepsucia „króla Bibiego”.

Jakub Katulski

www.stosunkowobliskiwschod.pl

NIE BĘDZIE SEKS PLUŁ NAM W TWARZ

Niedługo wywalczą, żeby polskie dzieci nie tylko na edukację seksualną nie chadzały, ale też lekcje biologii opuszczaly – bo tam o ewolucji uczą

Małgorzata Kąkiel

Wara! Wara od naszych dzieci! Polских. Wszystkich – bo wiadomo: wszystkie dzieci są nasze. Znamy takie hasło z dawnych czasów, a jeszcze i Majka Jeżowska śpiewała słowami Jacka Cygana: „Wszystkie dzieci nasze są: / Borys, Wojtek, Marysia, Tom”. No więc wara od naszych, krew z krwi, gen z genu, koź z korzenia, dzieci. Nie, nie cytuję Jarosława Kaczyńskiego, to piszę ja – autorka artykułu.

Rozpętało się medialne piekło po słowach prezesa, który dostał kartę

poświęcony miejscu i znaczeniu rodziny w ludzkim życiu. Autorzy niejednokrotnie podkreślali potrzebę współdziałania zmysłów z psychiką człowieka, tłumaczyli, że warunkiem podjęcia współżycia musi być w miarę dojrzały związek uczuciowy. Oni, ci zbereźni piszący, przypominali, że Kościół katolicki nie akceptuje antykoncepcji ani kontaktów przedmażeńskich i że decyzje w tych sprawach należą do każdej zainteresowanej osoby! Straszne, prawda? Ówczesna prasa katolicka ruszyła do furiackiego ataku. Broniąc polskich dzieci, oczywiście. Na tej fali pojawiły się głosy, że musimy poważnie

bięcia obronnego i programu propeutyki nauki o społeczeństwie. Epidemia jakaś? Oj, raczej prze-myślane działanie. 22 października 1983 r. w Watykanie wydano „Kartę praw rodziny”. Powstała na życzenie wyrażone przez synod biskupów, który odbywał się w Rzymie w 1980 r. i był poświęcony „Zadaniom chrześcijańskiej rodziny we współczesnym świecie”. Zapisane w niej normy „zawsze są profetycznym wezwaniem na rzecz instytucji rodziny, wymagającej szacunku oraz odnowy przed wszelkiego rodzaju uzurpacją”. Obok zapisów wpływających z wiary, czy może raczej



LGBT+ do wgniatania obcasem zdeformowanego buta w ziemię. Pojawiają się przenikliwe głosy, że to wygodny pretekst, strategia – PiS musi jednoczyć wyborców wobec wspólnego wroga, któremu da odpór i szanse narodowej czystości obroni. Zapewne tak, ale nie tylko. Sprawa ma chyba jeszcze kilka den.

Cofnijmy się do schyłku PRL. Jest rok 1987, do szkół trafia podręcznik „Przysposobienie do życia w rodzinie” Wiesława Sokoluka, Dagmary Andziak, Marii Trawińskiej. Niedługo tam był, bo niebawem został wycofany, a większość egzemplarzy zniszczono. Cóż głosiło to bezcenne dzieło? Ano zawierało część dotyczącą życia erotycznego (kilka obrazków pozycji też było!), informację o fazach i mechanizmach rozwoju człowieka, duży fragment

pomyśleć o tworzeniu prywatnych szkół, czy to wyznaniowych, czy bezwyznaniowych, bo – jak zauważył Piotr Wierzbicki w felietonie „Szkolny dom” („Tygodnik Powszechny” 1987, nr 42) – „Nikt już w Polsce nie wierzy w skuteczność państwowego monopolu wychowania młodzieży”. Bogusław Jeznach dodawał z finezją, że inkryminowany podręcznik „poleca właściwie wszystko, co z tej (antykoncepcyjnej – M.K.) dziedziny da się połączyć, nałożyć lub wsunąć, przetykając tekst wdzięcznymi rysunkami dziewczątek, które to czynią” („Słowo Powszechne” 1987, nr 188, tytuł tekstu „Podręcznik masturbacji i defloracji”, nadtytuł „Nieodpowiedzialne eksperymenty oświatowe”).

Mniej więcej w tym samym czasie pojawiły się głosy o konieczności zmiany podręcznika do przysposo-

z przekonania Kościoła (np. że „związki pozamażeńskie nie mogą być stawiane na równi z małżeństwami zawartymi w sposób właściwy”), pojawiają się takie, które ingerują w życie społeczno-polityczne. „Rodzice mają prawo do tego, że ich dzieci nie będą musiały uczęszczać do szkół, które nie zgadzają się z ich własnymi przekonaniem moralnymi i religijnymi. W szczególności wychowanie seksualne, stanowiące podstawowe prawo rodziców, winno dokonywać się zawsze pod ich troskliwym kierunkiem (...). Naruszane są prawa rodziców, gdy państwo narzuca obowiązkowy system wychowania, z którego zostaje usunięta całkowicie formacja religijna”. 7 listopada 1987 r. myśl tę rozwinęło w liście pasterskim biskupów polskich: „Niech więc polska szkoła, tak jak w latach trudnych,

broni tożsamości Narodu, która wyraża się w chrześcijańskiej kulturze i obyczajowości”.

Mamy więc zręby. Za chwilę rozwinie się transformacja, nadejdzie nowe i powieje stare. Nie dotykam spraw szerszych, skupiam się na monstrualnym straszaku – seksie. Pojąć nie można, dlaczego budzi u duchownych taką grozę. Normalna potrzeba, taka jak głód czy siusianie, i jeszcze konieczna do podtrzymywania gatunku. Kościół od wieków otoczył tę sferę życia tabu, sponiewierał, zagroził murem zakazów. I narzucił swoje myślenie. Nikt nie ruszył z obroną „Przysposobienia do życia w rodzinie” (jeszcze dożywała swych dni PZPR, już rosła w siłę solidarność opozycja, także ta liberalna), wszyscy oddali pole Kościołowi – bo częściowo zostali przezeń ukształtowani, a częściowo (i była to część większa) mieli w tym interes polityczny. Dziś prezes wspina się na barykady

Lęk przed seksem można jednak zdjąć i przejść do normalności. Jak? Sięgając po stosowne książki dla dzieci i młodzieży. Od początku XXI w. pojawiło się ich na naszym rynku niemało. Autorzy – polscy i obcy – dokładnie (słowami oraz rysunkami) tłumaczą, jak rozwija się i jak działa układ rozrodczy, jak powołuje się do życia człowiek (albo co zrobić, żeby go nie powołać). Te wykłady medyczne pełne są poważnych słów: macica, plemnik, penis itp., osławiając z zagadnieniem. Rzetelna wiedza – przystępnie podawana, w zależności od wieku czytelnika – odbiera tematowi niezdrową fascynację, wynikającą z półgębkiego poszeptowania na co dzień. Czasem pojawia się łagodny kolokwializm, z rzadka mniej więcej polityczne określenie: „nasienie życia” (plemnik) i „drzwiczki do tajemnego przejścia życia” (pochwa) – Karine-Marie Amiot, Eleonore Della-Malva,

niemiłe i chichoczą. „Najpierw jesteś człowiekiem i w tym człowieczeństwie masz swoją seksualność (...). Powszechna i maszynowa seksualizacja przestrzeni społecznej nikogo do niczego nie zobowiązuje” (Bianca-Beta Kotoro, Wiesław Sokoluk, Izabela Fornalik, „100% mnie, czyli książka o miłości, seksie i zagłuszaczach”). „Z seksem lepiej czekać do 18. roku życia” – bo lepiej będzie przygotowany organizm dziewczyny i większa psychiczna dojrzałość obojga (Jennifer Ashton, „Ściągawki z dojrzewania”). Czy piersi mogą pęknąć, a czy gimnastyka pomoże je powiększyć? („100% mnie. Dorastanie: jak, dlaczego, kiedy?”).

Są też w tych książkach przestrogi przed nieznajomymi w sieci, przed „złym dotykiem”, porady, jak się zachować po gwałcie (najważniejsze – natychmiast opowiedzieć o tym zaufanej dorosłej osobie, zgłosić na policję, przedtem nie myć się, nie prać ubrania). Często powtarza się pouczenie: ofiara nigdy nie jest sama sobie winna! No i dochodzimy do tego, co nazywa się tolerancją wobec odmienności. Młody czytelnik może się dowiedzieć, że nikt nie wybiera sobie orientacji seksualnej i nikt jej sobie nie może zmienić. Homoseksualiści byli od zawsze; u zwierząt również obserwuje się jedнопłciowe związki (Maria Pawłowska, Jakub Szamałek, „Kim jest ślimak Sam?”). A więc odstępstwo od heteroseksualności to żadne zboczenie, którego można się nauczyć w szkole – politycy także mogliby sięgnąć po literaturę dla młodych.

Autorzy nie pomijają problemu adopcji: „Nic w tym nie ma niezwykłego! / Może tylko prócz jednego – / kiedy widzę gdzieś bociany, / to przytulam się do mamy... / I z uśmiechem myślę o tym, / że choć przez bocianie psoty / nigdy mnie nie miała w brzuszku, / wciąż nosiła mnie w serduszkach” (Agnieszka Frączek, „Jeśli bocian nie przyleci, czyli skąd się biorą dzieci”). Nie ukrywają też istnienia osób poczętych dzięki metodzie in vitro (Alicja Długotłęcka, „Zwykła książka o tym, skąd się biorą dzieci”). Uświadamiają, że potrzeby seksualne odczuwają także osoby z zespołem Downa.

Ponieważ w polskich warunkach tego rodzaju książki tworzą niejako drugi obieg, wymienię jeszcze te, o których nie wspominałam wyżej: Grzegorz



Nikt nie ruszył z obroną podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie”, wszyscy oddali pole Kościołowi.

i własną pierś broni dziatki spod znaku orła białego przed demoralizacją, grzechem, no i chyba (skoro to Polacy nieletni) przed pedofilami (ale nie tymi w sutannach). A Rafał Trzaskowski zbiera cięgi za podpisanie deklaracji, która kiedyś wprowadzi do szkół jakieś pogadanki, i to nieobowiązkowe. Przecież edukacja seksualna powinna zostać wpisana do podstawy programowej, a postaw tolerancji musi uczyć każdy nauczyciel (szczególnie polonista, historyk, biolog, o katechetykach nie wspominam, bo nie każde dziecko musi się z nimi stykać). Góra urodziła mysz, tyle że hałasu wiele. W barabany bije znów Kościół, a wszyscy tańczą, jak im zagra.

„Powiedz mi, skąd się biorą dzieci” (wydawca to poznańska oficyna Święty Wojciech).

Wszyscy znani mi autorzy zwracają uwagę na wiele innych oprócz biologii aspektów: psychologicznych, społecznych, kulturowych. Podkreślają np. różnice w dojrzewaniu dziewcząt i chłopców. Te pierwsze szybciej rosną i szybciej poważnieją, ale potem wszystko się wyrównuje. „Dlaczego wszystkie dziewczyny są jędzowate?”. Nie wszystkie – odpowiadają autorki „Odpowiedz mi! Dzieci pytają o intymne sprawy”, Katharina von der Gathen i Anke Kuhl – po prostu nie umieją się zachować w stosunku do kolegów, więc bywają

► Kasdepke, „Horror! Czyli skąd się biorą dzieci”; Thierry Lenain, Delphine Durand, „Zuza chce mieć dzidziusia”, „Czy Zuza ma siurka?”; Anna Zawisła, „Dzidzius w brzuszku, czyli skąd się biorą dzieci?”; Marcin Brykczyński, „Skąd się biorą dzieci?”; Nathalie Bélineau, Emilie Beaumont, Sylvie Michélet, „Obrazki dla maluchów. Czekamy na dzidziusia”; dr Christian Jessen, „Przewodnik po dorastaniu”; Andrzej Jaczewski, „Książka dla chłopców”; Sonya Renee Taylor, „Ciało – śmiało!”; Dan Höjer, Gunilla Kvarnström, „Wielka księga cipek”, „Wielka księga siusiaków”; Mònica Peitx, „Kacper dorasta” i „Maja dorasta”. No i jeszcze wyjątkowo dowcipny, napisany z biglem poradnik „Seks dla początkujących” Jasminki Petrović. Nie ma w nim medycznej powagi. Ciocia Rada i ciocia Kłocia nie zapomniaty, co się myślało, czuło i robiło, będąc młodym. Toteż rozumieją, że na pierwszych randkach można się katować niedoróbkami w wyglądzie. Ale co tam, jak kocha, to ani za małych/za dużych piersi nie dostrzeże, a i na zbyt długi/krótki nos oko przymknie. Onanizowanie? Nie

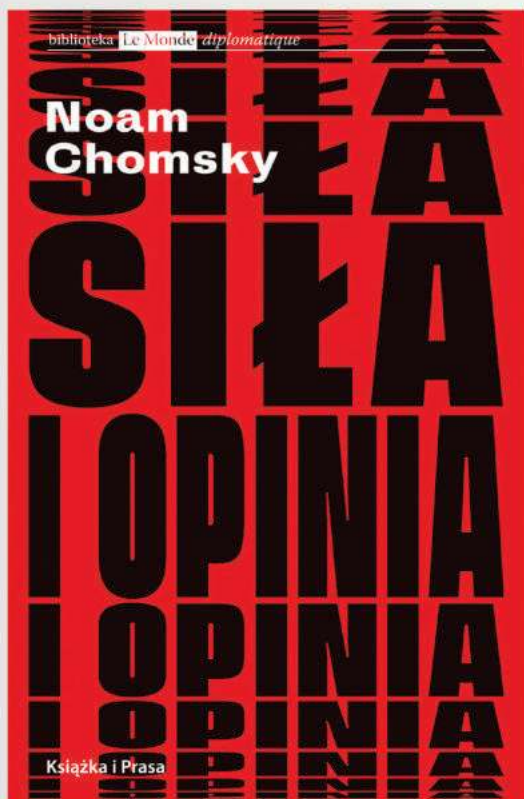
poleca się tym z gipsem na rękach. Antykoncepcja? „Nigdy nie używajcie »pewnych dni«. (...) Zapamiętajcie: »pewnych dni« nie ma”. Ciocie przypominają: seks to radość!

Z pomocą tylu autorów możemy odczarować seks, odbić go Kościołowi. Wara! Wara od polskich dzieci, absolutnie wszystkich! One mają prawo do rzetelnej wiedzy obejmującej różne dziedziny, a przekazywanej na podstawie obowiązującej w kraju podstawy programowej. Przygotowanej w warunkach rozdziału Kościoła od państwa. No ale to wywód na czas pokoju, a tu wojna idzie. Metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski na konferencji „Bitwa o odpowiedzialność”, zorganizowanej przez wspólnotę Mężczyźni św. Józefa, zaatakował rewolucję 1968 r. Zburzyła europejski porządek moralny, „sprawiła, że najistotniejszą wartością jest szukanie przyjemności. Współistnienie między kobietą a mężczyzną zostało pozbawione elementu prokreacji, otwierając tym samym drogę homoseksualnemu lobbingsowi (*sic!*). Konsekwencją tej rewolucji jest wczesna i deprawująca

edukacja seksualna najmłodszych. (...) Rodzice mają prawo protestować przed wszelkimi formami deprawacji w szkołach. Dzieci mają prawo pozostać dziećmi” – chyba że spotkają na swojej drodze pedofila, ale nie będą wiedziały, że to on. I dalej: „Jest potrzebna kontrrewolucja katolicka (...). Konieczna jest mobilizacja mężczyzn, którzy czują się odpowiedzialni za swoją rodzinę i dzieci, które mogą stać się ofiarami wielkiej krzywdy”.

Czaicie tę konspirę? Słyszycie ten szcęk? Chłopy liczą szable, kosy, kłonicie i cepy (premier Morawiecki już umie nimi obracać). „Co kto ma, do ręki brać, / na podwórze wyjść i stać; / tam już ludzie som, / co się sami rwiom”. Niedługo wywalczą, żeby polskie dzieci nie tylko na edukację seksualną nie chadzały, ale też opuszczały lekcje biologii – bo tam o ewolucji uczą – geografii (Ziemia to kula – śmieszne), chemii i fizyki (jak się ma Wielki Wybuch do Księgi Rodzaju?). I to akurat wcale nie jest zabawne. Wszystkim nam ostanie się ino sznur. Wara!

Małgorzata Kąkiel



Siła i opinia

Noam Chomsky

Do nabycia w księgarniach i empikach.
Książkę można zamówić
w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwwip.org
www.monde-diplomatique.pl

Cena 28 zł (w tym 5% VAT)



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

KŁOPOTY Z MYŚLENIEM

Kiedys, dawno, dawno temu, czyli jakieś 40 lat wstecz, gdy w doskonałej formie felietonowej był Andrzej Dobosz, pułstelnik z Nowego Świata, perypatetyk środkowego PRL-u, filozof-maruder-odszczepieniec, nałogowy czytacz i bukiniśta, paryski księgarz polski, legendarny niemożliwy twórca i tworzywo z „Rejsu” Piwowskiego, on ci to skreślił króciutki tekścik, którego tytuł przywołałem w tytule mojego felietonu (z najwyższym szacunkiem, atencją i trwałą sympatią). Pod tymże deprymującym tytułem znajdowała się parozdaniowa opowiadanka, w której byliśmy świadkami podsłuchanej, a raczej zasłyszanej mimochodem rozmowy dwóch kobiet w warszawskim tramwaju. Zaczęło się od frazy: „Najgorzej, proszę pani, to jest z tym myśleniem. Ale ja zbyłam ten problem. Nagotowałam im na trzy dni – niech sobie odgrzewają”. Koniec.

Przez całe lata żyłem w nienaruszonym, niepodważalnym przekonaniu, że ludzką rzeczą jest myśleć, że człowiek, każdy człowiek, to istota myśląca, że właśnie myślenie króluje pośród ludzkich poczynąń, jest powinnością, od której nie ma wymówek, ucieczek, że to czyni nas najbardziej ludzkimi z ludzi. Że bez tego myślenia nie damy rady, skarlejemy, zginiemy, przepadniemy z kretesem, skończymy się, skompromitujemy, polegniemy. I że musimy z całą dostępną nam skromnością pamiętać, kim w tym myśleniu jesteśmy, za Bernardem z Chartres: „Jesteśmy karłami, którzy wspięli się na ramiona olbrzymów. W ten sposób widzimy więcej i dalej niż oni, ale nie dlatego, ażeby wzrok nasz był bystrzejszy lub wzrost słuszniejszy, ale dlatego, iż to oni dźwigają nas w górę i podnoszą o całą gigantyczną wysokość”. Kiedy po stuleciach przywoływano jasne strony średniowiecznych mroków, ta sentencja robiła zawrotną (jak myśleli ci, którzy ją znali i o średniowieczu nowe książki czytali) karierę.

Wydaje się, że dzisiaj z ramion olbrzymów zjechaliśmy w rollercoasterowym tempie szynami internetowych społecznościówek na ziemię i wesoło kukamy wokół, widząc to, co w promieniu kilku metrów od nas: a ja kiedyś widziałem, a ja kiedyś miałem, a ja kiedyś gdzieś słyszałem, a ja kiedyś coś chyba przeczytałem gdzieś u kogoś tam, kimkolwiek on by był lub nie był... A ja, a ja, a ja, a ja... I tyle. Tylko to, co sam zobaczę (co z bardzo rzadka przekłada się na zrozumienie), tylko to, co dotyczy kogoś, kogo znam mniej lub bardziej (co rzadziej) bezpośrednio, wyznacza moje ogarnianie świata. Świat zresztą ma wymiar śladu optycznego, jaki zakreśla krąg naszego omiatającego go wzroku (zakładając, że odrywamy go od smartfona na ułamek dłuższy, niż żeby namierzyć fizyczną przeszkodę na drodze).

Pochłaniamy setki, tysiące, miliony nic nieznaczących komunikatów, pseudonewsów, doniesień bez sensu i bez znacze-

nia, nie wychodzimy z wirtualnego sklepu z obrazami nieprzebranych stosów ciuchów, aut, drobiazgogówien do niczego nam niepotrzebnych. Nad nami pędzą niezauważane spiętrzone chmury, wałęsają się ścinane w maniackim szale stare drzewa, szemrzą słowa udające wypowiedzi. Otacza nas bezczelne kłamstwo z doklejonym na stałe fałszywym uśmiechem. Jesteśmy klientami, tylko nimi, tylko jeśli jesteśmy wypłacalni, a jeśli przestajemy być, to marzymy o powrocie do kolejki po coś, cokolwiek, co na powrót klientów z nas uczyni.

Wśród towarów nie ma wymyślnych pudeł z myśleniem. Nie ma miejsc, gdzie myślenie się wydarza, gdzie się zdarza myśl z inną, gdzie wykluwa się nowa, odmienna, bardziej wyjaśniająca. Ale może nie musi tak być, może to złudzenie, że każdy powinien myśleć, bo człowiek to itd. Ale zostajemy wtedy wrzuceni w świat całkiem bezbronni, jak niemowlęta, które nie przeżyłyby bez opieki starszych.

Człowiek to odmienny ssak, który za swoją potencję myślenia zapłacił cenę paroletniej bezbronności poza stadem. Rodzimy się wcześniakami, w odróżnieniu od innych ssaków, bo mamy za dużą głowę (teoretycznie do myślenia). Cywilizacyjnym problemem staje się to, że coraz rzadziej dostajemy

cywilizacyjną wyprawkę pozwalającą nam spokojnie, stabilnie przeżyć dobrze życie.

Opowieść o świecie, zależ-

nościach, konsekwencjach czynów i działań, umiejętnościach życia w miliardowych stadach jest niespójna, rwie się, opiera na atawistycznych strategiach egoistycznego przetrwania. Karły, mało że zsunęły się z ramion olbrzymów, to na dodatek je zdeptały i nawet tego nie zauważają. To nie jest pochwała gigantów oraz geniuszy i pogarda dla mas. Wypracowano po drodze metody „konstruowania” takich wyprawek – to powszechna edukacja, nauka, kultura. Tak wyposażeni w pakiety antylawinowe życia mogliśmy stosunkowo bezpiecznie ruszać w drogę. Ale wygląda na to, że cały ten system rozmontowujemy, co paradoksalne, nieświadomie, bezmyślnie, biernie. Myślenie krytyczne jest aktywnością, walką, zmaganiem. Kiedy stoimy w konsumpcyjnej kolejce – to stoimy. Tkwimy. Bez ruchu. Gotujemy się na śmierć czegoś więcej niż naszego znikomego żywota.

Bertrand Russell (z zupełnie innej tradycji niż mądryala z Chartres) napisał kiedyś: „Jest rzeczą niepożądaną wierzyć jakimś twierdzeniem, gdy nie ma żadnej podstawy do przypuszczenia, że jest ono prawdziwe” (za Andrzejem Draganem z jego „Kwantechizmu”). To „irrationalne” przekonanie o naszej racjonalności jako zasadzie życia, trwania i przyszłości projektu „Człowiek na Ziemi” coraz rzadziej znajduje rację bytu. Pozostaje tylko pytanie, kiedy zgasiemy światło, o które i tak niemal nikt już nie pyta.

Może to złudzenie, że każdy powinien myśleć.

Prawda kontra „ekspertyzy” IPN

Przemysław Kmiecik

„Działacz komunistyczny, dowódca »centralnej bojówki« KPP, przeznaczony do zabójstw i akcji terrorystycznych, skazany na śmierć za udział w zabójstwach (m.in. policjanta)” – tak zaczyna się ekspertyza Instytutu Pamięci Narodowej, wykorzystana w grudniu 2017 r. przez wojewodę mazowieckiego podczas procedury zmiany nazwy ulicy, której patronem był Mieczysław Ferszt. Słowo ekspertyza należałoby tu napisać w cudzysłowie, gdyż jest w niej tyle pomyłek, że aż wydaje się dotyczyć kogoś zupełnie innego.

Błędy i przemilczenia IPN

Przede wszystkim Mieczysław Ferszt (1919-1943), warszawski robotnik żydowskiego pochodzenia, był działaczem nie komunistycznym, tylko socjalistycznym. Przed II wojną światową należał do Polskiej Partii Socjalistycznej, był w niej jednym z liderów partyjnej młodzieży. Po klęsce wrześniowej szybko znalazł się w szeregach pepeesowskiej konspiracji i związał z tzw. Barykadą Wolności organizowaną wokół Stanisława Dubois. Gdy w sierpniu 1940 r. lider grupy wpadł w ręce hitlerowców, doszło w niej do rozłamu. Część barykadowców, wśród nich Ferszt, rozpoczęła wydawanie własnego pisma „Sztandar Wolności”. Rozłam wywołała m.in. rozbieżność zdań na temat taktyki politycznej. Grupa „Sztandaru Wolności” była otwarta na współpracę z ruchem komunistycznym. Kilka miesięcy później połączyła się więc z organizacją Młot i Sierp, stworzoną przez komunistów i radykalnych ludowców. W początkach 1942 r. grupa ta znalazła się w szeregach Polskiej Partii Robotniczej. Jak zatem widać, Ferszt z komunistami współpracował, ale sam aż do śmierci deklarował się jako socjalista.

Wbrew temu, co pisze IPN, Ferszt nigdy nie należał do Komunistycznej Partii Polski. Tym bardziej nie mógł być dowódcą żadnej jej »centralnej

Zamordowanego przez gestapo na Szucha działacza zbrojnego podziemia IPN uznał za symbol totalitaryzmu



bojówki”. Podczas wojny dowodził za to tzw. grupą specjalną Gwardii Ludowej PPR. I rzeczywiście można się zgodzić z IPN, że przeznaczono ją do wykonywania »zabójstw i akcji terrorystycznych”. Instytut zapomniał jednak dodać, że były to działania wymierzone przeciwko niemieckiemu okupantowi.

To wszystko i tak nic przy ostatnim fragmencie »ekspertyzy” IPN. Oto w lutym 1943 r. Mieczysław Ferszt został aresztowany przez Niemców. Trafiał do gestapowskiej katowni na Szucha, gdzie był torturowany. Nigdy już na wolność nie wyszedł, a dokładna data jego śmierci do dziś pozostaje tajemnicą. A co ma na ten temat do powiedzenia IPN? Otóż wedle jego opinii Ferszt został »skazany na śmierć za udział w zabójstwach (m.in. policjanta)”. Czyżby IPN potępiał młodego członka polskiego podziemia za działalność zbrojną przeciwko aparatowi represji III Rzeszy?

To zresztą nie pierwszy raz, gdy Mieczysław Ferszt mieszany jest z błotem. Mniej więcej dekadę temu warszawska młodzieżówka Prawa i Sprawiedliwości domagała się zmiany nazwy jego ulicy, bo upamiętniała ona rzekomo »pospolitego przestępcę, który w czasie wojny okradał ludzi z kosztowności i futer”. Jako źródło swoich rewelacji pisowcy również wskazywali wtedy IPN.

Wiedzieli, że nikogo nie zostawi

IPN od lat domagał się uznania Mieczysława Ferszta za symbol ustroju totalitarnego i zakazania upamiętnień jego nazwiska w przestrzeni publicznej. Prawną batalię jednak przegrał. Decyzją Naczelnego Sądu Administracyjnego ulica Ferszta powróciła bowiem niedawno na mapę Warszawy.

Cały proces tzw. dekomunizacji oprócz dokonywania strasznych spustoszeń w naszej pamięci historycznej ma czasami tę zaletę, że przywołuje postacie kompletnie dziś zapomniane. Czy warto więc pamiętać o Ferszcie? Warto, jeżeli chce się pamiętać o tych ludziach w historii, którzy za walkę o wolną i sprawiedliwą społecznie Polskę gotowi byli zapłacić cenę najwyższą.

Jeżeli zajrzeć do źródeł historycznych, a nie do »ekspertyz” IPN, wyłania nam się obraz Mieczysława Ferszta właśnie jako człowieka walki, niebywale zdeterminowanego i wręcz szaleńczo odważnego. Już jako nastolatek wstąpił do Akcji Socjalistycznej, partyjnej milicji PPS, powołanej głównie do obrony przed bojówkami nacjonalistycznej prawicy. Brał udział w zabezpieczaniu zebrań i wieców, ochraniał uliczny kolportaż partyjnych wydawnictw, a czasami sam atakował pikiety narodowych radykałów. Przed wojną dał też się poznać z patriotycznych wystąpień. »Každy najazd zaborczy i chęć oderwania od Polski jakichkolwiek ziem spotka się z walką na śmierć i życie mas pracujących, a w szczególności młodzieży robotniczej, która pomna tradycji PPS rozpałi swym heroizmem płomień

gotowości i poświęcenia dla obrony Polski”, głosił tekst opracowanej przez niego rezolucji, którą w czerwcu 1939 r. przyjął zjazd pepeesowskiej młodzieży.

We wrześniu 1939 r., wyposażony w motocykl i staroświecki karabinek, zajmował się osobistą ochroną jednego z liderów PPS, redaktora pisma „Robotnik”, Mieczysława Niedziałkowskiego. Z dumą nazywał siebie jego adiutantem. Pod okupacją szybko nauczył się prawideł konspiracyjnego życia. Zresztą już przed wojną ukrywał swoje żydowskie pochodzenie, np. wtedy, gdy partia wysłała go w początkach 1939 r. do Gdyni, by pomagał tam w kampanii przed wyborami samorządowymi. Zdementowany wówczas przez policję, stał się obiektem ohydnej nagonki w prawniczej prasie. Podczas wojny kilka razy zmieniał tożsamość. Najpierw był Janem Malinowskim, potem

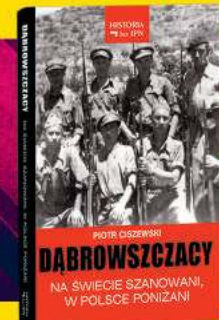
drukarnię jednej z hitlerowskich gazdów. W grudniu wykoleił niemiecki pociąg na trasie Warszawa-Kawęczyn, a w styczniu 1943 r. podpalił wytwórnię baraków wojskowych na Żoliborzu. Na początku 1943 r. wystąpił też ze śmiałym planem zorganizowania pomocy dla getta. „Chłopcy chętnie szli z nim na akcje. Mieli do niego zaufanie, wiedzieli, że dobrze przemyślał zadanie i że ma głębokie poczucie odpowiedzialności za grupę i za każdego żołnierza GL. Wiedzieli, że nikogo nie zostawi, że ostatni zejdzie z posterunku. Był odważny, rozsądny i opanowany”, wspominał jego towarzysz z pepeesowskiej konspiracji, Roman Łączyński.

Śmierć za walkę o wolną Polskę

Był też Ferszt człowiekiem prostych i sprecyzowanych poglądów. II Rzeczpospolita była dla niego

Takie poglądy zaprowadziły go w szeregi Polskiej Partii Robotniczej. Jej oficjalny program, wzywający do budowy szerokiego narodowego frontu demokratycznego i do aktywnej walki zbrojnej z okupantem, był mu po prostu bliski. Nie sposób zarzucić Fersztowi, że zdradził czy zamierzał zdradzić swoje przedwojenne ideały. Wciąż marzył o wolnej Polsce, o demokratycznym państwie, w którym władza spoczywać będzie w rękach stanowiących większość społeczeństwa mas ludowych. O państwie, w którym każdy, niezależnie od pochodzenia etnicznego, m.in. on, przedstawiciel mniejszości żydowskiej, będzie traktowany tak samo jak inni obywatele.

Zresztą nic chyba nie daje lepszego świadectwa wartości, jakimi kierował się Ferszt, niż jego ostatnie listy, które udało mu się przesłać z gestapowskich kazamat



CZYTELNIKU, kupując nasze książki, wspierasz „Przegląd”

49 zł

Poznaj prawdziwą historię Dąbrowszczaków

Pomóż nam działać! Kup książkę lub przekaz darowiznę.
Zebrane środki przeznaczymy na sfinansowanie nowych projektów wydawniczych.

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok.7

Wpłat darowizny można dokonywać także on-line na www.tygodnikprzeglad.pl

Mieczysławem Frankowskim, tym razem już skutecznie udając Aryjczyka. Umożliwiał mu to prowadzenie agitacji i kolportażu podziemnej prasy.

Przed wszystkim jednak Ferszt szukał możliwości walki zbrojnej z okupantem. Nawet jego biografia z czasów PRL, Edwarda Mark, przyznawała, że gdy w początkach 1941 r. przyłączał się do stworzonej przez komunistów organizacji Młot i Sierp, odpowiadała mu ona głównie „ze względu na swój konkretny program działania, zorganizowaną wojskówek – Czerwoną Milicję”. Pierwsza jego akcja bojowa okazała się niestety, dosłownie i w przenośni, niewypałem. Z powodu dżdżystej pogody nie udało mu się spalić niemieckich samochodów wojskowych przy Czeriakowskiej w Warszawie, ale było to zaledwie preludium. W październiku 1942 r. Ferszt dowodził atakiem na

areną walki między demokracją a faszyzmem. Do obozu faszystowskiego zaliczał zarówno endecję, jak i sanację. „Fala faszyzmu polskiego musi być raz na zawsze zmieciona przez masy ludowe. Masy ludowe chcą, by Polska była państwem demokratycznym, a przez to i silnym”, pisał w lutym 1939 r. na łamach „Tygodnia Robotnika”. Za główną siłę demokracji uważał oczywiście własną partię i zapewniał, że to ona reprezentuje polskie masy ludowe. Od wstąpienia w szeregi PPS konsekwentnie głosił również hasła jednolitofrontowe, najczęściej wbrew stanowisku jej kierownictwa. Przekonywał, że socjaliści i komuniści powinni współpracować i razem zwalczać faszystowskie zagrożenie. Optował także za tym, by w związku ze spodziewanym atakiem III Rzeszy na Polskę sprzymierzyć się ze Związkiem Radzieckim.

w alei Szucha. „Mnie czeka śmierć za walkę o wolną Polskę, o socjalizm. Dumny jestem, że o to walczyłem. Do nas zwycięstwo należeć będzie. Niech żyje Polska! Niech żyje socjalizm!”. I tego Ferszta, który bestialsko katowany przez gestapo ostatkiem sił dumnie odpowiadał: „Niech żyje Polska!”, IPN uznaje za symbol ustroju totalitarnego i nakazuje obłożyć ustawową infamią.

Wbrew wścieklej nagonce instytutu ulica Ferszta powróciła jednak na mapę Warszawy – co ciekawe, z błędem. Na tabliczkach jest bowiem nie nazwisko Ferszt, ale Ferst. Ktoś błędnie zapisał je w 1961 r., gdy nadawano temu miejscu nazwę, i tak już zostało. Może właśnie dzięki niedosłzej dekomunizacji uda się przypomnieć, kim naprawdę był tajemniczy patron ulicy na warszawskim Zaciszu.

Doktorów Mengele było więcej

– niemiecki dziennikarz, historyk i antropolog, autor książki „Kobiety z bloku 10. Eksperymenty medyczne w Auschwitz”

HANS JOACHIM LANG

Wojna naznaczyła Niemców i do dziś mamy kompleks, że ulegliśmy hitleryzmowi

Rozmawia Rafał Piłkuła

Już samo słowo Auschwitz budzi grozę, ale kiedy dodamy do tego blok 10, gdzie przeprowadzano eksperymenty na kobietach, mamy istne piekło w piekle.

– Tego dramatu doświadczyło ok. 800 kobiet. Chociaż z tego gro-na wojnę przeżyło ok. 300, to wciąż niewiele wiedzieliśmy o losach tych kobiet, o okrutnych eksperymentach, na jakie zostały skazane. Blok 10 był specyficznym miejscem: przypominał szpital, pracowali tam lekarze, ale nie miało to nic wspólnego ze służbą człowiekowi czy nauką.

Pisze pan: „Kobietom gołą włosy na głowie, pod pachami, także brwi i włosy tonowe, zabierają im ubrania, pierścionki, a na koniec także nazwiska. W zamian dostają jedynie numery”. W ten sposób więźniarki stają się szczurami doświadczalnymi?

– Trafiając do obozu koncentracyjnego, można było być niemal pewnym śmierci. Pierwsza selekcja następowała już po wyjściu z pociągów, na rampie. Nienadający się do pracy szli wprost do komór gazowych, reszta do wyniszczających robót. Część kobiet, zwłaszcza zamężne, mające już dzieci – czyli w domyśle

plodne – trafiała do bloku 10 jako obiekty badań. Dla niektórych więźniarek stanie się tym „szczurem laboratoryjnym” było próbą przeżycia. W końcu lepiej trafić do „szpitala” niż od razu do pieca.

Do tej pory okrutne eksperymenty kojarzyły się z postacią dr. Mengele. To on był symbolem zła i przykładem wynaturzenia medycyny.

– Mengele stał się także w pewien sposób kozłem ofiarnym. To na nim skupiła się cała uwaga, to on był tym złym lekarzem, którzy zaprzeczył przysiędze Hipokratesa. Oskarżenie Josefa Mengele pozwoliło też oddalić pytania o odpowiedzialność

Kiedy byłem w szkole, temat Holokaustu i nazistowskich Niemiec był abstrakcją.

innych niemieckich lekarzy w czasie wojny. Przecież nie mogło być tak, że tylko jeden Mengele uległ złu, wykorzystał machinę Holokaustu do własnych pseudonaukowych badań. W książce pokazuję, że byli także ginekolodzy, tacy jak prof. Clauberg i prof. Schumann, którzy sterylizowali więźniarki Auschwitz, był antropolog prof. Hirt, mordujący więźniów tylko po to, by stworzyć kolekcję czaszek. Doktorów Mengele było więcej.

Blok 10 był wielkim laboratorium, którego istnienie nie byłoby możliwe w innych okolicznościach. To machina Zagłady pozwoliła na stworzenie takiego piekła. Czy wojna wyzwalała to, co najgorsze?

– W normalnych, pokojowych warunkach takie eksperymenty jak wycinanie jajników, wielokrotne, niepotrzebne naświetlanie rentgenowskie, wstrzykiwanie przeróżnych płynów bez kontroli, nie byłyby możliwe, w każdym razie nie bez zgody pacjentów. Holokaust, a szerzej mówiąc wojna, pozwolił szaleć na realizację chorych pomysłów. Więźniów odarto z godności, odebrano im człowieczeństwo, zredukowano do numerów. Nikt nie przejmował się stanem pacjentów, jeden

trup mniej czy więcej – to nie miało żadnego znaczenia. Dlatego nie można powiedzieć, że to były badania medyczne, raczej chora wariacja na ten temat.

Zabawię się w adwokata diabła. W bloku 10 dokonywano także badań nad wczesnym wykrywaniem raka szyjki macicy. Badano, jak działa organizm, gdy przetoczy mu się krew innej grupy. Czy z tego zła nie wynikło jakieś dobro, jakiś przełom w medycynie?

– Nie jestem lekarzem i trudno mi stwierdzić, na ile te eksperymenty wpłynęły na rozwój medycyny. Wycofując się z Auschwitz i innych obozów, Niemcy spalili większość dokumentacji. Dziś znamy te historie w dużej mierze z opowieści więźniów, lekarzy i strażników. Częściowo znamy konsekwencje działań sterylizacyjnych, które prowadzili prof. Schumann i prof. Clauberg. Naświetlania Schumanna częściej powodowały śmierć, a sterylizacja chemiczna Clauberga nie zawsze okazywała się skuteczna i niektóre kobiety, które przeżyły zabieg, po wojnie miały potomstwo. Te dzieci były symbolem zwycięstwa życia nad nazizmem.

Pana książka to nie tylko epitafium dla ofiar, ale i alfabet przestróg dla studentów kierunków medycznych i praktykujących lekarzy: jak śmiertelny może się stać w każdej chwili ten piękny zawód.

– Nie pisałem książki z myślą o studentach czy lekarzach. Wydaje mi się, że oni doskonale wiedzą, co mają robić. Mówi o tym nie tylko wspomniana przysięga Hipokratesa, ale i Konwencja Praw Człowieka i Obywatela. Moim celem było utrwalenie pamięci ofiar bloku 10. Chciałem opisać losy kobiet z Auschwitz, wymienić je z imienia i nazwiska, pokazać, co czuły, jakie miały plany, marzenia, czego się bały i w czym pokładały nadzieję.

W książce znajdziemy opowieść greckiej Żydówki Alizy, która wierzy, że jedzie z Salonik do Polski, by rozpocząć nowe życie.

– Aliza miała 20 lat, była bardzo młoda i naiwna. Niektórzy Żydzi nie wierzyli, że naziści mogą być aż tak okrutni. Owszem, słyszeli o prześladowaniach, pogromach, ale byli przekonani, że chcą ich tylko przesiedlić, pozbawić majątku, pozbyc się. Nieliczni Żydzi, szczególnie ci z Francji, zaangażowani w działalność komunistyczną, byli świadomi tego, co planują Niemcy. Oni wiedzieli, że podróż do Polski oznacza śmierć. Inna sprawa, że nierzadko sami obywatele III Rzeszy nie mieli pojęcia o przemysłowej skali ludobójstwa. Hitlerowska propaganda nie chwaliła się Zagładą.

W piekle bloku 10 pojawia się pewna pozytywna postać. To żydowski lekarz Maximilian Samuel, który

asystuje niemieckim doktorom, ale jest wyrozumiały dla więźniarek, pociesza je, niekiedy pozoruje zabiegi, by nie zrobić im szkody. Jak pan trafił na ślad Maximiliana Samuela?

– Postać więźnia, żydowskiego lekarza, który pracował w bloku 10, przewijała się w opowieściach ocalałych. Większość kobiet wspomina go dobrze. Jedna z moich rozmówczyń pamiętała, że przed wojną był

Oskarżenie Josefa Mengele oddaliło pytania o odpowiedzialność innych niemieckich lekarzy w czasie wojny.

ginekologiem jej matki. Okazało się, że w trakcie wojny „zajmował się” nią w bloku 10. W obu przypadkach postępował godnie. Maximilian Samuel udawał, że wycina dwa jajniki, a w rzeczywistości wycinał jeden, pocieszając przy tym swoje pacjentki, że jeszcze będą mieć dzieci. Zresztą jedna z opisanych kobiet nazwała swojego syna imieniem Maximilian na cześć tego lekarza! Bohaterstwo Samuela nie jest powszechnie znane, bo w przeciwieństwie do Schindlera nikt nie zrobił o nim filmu.

Wspomniał pan o rozmowach z kobietami. Jak udało się panu dotrzeć do byłych więźniarek? Jak reagowały na propozycję rozmowy?

– Udało mi się porozmawiać z 12 kobietami. Dotarcie do nich nie było łatwe, zwłaszcza że duża część ocalałych więźniarek bloku 10 już nie żyje. Większość zmieniła po wojnie nazwisko, adres zamieszkania. Jed-

z bloku 10 dopiero zaczynały walkę o odszkodowania. Czy w pańskim domu rozmawiało się o tych tematach?

– Kiedy byłem w szkole, temat Holokaustu i nazistowskich Niemiec był jakąś abstrakcją. Czasy hitlerowskie wydawały się odległe, choć przecież minęło ledwie kilkanaście lat. Dopiero po zdaniu matury zacząłem bardziej się interesować historią i zgłębiać ten temat. Okazało się, że

w miasteczku, niedaleko którego mieszkałem, był przed wojną spory odsetek Żydów.

Rodzice nie opowiadali panu, co się stało w czasie wojny? Nie mówili o tym, co spotkało ich znajomych, sąsiadów?

– U mnie w domu o tym się nie mówiło. Generalnie w całych powojennych Niemczech próbowano odciąć się od tego tematu: osądzić zbrodniarzy, zadośćuczynić skrzywdzonym i żyć dalej. Myślę, że ten mroczny czas mocno naznaczył nasz naród i do dziś mamy kompleks, że ulegliśmy hitleryzmowi.

W tym roku mija 80 lat od wybuchu II wojny światowej, zostali już tylko nieliczni naoczni świadkowie Holokaustu. Pamięć zanika, pojawia się negacja Zagłady, w siłę rosną partie polityczne odwołujące się do dziedzictwa nazistowskiego. Czy nie jest tak, parafrazując znane

Rosnąca popularność ugrupowań faszystowskich to globalny trend, ale Europa poradzi sobie z tym.

na urodziła się we Francji, w czasie wojny przebywała w Auschwitz, ale po wojnie znalazła się w San Francisco. Poza rozmowami ważna była dokumentacja, więc jeździłem po całym świecie, przeszukiwałem archiwa i muzea, chwytając się wszelkich śladów. Kobiety, z którymi rozmawiałem, były bardzo wdzięczne, że zajmuję się tym tematem, to było dla nich ważne, że opiszę ich historię i zachowam dla potomnych.

Urodził się pan zaledwie kilka lat po wojnie. Kiedy był pan nastolatkiem, wciąż trwały poszukiwania zbrodniarzy nazistowskich, a kobiety

powiedzenie, że zapominając historię, skazujemy się na przeżycie jej od nowa?

– Z dużym zaniepokojeniem obserwuję rosnącą popularność ugrupowań faszystowskich, jednak jest to globalny trend. Nacjonaliści zdobywają poparcie nie tylko w Niemczech, ale również we Francji, we Włoszech czy w Polsce. Wierzę jednak, że ideały demokratyczne przetrwają ten kryzys i mocne dziedzictwo, jakim są prawa człowieka czy tolerancja, przetrwa. Europa z nie takimi problemami się borykała i tym razem też sobie poradzi. ■

Nonsens polityki historycznej

Czy ktoś wyobraża sobie pojęcie polityki socjologicznej albo polityki biologicznej?

Longin Pastusiak

Zarówno w publicystyce, jak i wypowiedziach nie tylko polityków prawicowych, ale także ludzi lewicy, coraz częściej pojawia się określenie polityka historyczna. Andrzej Duda w 2015 r. powiedział, że prowadzenie polityki historycznej to jedno z najważniejszych zadań prezydenta. Wśród polityków prawicy jest wielu apologetów pojęcia polityka historyczna, którzy manipulują historią dla doraźnych celów politycznych.

Gwoli prawdy należy przyznać, że wiele polskich osobistości prezentowało prawidłowy pogląd na politykę i historię. Prof. Władysław Bartoszewski mówił, że historię należy znać i o niej pamiętać, lecz nie można jej wikać w politykę. Adam Michnik trafnie określił Instytut Pamięci Narodowej jako instrument walki politycznej. Rafała Wnuka najbardziej niepokoiło przekonanie polityków, że mają prawo do narzucania swojej wizji przeszłości.

Jerzy Giedroyc już dawno temu ubolewał, że nieszczęściem Polski jest to, że jej historia jest zakłamaną jak nigdzie w świecie. Natomiast Paweł Jasienica zaliczał dyktatorskie zarządzanie wiedzą o przeszłości do znanych i smutnych, ale skutecznych środków kierowania teraźniejszością.

Można więc powiedzieć, że polityka historyczna w wykonaniu prawicy służy do pozyskania i indoktrynacji społeczeństwa. Nic dziwnego, że spotyka się z dwójakiego rodzaju reakcją. Z jednej strony, z uznaniem i szacunkiem. Z drugiej – z krytyką i ignorowaniem. Dla prawicy polityka historyczna jest instrumentem promowania pożądanej wizji historii i podporządkowania jej doraźnym celom. Innymi słowy, polityka historyczna to część składowa polityki partii aktualnie rządzącej państwem. Nie jest to więc polityka pamięci i wiedzy historycznej.

„Z polityką historyczną – pisał Tomasz Merta, historyk myśli politycznej

i publicysta, współtwórca programu Prawa i Sprawiedliwości – wiążą się dwa zasadnicze niebezpieczeństwa. Pierwsze – to uznać, że taka sfera nie istnieje, że wszystko dzieje się w sposób naturalny, że historycy zajmują się historią, a politycy polityką. Drugie – uznać, że polityka historyczna jest przeciwieństwem prawdy historycznej”. Prawica nie dostrzega tego niebezpieczeństwa i usilnie próbuje narzucić Polakom własny obraz historii dla doraźnych celów politycznych.

Zwolennicy polityki historycznej mieszają politykę z historią. A są to pojęcia zasadniczo różne. Polityka zajmuje się dniem dzisiejszym z myślą skierowaną również ku najbliższej przyszłości. Społeczeństwo oczekuje od polityków

Polityka historyczna jest instrumentem indoktrynacji społeczeństwa.

sprawnego rządzenia krajem i skutecznego rozwiązywania aktualnych problemów. Historia natomiast jest ważną nauką, ale o przeszłości. Zajmuje się porządkowaniem i wyjaśnianiem minionych zdarzeń. W ich interpretacji mogą się pojawiać i pojawiają różnice, ale historia nie powinna być podporządkowywana koniunkturalnym interesom politycznym żadnej partii. Jest bowiem samodzielną dyscypliną naukową, tak jak matematyka, biologia czy socjologia. A czy ktoś wyobraża sobie pojęcie polityki socjologicznej czy polityki biologicznej? Polityka historyczna jest więc próbą manipulacji politycznej, próbą podporządkowania historii określonym interesom politycznym i narzucenia jednej, tendencyjnej, prawicowej interpretacji przeszłości. Tą drogą prawica pragnie indoktrynować całe pokolenia Polaków poprzez zmianę programowe w nauczaniu historii w szkolnictwie wszystkich szczebli.

Rządząca Polską prawica posługuje się polityką historyczną do legitymizacji swojej władzy i dyscyplinowania rządzonych. Gwoli prawdy należy stwierdzić, że polityką historyczną posługują się także ci, którzy władzy nie

sprawują. Przeszłość staje się wówczas narzędziem w walce o władzę.

Polityka historyczna w wykonaniu pisowców oraz innych osób o prawicowych poglądach ma służyć określonym celom – zawładnięciu pamięcią historyczną Polaków, narzuceniu własnej interpretacji przeszłości i wybiórczego traktowania faktów.

Najbardziej widocznym instrumentem realizacji polityki historycznej jest w Polsce IPN z jego polityką lustracji, publikacji, tzw. działalności oświatowej. Narzędziem realizacji określonej polityki historycznej jest niszczenie jednych pomników i budowa drugich, zmiany nazw ulic i placów, nowe muzea, izby pamięci, celebrowanie określonych rocznic. Polityce historycznej próbuje się również podporządkować programy edukacyjne, a nawet badania naukowe. Różnym placówkom publicznym nadaje się patronów reprezentujących „słuszne” wartości i tradycje.

Częścią składową polityki historycznej, zwłaszcza w wykonaniu IPN oraz lokalnych władz opanowanych przez nacjonalistyczną prawicę, jest systematyczne eliminowanie śladów tradycji i pamiątek związanych z lewicą. Wszystko to, jak pisał Andrzej Romanowski, dzieje się pod hasłem „przywracania pamięci”. Od siebie dodam: pamięci wybiórczej, selektywnej.

Można więc powiedzieć, że polityka historyczna w wydaniu polskiej prawicy jest manipulowaniem historią z myślą o aktualnych interesach politycznych, instrumentem walki politycznej i zaburzaniem historii Polski poprzez ignorowanie dorobku i wkładu wielu pokoleń w budowę i rozwój kraju. Jak słusznie zauważył redaktor naczelny PRZEGLĄDU Jerzy Domański, „przeszłość jest teraz najbardziej załganym obszarem polityki. Tak masowego fałszowania historii, jakiego dopuszczają się środowiska związane z PiS, nie ma nigdzie we współczesnym świecie”.

Longin Pastusiak jest profesorem w Akademii Finansów i Biznesu Vistula, byłym posłem na Sejm (1991-2001) i marszałkiem Senatu (2001-2005)

Oko w oko



Tomasz Jastrun

TRZYMAJ SIĘ PAN Z DAŁA OD NASZYCH DZIECI

Chodnikiem szedł pijak w strasznym stanie. Zaczepił mnie: „Niech pan powie, czy ja naprawdę tak źle wyglądam? Jeśli tak, to proszę mi wybaczyć”. Po-myślałem o tym człowieku, oglądając konferencję biskupów dotyczącą raportu o pedofilii w Kościele. Ten pijak miał więcej samokrytycyzmu niż nasi biskupi. Wyjątkiem był Wojciech Polak, za to biskupi Marek Jędraszewski i Stanisław Gądecki, jeśli nie usprawiedliwiali pedofilów, to formułowali jakieś pokraczne myśli kpiące z poczucia przyzwoitości. Ale czy nie można by na to wydarzenie spojrzeć z innej strony? Zważywszy na straszny stan moralny i intelektualny polskiego Kościoła, dobrze, że w ogóle powstał taki raport, a nawet padły słowa o winie. Ale od razu przychodzi myśl, że przecież Episkopat był w sytuacji bez wyjścia, papież Franciszek postawił polski Kościół pod ścianą. Co za niezręczna sytuacja, jakoś trzeba było z tego wybrnąć. Ciekawe, bo zdaje się, że następuje wielka zmiana. Do tej pory sojusz polityczny z Kościołem zwiększał szanse wyborcze, teraz może być odwrotnie.

Ludzie są coraz bardziej poirytowani, że Kościół milczy wobec rasizmu, ksenofobii, niszczenia demokracji w Polsce, za to potępia wszystko, co się wiąże z seksem. A przecież wielu, jeśli nie większość księży, podkasuje sutanny i uprawia seks po kryjomu. Nie przypadkiem w Kościele protestanckim, gdzie nie ma celibatu ani tej całej hierarchii, tego wielkiego, mrocznego urzędu, wygląda to inaczej.

Chwył propagandowy i kłamstwo PiS, że mamy do czynienia z jakąś krucjatą środowisk LGBT, że grozi nam zawłaszczanie państwa przez te środowiska. Jak chmura gradowa wisi nad polskimi dziećmi groźba seksualizacji, będą uczone w szkole onanizmu, od którego, jak wiadomo, wypadają włosy i usycha mózg. A naprawdę jest to zaproszenie do dyskusji, otwarcie okien. Nasza cywilizacja jest na jakimś ostrym zakręcie. To plus wiedza, internet kieruje nas w stronę liberalizmu w sprawach obyczajowych. PiS może ten proces odwlekać, ale go nie zatrzyma. Jestem, rzecz jasna, za małżeństwami gejów. Mam wątpliwości w kwestii adopcji dzieci, ale jeśli badania wykażą, że w takich związkach dobrze się mają, będę za tym.

Mimo złogów obskurantyzmu Polska obyczajowo się liberalizuje. Dowodem na to jest choćby fakt, że Biedroń robi karierę polityczną. A przecież był aktywistą gejoskim. I bardzo wielu Polakom to jednak nie przeszkadza. 15 lat temu dałbym się zabić, że teraz nie będzie to możliwe. Ale cała ta polityczna gra Biedronia bardzo mnie irytuje. W jednych sondażach ma aż 10% poparcia, w drugich oscyluje na granicy progu wyborczego. Gra niewarta świeczki. Jeśli zmarnuje głosy liberalnego elektoratu, będzie to niewybaczalne.

Wiadomość dnia: Jarosław Kaczyński odwiedził Jasną Górę, gdzie modlił się przed Cudownym Obrazem Matki Bożej. I tam przemówił do narodu: „Dla nas, Polaków, pewnie nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie lepiej można się modlić”. Zwierzył się, że codziennie bardzo długo się modli.

Wcześniej górnikom na Śląsku obiecał, że po wieczne czasy będziemy wydobywać węgiel i truć Europę. No i ten słynny już okrzyk na konwencji PiS: „Wara od naszych dzieci!”. Prezes jako obrońca polskich dzieci. Wiele osób komentowało to celnie w tym stylu: „Może najpierw by prezes się ożenił, spłodził dzieci, wstawał do nich w środku nocy, odprowadzał je do szkoły, odrabiał z nimi lekcje, uczył je pływać i jeździć na rowerze. Trzymaj się pan z dala od naszych dzieci”.

Wieczorem w Domu Literatury jubileusz 75-lecia krytyczki Iwony Smolki. Przyjaźnimy się od wielu lat. Tylu znajomych, czasami dawno niewidzianych, wszyscy zmienieni przez czas. Niektórych potraktował pobłażliwie, innych okrutnie, ale tych, co pobłażliwie, prędzej czy później też przemienił. Ta sala, która tyle widziała i słyszała, też stalinowskie samokrytyki, trybuna, z której płakał Tuwim po śmierci Stalina. A teraz my, grupka pisarzy na kurczącej się inteligencji wysepce nowego wieku. Nie było chyba ani jednego młodego człowieka. Też znak czasu. I jest znakiem czasu, że przy licznych wspomnieniach, pochwałach nie padło słowo o tym, że to w mieszkanku Iwony na Stegnach, na początku stanu wojennego, stworzyliśmy z grupą znajomych nielegalne pismo „Wezwanie”, które istniało do 1988 r. Jakby to, co teraz się dzieje, niwelowało poświęcenie i determinację oporu wobec stanu wojennego.

To chwył propagandowy i kłamstwo PiS, że mamy do czynienia z krucjatą środowisk LGBT.



**MAGDALENA
ŁAZARKIEWICZ**

– reżyserka filmowa i teatralna

SPRZEDANA DO DOMU PUBLICZNEGO

Dziewczyna ze wsi wyjechała do Niemiec i została zmuszona do nierządu. Uciekła, ale w rodzinnej miejscowości poddano ją ostracyzmowi

Rozmawia Mateusz Demski

Historia opowiedziana w „Powrocie” jest oparta na faktach, a dotyczy pojawiającego się coraz częściej w mediach tematu handlu ludźmi. Co roku rejestruje się co najmniej 15 tys. ofiar tego procederu w Unii Europejskiej. Skala zjawiska jest zapewne znacznie większa.

– Zaczęło się już na etapie przygotowań do serialu „Głęboka woda”, który opowiadał o działalności pracowników socjalnych. Ze współscenarzystką Katarzyną Terechowicz szukałyśmy wówczas historii, na podstawie których powstawały poszczególne odcinki. Trafiliśmy do Fundacji La Strada, która od ponad

20 lat zajmuje się przeciwdziałaniem handlowi ludźmi we wszystkich aspektach – od profilaktyki poprzez lobbing po wspieranie ofiar. Właśnie tam zetknęliśmy się z historią, którą rozwinęliśmy w „Powrocie”.

Co to za historia?

– Dotyczyła dziewczyny ze wsi, która zwabiona możliwością pracy zarobkowej wyjechała do Niemiec. Tam została zmuszona do uprawiania nierządu. Po kilku miesiącach pracy w niemieckim domu publicznym udało jej się uciec. Wróciła do rodzinnej miejscowości, całkowicie upodlona, pokiereszowana, bez pieniędzy. Nie spotkała się ze współczuciem, została poddana ostracyzmowi przez lokalną społeczność i nakłoniona do wyjazdu.

To nieprawdopodobne.

– Racja, ale jeśli na bieżąco śledzi się publikacje prasowe dotyczące sytuacji przemocowych w naszym społeczeństwie, ma się świadomość, że takie przypadki się powtarzają. Niedawno uderzył mnie reportaż o dziewczynie, zgwałconej przez grupę rówieśników, której przewodził jej chłopak. Co zaskakujące, to ona stała się obiektem niechęci lokalnej społeczności, natomiast grupa napastników została rozgrzeszona. Za każdym razem są to oczywiście inne przypadki, zawsze mają odmienny charakter, ale można z nich wyłowić pewien punkt wspólny. Jest nim skłonność do mylenia ofiary ze sprawcą.

Pani bohaterkę w ten sposób traktują nawet najbliżsi. Mimo że została sprzedana, kupiona i wykorzystana jak towar także przez swojego „chłopaka”.

– Takie przejawy niezrozumienia bardzo często dochodzą do głosu w polskich domach. Po pierwsze, musimy pamiętać, że przemoc w rodzinie nie sprowadza się tylko do wymiaru fizycznego, który najłatwiej stwierdzić, ale przybiera również formę udręki psychicznej. Po drugie, coraz częściej słyszymy o takich

sprawach w mediach, co oznacza, że skala tych zjawisk się powiększa i niewątpliwie jest to rezultat wzrostu napięcia i agresji w naszym społeczeństwie. Rodzina jest mikroświatem, w którym szersze tendencje odbijają się jak w lustrze. W ciągu ostatnich trzech lat prawie podwoiła się liczba samobójstw wśród dzieci i młodzieży – z czegoś to się bierze.

Mamy skłonność do mylenia ofiary ze sprawcą.

W „Powrocie” tendencje, o których pani mówi, łączą się z zachwianiem różnych wartości. Otoczenie Uli, rzekomo wyznające chrześcijański system wartości, zaprzecza mu swoim postępowaniem. Podczas Festiwalu Filmu Polskiego w Chicago nie uciekła pani od porównań do „Kleru”.

– Porównanie z „Klerem” to pierwsze skojarzenie, ale ja raczej szukałabym pewnych podobieństw w „Twarzy” Małgorzaty Szumowskiej czy w „Fudze” Agnieszki Smoczyńskiej. Nasze filmy mówią o podobnej opresji w obrębie rodziny i najbliższego otoczenia, powstającej na skutek inności, którą bohater w sobie nosi. Nieprzypadkowo trzy reżyserki, reprezentantki różnych pokoleń i sposobów ekspresji, pochyliły się w jednym czasie nad podobnym tematem. To dowód, że jest on boleśnie odczuwalny w społeczeństwie.

Coś w tym jest, że kwestie piętnowania polskiej hipokryzji i zderzania chrześcijańskiej moralności z realiami zaczęły dochodzić w polskim kinie do głosu.

– Nie uchylam się od porównania do „Kleru”, ale wydaje mi się ono dość powierzchowne. Film Wojciecha Smarzowskiego jest wyraźnie wycelowany w konkretną grupę zawodową, a nasz ma formę bardziej uniwersalnej opowieści. To nie jest komunikat antykościelny czy antyklerykalny, zresztą – moim zdaniem – „Kler” też nie jest. Chęć dokopa-

nia komuś to za słaby powód, żeby zrobić film, który wymaga przecież wielkiego wysiłku twórczego, organizacyjnego i finansowego. Powód musi być dużo głębszy.

Świadomie unikaliśmy pokazania odpustowej twarzy polskiego Kościoła. Nieprzypadkowo w naszym filmie pojawia się nabożeństwo ognia i wody, część Triduum Paschalnego.

Nosi ono element tajemnicy, pociągającej spektakularności, która wciąż w krąg wspólnoty. Szkoda tylko, że owa duchowość przeważnie na tym się kończy, a dalej zaczyna się aksjologiczna pustka, zakłamanie, hipokryzja. I fałszywe odczytanie dekalogu, czyli tego, co jest istotą wiary chrześcijańskiej.

Czyli miłości bliźniego. Tego brakuje zaangażowanej w sprawę Kościoła rodzinie Uli. Matka chciała wstąpić do zakonu, ale zaszła w ciążę i realizuje się jako pełna zapału świecka katoliczka. Ojczym prowadzi biznes pielgrzymkowy, jego brat jest księdzem, który wie gdzie życie dalekie od ideału. Ich dom wypelniają dewocjonalia, posiłki zaczynają się od modlitwy, jednak próżno szukać tej świętości na co dzień. Naprawdę nie ma w tym krztyny krytyki?

– Krytyki? Chyba nie. Jest natomiast bunt, sprzeciw wobec życia w zakłamaniu. Chcieliśmy pokazać, jaką cenę płaci się za życie w kręgu fałszywych wartości. Wujek Uli, ów

Film nie rozwiąże problemów tego świata.

miejscowy proboszcz, nie spełnił się w żadnej roli. Nie był gotowy na posługę, przerosło go ojcostwo, które ukrył nie tylko przed światem, ale i przed samym sobą. Cierpienie i ucieczka w alkoholizm biorą się z rozziwu między światem war-

tości, jakie niosą dogmaty chrześcijaństwa, a stanem egzystencjalnego zagubienia.

Podobnie jest z matką Uli. Kobieta, która na pierwszy rzut oka spełnia wszystkie swoje funkcje – wydaje się zaangażowaną matką, dobrą gospodynią domu i pobożną wierną, także sprzeniewierzyła się swoim namietnościami i powołaniu. Postawa matki jest konsekwencją opacznie rozumianego miłosierdzia i dobrej rodziny, prowadzi ją do aktu zdrady względem własnego dziecka. Często obserwuję zjawisko zastępczego „dokarmiania rodziny” przez kobiety. To znaczy gotowania zupy drugiej osobie, zamiast okazania współczucia, zrozumienia, bliskości. „Powrót” jest więc filmem o niemości (to zresztą już drugi tytuł, który mogłabym dla naszego filmu „pożyczyć” od wielkiego rosyjskiego reżysera Andrieja Zwiagincewa). O nieumiejętności komunikowania się, niezdolności do przebaczenia.

Mam wrażenie, że poprzedni film pełnometrażowy – dokument „Nieobecność” – zrobiła pani dla siebie, przyjaciół i najbliższych. „Powrót” jest jednak skierowany do szerszej grupy. Czy ten film może mieć wpływ na społeczną zmianę i zwrot? Czy kino w ogóle może rezonować w ten sposób?

– Nie mam w sobie naiwnej wiary, że film może rozwiązać problemy tego świata. Tym bardziej że „Powrót” to obraz skromny, kameralny, nie ma co liczyć na oddźwięk porównywalny do sławy „Kleru”. Ale jako że uprawiam kino autorskie, staram

się mówić o rzeczach dla mnie ważnych. Nie kalkuluję, wierzę swojej intuicji. Jeżeli coś mnie autentycznie porusza, to jest spore prawdopodobieństwo, że mój głos zdoła wyrazić coś ważnego również dla innych. „Powrót” wziął się z przekonania, że najgroźniejszą chorobą współczesnego świata jest hipokryzja, a szerzej – zanurzenie się w kłamstwie, choćby poprzez wszechobecne pomieszanie znaków w postaci fake newsów. W dodatku często dzieje się to u nas pod auspicjami Kościoła, który przecież powinien stać na straży wartości przedustawnych, takich jak miłość ▶

Magdalena Łazarkiewicz – debiut fabularny „Przez dotyk” nakręciła w 1985 r. pod opieką Krzysztofa Kieślowskiego. Oprócz wielu filmów fabularnych („Na koniec świata”, „Drugi brzeg”, „Białe małżeństwo”) wyreżyserowała seriale „Ekipa” i „Głęboka woda”, z których znana jest szerokiej publiczności. Od 2011 r. dyrektorka artystyczna Międzynarodowego Festiwalu Filmowego „Żydowskie Motywy” w Warszawie. Członkini Polskiej Akademii Filmowej.

► bliźniego. To bardzo niebezpieczne zjawisko, któremu chciałam się przeciwstawić.

Nie kręci pani jednak pełnometrażowych fabuł zbyt często. Od ostatniej, „Maratonu tańca”, minęło już osiem lat. Poprzedni film powstał 11 lat wcześniej. Długo każe pani czekać na swoje reakcje względem świata.

– Kocham robić filmy, mam mnóstwo pomysłów, ale nie jest łatwo zebrać pieniądze na autorskie kino, które mnie interesuje. Samo zgromadzenie środków na „Powrót”, film o niewielkim przecież budżecie, zajęło mi dwa lata. W dodatku praca nad produkcją za publiczne pieniądze łączy się z dużą odpowiedzialnością i zaciąganiem długu. Musi więc być podparta absolutną determinacją i świadomością wszystkich ewentualnych konsekwencji. Także gotowością na przyjęcie krytyki.

Co ma pani na myśli?

– Choć w naszym świecie pojawia się coraz więcej kobiet robiących filmy, w recenzjach wciąż jest obecny pewien rodzaj bariery w ocenie twórczości filmowej kobiet. Niewątpliwie kryteria są bardziej zaostrzone niż w stosunku do mężczyzn uprawiających ten zawód. Wielokrotnie spotkałam się z takim przejawem; w najłagodniejszym przypadku wtłacza się naszą twórczość do szufladki z napisem



„kino kobiet” i sprawa załatwiona! Żle znoszę krytykę, jak każdy. Ale jej ryzyko jest nieuchronnie wkalulowane w nasz zawód. Byleby to była krytyka uczciwa i wnikliwa. Taka mniej boli. I odrobinę niweluje

pani nad dwoma projektami.

Od kilku lat słyszy się też o scenariuszu opartym na powieści „Kajtuś czarodziej” Janusza Korczaka.

– Doświadczenie nauczyło mnie, że trzeba pracować nad kilkoma

Dziewczyna zgwałcona przez grupę rówieśników stała się obiektem niechęci lokalnej społeczności.

poczucie niesprawiedliwości, bo przecież wysiłek włożony w realizację filmu jest niewspółmierny do wysiłku napisania recenzji.

Mimo to nieprzerwanie walczy pani o miejsce dla siebie. Słyszałam, że z Katarzyną Terechowicz pracuje

projektami jednocześnie, a wtedy istnieje szansa, że któryś się zmateriaлізуje. Siłą rzeczy są one rozrzucone po różnych rejonach tematycznych, każdy z nich wymaga innego rodzaju skupienia. Wspomniany „Kajtuś czarodziej” jest ukochaną książką mojego dzieciństwa. To chyba mój najstarszy projekt, którego załączek powstał kilkanaście lat temu. Na ten film potrzeba jednak sporego budżetu. Mam nadzieję, że powstanie mądry film o dojrzwaniu, dla dzieci od lat pięciu do 105.

Inny projekt, również we współpracy z Katarzyną Terechowicz, to „Trzy kobiety”. Historia napisana przez życie, paradoksalny spłot losów Niemki, kapo z obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, Żydówki i Polki, które walczyły w podziemiu podczas II wojny światowej. Ten film będzie rodzajem syntezy losów XX-wiecznych kobiet. Następny pomysł opiera się na biografii Ewy Błaszczak, której piękno i kruchość zostały skonfrontowane z ciętymi przez los. Chciałabym opowiedzieć o jej niezwyklej umiejętności przekuwania prywatnych przeciwności w siłę.

Mateusz Demski



Sherry Brandy



Ludwik Stomma

SZTUKA SIKANIA

Swego czasu w szaletach dworców PKP i PKS w Jaśle wiślały (a może nadal wiszą?) instrukcje korzystania z tych niezbędnych przybytków. Oto jeden z pomieszczonych w nich nakazów (niczego nie zmyślam, rzecz jak najbardziej autentyczna): „Przy korzystaniu z pisuaru należy podejść do niego jak najbliżej, pochylić się lekko do przodu, wyjąć całkowicie narząd moczowy, lekko nachylić go w dół i oddać mocz do ostatniej kropli. Przed całkowitym zakończeniem oddawania moczu nie należy odchodzić od pisuaru i rozbryzgiwać moczu po podłodze”. Nie wiem, czy jest to zadanie możliwe do precyzyjnego zrealizowania. Mówi wszak stare, męskie porzekadło: „Choćbyś strząsał dwa tygodnie, kropla zawsze spadnie w spodnie”. W tym przypadku chodziłoby o jasielskie, dworcowe kafelki. Ogólnie jednak troska władarzy podkarpackiego grodu jest ze wszech miar słuszna. Bo też wyobraźcie sobie: przyjdzie jakiś prostak nieznający się na rzeczy, naszcza dookoła, a ty się ślizgaj i nos zatykaj. Zasadniczym mankamentem jest natomiast brak odpowiednich służb, które egzekwowałyby postępowanie zgodne z instrukcją. Naród ci u nas rogaty i bez dozoru choćby na złość narządu w dół nie pochyli. Mandat przywołałby od razu obywatela do porządku, a jednocześnie wzbogacił kasę miejską.

Oczywiście, żeby uwiarygodnić kontrolerów moczośledczych i dodać instrukcji należytej powagi, należałoby podnieść jej rangę. Nie widzę tu żadnych trudności. Żeby pan Adam Glapiński był łaskaw podać wysokość pensji swojej – cytuję – „czysto zawodowej współpracownicy”, Sejm wypichcić musiał specjalne prawo. Czyż kwestia zanieczyszczania przestrzeni wokółpisuarowych (a nie dotyczy ona tylko Jasła) nie jest pilniejsza i istotniejsza? Tym bardziej że tekst ustawy jest już gotowy i wystarczy go przyklepać po półminutowej dyskusji, co przecież Sejm ma w zwyczaju. Spotkałoby się to z pełną satysfakcją naszego społeczeństwa, święcie wierzącego w magiczną moc nakazów i zakazów, a także władzy, zawsze szczęśliwej, gdy uda się poddanym utrudnić życie. A jeszcze przy okazji wydebić od nich parę groszy.

Owo zadowolenie Polaków z reglamentowania im życia jest dla mnie jedną z najdziwniejszych tajemnic. Poczytuję np. rodacy niektórym posłom za zasługę, że opracowali więcej projektów ustaw niż inni. Innymi słowy, chwała tym, co mnożą przepisy. W „Zwierzętach niezwierzętach” Vercorsa angielski sędzia Sir Arthur Draper mówi z pogardą, że Francuzi zdefiniowali i skodyfikowali wszystko, łącznie z prawem do jajka zniesionego przez kwokę na polu sąsiada. W Polsce uważano by to na pewno za pożądany stan rzeczy. Zakazać, nakazać! Drobną przykładową. Jestem już w wieku dinozaurowatym, co zmusza do przemyślenia dyspozycji na czas po wyginieciu. Chciałbym, by mnie skremowano, a prochy wysypano byle gdzie. Zaznaczam przy tym, że

nie ma nic bardziej ekologicznego nad garść popiołu, którą wiatr rozproszy i może nią nawet coś użyźni. A gdzie tam!

Co za samowola! Popiół ma się mieścić w określonym naczyniu i płać miejscu. Jest w tym swoista logika. Po pierwsze, państwo zarobi; po drugie, i to najważniejsze, przypomina mi, że bym się nie ludził, że po tamtej stronie wyrwę się z jego szponów. Dysponować prochem po samym sobie – to ci dopiero fanaberia!

Naiwnym zdawać się może, że liczba możliwych regulacji jest jednak skończona. Nic błędniejszego. Kiedy już ustalono, jak w wojsku, którą ręką odpinać mam pasek u spodni i przynależność jajka na miedzy, rząd zawsze może rozpocząć reformy. Czyli na tyle zmienić system, by można było dla niego, wychodząc naprzeciw społecznym oczekiwaniom, wymyślać nowe przepisy, ukazując pracowitość i troskę o człowieka. „Dobra zmiana” – jak to pięknie brzmi. Oczywiście „dobra” to tylko ozdóbka taki. Co jest dobre, okazuje się na ogół dopiero w praniu i po wypraniu. Chodzi o zmianę samą w sobie. Z całej Polski i mózgów Polaków zrobić jeden wielki plac budowy. Uregulować inaczej. Objąć nowym BHP. Ludzie to lubią. Ludzie to kupią.

Rzecz jasna, nie będziemy się ograniczać do tego, by obywatel, ongiś wyprostowany, teraz wyjmował narząd moczowy pochylony do przodu. Niestraszne nam i ambitniejsze reformy. Przykładem szkolnictwo. Czerwone pajaki zostawiły nam w spadku (nie mówię o nauczanej materii) całkiem sensowny system oświatowy: ośmio-, wcześniej siedmiolatka, potem liceum, technikum czy też szkoły zawodowe. Jak można jednak ścierpieć, żeby sobie coś po staremu, choćby i dobrze, funkcjonowało. Rozwalono więc dawny model i w niemalym zamęcie ustanowiono gimnazja. Kiedy wreszcie zaczęło to jako tako się docie-
rać, uchwalono powrót do starego (teraz już nowego) systemu. Będzie ośmioklasówka, precz z gimnazjami! Ileż nowych będzie można wymyślać nakazów i zakazów.

Opowiadano, jak stary przewodnik oprowadzał ludzi po Lenin-gradzie (tak miasto wówczas się nazywało): „Ot, w tym gmachu nie było kiedyś siedziby organizacji młodzieżowej, tylko sklep kupca Mochowa. A na tej wystawie nie było gazetki »Reportaż z życia komsomołu«. Tutaj stały dwie miski z czarnym i czerwonym kawio-rem. I jeszcze łyżka leżała, żeby każdy mógł spróbować i zdecydować, który kawior chce kupić. I powiedzcie mi, kochani, komu to przeszka-
dzało?”. Co komu przeszkadzało ośmiolatka, którą teraz się przywraca? Co kogo obchodzi, jak kto sika, byle trafiał w pisuar? Ja nie chcę wcale być rozpylany nad oceanem czy szczytami Himalajów. Toteż temu idiocie, który wymyślił, że żona (pardon, wdowa) nie może mnie wysypać do ogródka, życzę szczerze długiej i bolesnej agonii, za życia świerzb-
u, a po śmierci smoły gorącej. Podobnie jak większości nakazo- i zakazowiczów. Kochani! Zamiast lękać się wolności, bójcie się poprawiaczy waszego życia!

Dysponować prochem po samym sobie – to ci dopiero fanaberia!

WSTĘGA LOSU

Kubuś Fatalista z powieści Diderota powtarzał uporczywie, że „wszystko, co nas spotyka na świecie dobrego i złego, zapisane jest w górze. To niby wielka wstęga, która rozwija się po troszeczkę”. Isaac Bashevis Singer napisał frapujące opowiadanie „Fatalista”, w którym nakreślił życiowy zakład bohatera. Stawką zakładu o rękę pięknej Chejele było życie. Beniamin wygrał, ale nim to się stało, sprowadził na miasteczko plagę dysput filozoficznych i trwogę.

Po ten motyw sięgnął Tadeusz Słobodzianek i stworzył go w najnowszym dramacie o tym samym tytule. Jego Fatalista też nosi imię Beniamin, ale akcja toczy się w międzywojennej Warszawie, żona nazywa się Lea i chodzi o rozliczenie z pożycia. Rachunek wystawiają sobie nawzajem małżonkowie.

W umiejętnie stopniowanym emocjami i racjami sporze Lei (Magdalena Czerwińska) i Beniamina (Robert T. Majewski) chodzi nie tylko o to, czy Beniamin, zanim spóźniony wrócił do domu, odwiedził panią Goldbergową, żonę swojego szefa w banku, ale i o to, kim jest: fatalistą czy woluntarystą, kochającym mężem czy wiarołomnym kłamcą.

Autor nazwał tę słodko-gorzka sztukę „historią romanetyczną w IV scenach”. Smaku przydaje jej sceneria: odniesienia do starej Warszawy, a także pojawiające się w sporze malownicze postacie prawdziwych czy domniemyanych



kochanków Lei, zwłaszcza poety Serafinowicza (czyli Jana Lechonia). Przedstawienie ma rytm komedii konwersacyjnej, która – jak się okazuje – wciąż może przykuwać uwagę, jak to się dzieje w tym koncertowym duecie aktorskim o miłości, zdradzie i przywiązaniu.

Tomasz Miłkowski

Tadeusz Słobodzianek, „Fatalista”, reżyseria Wojciech Urbański, Scena im. Haliny Mikołajskiej, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 15 lutego 2019

NA POWAŻNIE

DRUGIE WROCŁAWSKIE „WIDMA”

Opera Wrocławska wystawiła kantatę „Widma” Stanisława Moniuszki, jego sceny liryczne według II części „Dziadów” Adama Mickiewicza. Dwa lata temu to samo dzieło zaaranżował we wrocławskim Narodowym Forum Muzyki Paweł Passini, nawiązując do tragedii ludności Syrii. Spektakl pokazała też TVP Kultura. Sceniczna adaptacja Jarosława Freta, dyrektora Instytutu Jerzego Grotowskiego, jest miejscami przejmująca, a melodyjna muzyka Moniuszki została uzupełniona przez artystę grającego na autentycznej lirze korbowej, używanej niegdyś przez wędrownych grajków. Dawna tradycja Dziadów połączyła się tutaj ze wstrząsającą retrospekcją wydarzeń znacznie późniejszych, z II wojny światowej. Kilka zdań pada więc w języku jidysz i po niemiecku. Zbiorowym bohaterem spektaklu jest tutaj Chór Opery Wrocławskiej, są także soliści dziecięcy.

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Moniuszko, „Widma”, dyrygent Piotr Borkowski, reżyseria Jarosław Fret, Opera Wrocławska, premiera 6-7 marca 2019



MIĘDZY OKŁADKAMI

Stuart Turton SIEDEM ŚMIERCI EVELYN HARDCASTLE

tłum. Łukasz Praski
Albatros, Warszawa 2019

Sceneria jak z powieści gotyckiej: ponury, niszczący dwór wśród lasu, a w tym lesie właśnie wydarzyło się coś strasznego. Przerażony człowiek, który nie wie, kim jest, niczego nie pamięta poza imieniem Anna, dociera do dworu, drzwi otwiera mu kamerdyner o budzącej grozę aparycji. Tyle że nie kamerdynera trzeba się bać. Tu większość postaci ma ponure tajemnice, niektóre w dodatku mordercze plany. Do dworu goście przybyli na bal maskowy, ale zabawę trudno nazwać przednią. Podsztyta jest rodzinnymi sekretami Hardcastle'ów, a finał okazuje się tragiczny – raz za razem, bo dzień balu wciąż się odtwarza, więząc wszystkich w pułapce, choć nie każdego na tych samych zasadach. Czytanie z doskonałości, po parę stron w wolnej chwili, sens ma niewielki, zwłaszcza na początku łatwo się pogubić. Potem jednak kolejne elementy wskazują na swoje miejsce (i tak czy owak coraz trudniej byłoby z książką się rozstać). Czy jednak wszystko znajdzie satysfakcjonujące wyjaśnienie? Tę część, która jest z horroru, odwołuje się do metafizycznego wymiaru sprawiedliwości, wypada przyjąć na wiarę.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH

W DOMU INNEGO

reż. James Kent, prod. USA,
w kinach od 29 marca

Punkt wyjścia jest obiecujący – do zniszczonego wojną Hamburga wprowadzają się alianci. Brytyjski pułkownik Lewis Morgan ciągnie za sobą żonę Rachel i traumę po stracie syna w nalicie. Małżonkowie zamieszkują w posiadłości owdowiałego Stefana Luberta, z której – choć dzielą ją także z jego córką i służbą – wieje pustką, po tym jak bomby uśmierciły panią domu. Willa staje się areną bezkrwawych starć, jakby konflikt nie skończył się, tylko przeniósł na inny poziom. Wrażliwi na sztukę Brytyjczycy brzydzą się niemieckimi meblami, gosposie sympatyzują ze zde-



gradowanym Lubertem, a muzyka fortepianu nie łagodzi obyczajów, tylko wywołuje duchy przeszłości. Reżyser podgrzewa kocioł emocji, ale w newralgicznym momencie kipi nie ansa, tylko miłość. Wtedy zmienia się kierunek jazdy i film z niepokojącego dramatu historycznego przeobraża się w kostiumowy harlequin, w którym jeden nieszczęśliwy romans to za mało, więc paralelnie rozgrywa się drugi, równie melodramatyczny, pomiędzy córką Luberta a gołowąsem neonazistą. Twórcy chcieli nam przypomnieć, że cenę wojny zawsze przychodzi płacić kolejnym pokoleniom. Szkoda tylko, że wzięli się do tego łopatą.

Artur Zaborski

ZAGRAJĄ

- 4 KWIETNIA, RADOM, PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA
- 5 KWIETNIA, ŁÓDŹ, PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA
- 6 KWIETNIA, WARSZAWA, KOŚCIÓŁ ŚW. JACKA
- 7 KWIETNIA, LUBLIN, PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA
- 12 KWIETNIA, LEGNICA, PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA
- 13 KWIETNIA, ZIELONA GÓRA, PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA
- 14 KWIETNIA, KONIN, PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA



ZASŁUCHAJ SIĘ

Europa Galante,
Fabio Biondi
**MONIUSZKO,
HALKA**
NIFC



Nagranie „Halki” we włoskiej wersji językowej zrobiło dla Moniuszki w świecie więcej niż 160-letnie starania o promocję dzieła. Dorobek Moniuszki za życia zaliczał się do osiągnięć Imperium Rosyjskiego, a później też jakoś nikt nie dokonał przełomu, choć debiutowali w „Halce” Szalapin czy Kiepur. Teraz ukazał się dwupłytowy album w serii „Koncertów zatrzymanych w czasie”, bo wykonywanych na instrumentach historycznych. A gdy opera jest śpiewana po włosku, od razu odbiera się ją w rzędzie najlepszych dzieł europejskiego romantyzmu. Włoski dyrygent stwierdził, że odkrył dla siebie wyjątkowego twórcę. Prestiżowy brytyjski periodyk „Opera” zachwycił się lekkością, barwą i dramatycznością utworu i dodał, że Moniuszko wcale nie musiał korzystać z dorobku takiego Belliniego czy Donizettiego. Zachęceni karierą tej płyty już planujemy „zagraniczne” nagrania „Flisa” i „Strasznego dworu”.

Bronisław Tumiłowicz

ZAJRZYJ TU

TECHNOLOGIA MAGII

„Magia i czarownictwo są w afrykańskiej rzeczywistości wszechobecne. Jest to świat wypełniony różnymi bytami, które powinny pozostawać w równowadze, by słońce wschodziło na wschodzie, a zachodziło na zachodzie. To kraina »sił drzemających w buszu« (...). Siły te mają magiczną moc kreowania ludzkiego losu. Są robotnikami i maszynami, o które trzeba zadbać. Musimy je należycie docenić, aby mogły wykonywać swoją pracę. To istoty, które mają własną wolę, przemyslenia, emocje. Są skłonne zarówno do pomagania potrzebującym, jak i do figli, złośliwości czy zbrodni”, czytamy w zapowiedzi wystawy.

**WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE,
21 MARCA-31 MAJA**



BEZ PRZEKAZU

Bar Warmut (przy pl. Zbawiciela – Marszałkowska 45/49) zaprasza na wystawę zbiorową prac artystów wizualnych nawiązujących do powieści hiphopowej „Bez przekazu”. Dwudziestka wyjątkowych artystów i artystek poruszających się na co dzień w różnych strefach potrafiła powieść jako punkt wyjścia do własnej wypowiedzi artystycznej, krążącej wokół ludzi, miasta i „powinności” sztuk. Efektem są ich impresje i własne interpretacje. Przed przyjściem na wystawę książkę można

pobrać za darmo ze strony: czarnykajet.com/bezprzekazu.

WARSZAWA, WARMUT, 29 MARCA-2 KWIETNIA

Weronika Nawara

PIELĘGNIARKI POD PRESJĄ

Rzadko zdarza się wdzięczność bliskiego pacjenta,
który dostrzega naszą ciężką pracę

Godzina 15. Szpitalny oddział wypełnia się rodzinami stojącymi przy łózkach pacjentów. Każda rodzina przeżywa to na swój indywidualny sposób. Ja zawsze bacznie obserwuję. Czasem się wściekam, czasem wzruszam, czasem jestem zdziwiona. Wiem, że to chwila dla nich. Ich prywatność, której nie można im zabierać. Jednak lubię przyglądać się tym rodzinom. Daje mi to zarys tego, jakim człowiekiem się opiekuję. (...)

Na oddziale intensywnej terapii prawie każdy pacjent jest podobny do innych. Uwielbiam poznawać ludzi. W miejscu, w którym pracuję, pacjenci jednak nie mówią, nie śmieją się. Co jakiś czas mamy pacjentów, z którymi można porozmawiać, jednak rzadko są zdolni do logicznej rozmowy. Zawsze zastanawiam się, jakim człowiekiem jest mój pacjent, co w sobie nosi. Być może ta wiedza nie jest mi potrzebna. Może sprawia, że przywiązuję się do pacjenta. A może to mało profesjonalne. Mimo wszystko to bardzo ludzkie.

Rodziny pacjentów różnie radzą sobie w sytuacji, kiedy muszą zmierzyć się z chorobą bliskiego. Są osoby, które przychodzą i stają obok łóżka. Wypakowują z ogromnych toreb najpotrzebniejsze

rzeczy i wtedy zaczyna się najdziwniejsza część tego przedstawienia. Zakładają ręce, stoją jak w kościele i patrzą na chorego. Nic nie mówią w tym czasie. (...) Część po jakichś 10 minutach zaczyna się nudzić. Oglądają wtedy innych pacjentów albo rozmawiają z osobą, z którą przyszli na oddział, marnując tym samym możliwość bycia bliżej z chorym. Jeszcze chociaż przez chwilę.

Są rodziny, które przychodzą i całkowicie skupiają się na chorym. Catują go, głaszczą, mówią. Obiecują, że wszystko będzie dobrze, jednak musi trochę wytrzymać. Jeszcze dzień, tydzień lub miesiąc. (...) Ten typ rodzin nie płacze przy chorym. Oni przychodzą i mając pełną świadomość, że jest bardzo źle, starają się swoją nadzieją i miłością sprawić cud.

Są i takie rodziny, które zawsze mają mnóstwo zastrzeżeń. Wszędzie widzą nieodpięte kropłówki, które

przecież według nich są wyznacznikiem jakości opieki pielęgniarskiej. Rodziny te wszędzie węszą niedopałtrzenia ze strony personelu i doszukują się naszych błędów. Staram się to zrozumieć. Chcą najlepszej opieki dla swojego bliskiego, a cała sytuacja to dla nich ogromny stres.

Istnieje jeszcze jeden typ rodzin. Ten, którego boję się najbardziej. Rodziny pytające. „Proszę pani, wszyscy tak długo są zaintubowani i tutaj leżą, prawda?“, „Myśli pani, że on z tego wyjdzie?“, „Dlaczego mój mąż się nie budzi?“. (...) Nie mam pojęcia, co mam mówić. (...) Nie chcę gasić nadziei w rodzinach. Często to ostatnie, co mają. Z nadzieją im bardziej do twarzy.

**Ludzie stali się bardziej roszczeniowi.
I wiedzą więcej niż lekarze.**

Tak jak kilka niemiłych pielęgniarek może wpłynąć na postrzeganie całego środowiska, tak samo stosunek i zachowanie rodzin ma ogromny wpływ na nasze samopoczucie w pracy. (...)

Niestety, dobrze wiem, że moje koleżanki często słyszą rzeczy, które naprawdę mogą odebrać chęć do działania. Kiedy rodzina zarzuca ci, że źle się opiekujesz jej bliskim, wątpliwość w umiejętności pielęgniarek i kwestionuje wszystkie decyzje lekarzy, to autentycznie boli. Słyszysz kilka niemiłych komentarzy, a wiesz, że robisz wszystko, co w twojej mocy, więc w pewnym momencie dochodzisz do wniosku – hej, coś tutaj nie gra!

Pielęgniarka pracująca ponad 40 lat w zawodzie

Jeżeli pacjent jest charakterny, to nie ma znaczenia, czy jest w lepszym stanie, czy w gorszym – trzeba sobie z nim poradzić. Natomiast gorsze są

rodziny, które robią straszny bałagan na oddziale, przeszkadzają nam w pracy. Pacjent dobrze jeszcze nie wejdzie do oddziału, a już wszyscy nad nim wiszą i krzyczą, dlaczego my jeszcze nic nie wiemy, i wołają, że to skandal. Jeżeli są jakieś ostrzejsze scysy z pacjentami, to dziewczyny zawsze wyganiają mnie, żebym ratowała sytuację, ze względu na moje doświadczenie i dojrzały wygląd. Ludzie stali się bardziej roszczeniowi – to na pewno. Po pierwsze, mamy erę internetu, przez co wszyscy się leczą w Google. I wszyscy wiedzą wszystko o sobie, wiedzą więcej niż lekarze. Po drugie, jest bardzo ciężki dostęp do lekarzy, więc wszyscy na siebie warczą. Dziewczyny są przemęczone, pacjenci są roszczeniowi, dostęp jest utrudniony i kółko się zamknęło. Takiej sytuacji nie ma w prywatnych klinikach. (...)

40-letnia pielęgniarka w dużym szpitalu

Były takie młode dziewczyny, które tak fajnie się swoją mamą opiekowały, ale po jej zgonie zrobiły nam taką jazdę, że masakra. Dosłownie nas zwymyślały i poszły. Jeszcze potem wróciły na oddział z zarzutami, że to i tamto nie było przy mamie robione, właściwie to w ogóle nikt do niej nie przychodził, a do tego wszystkiego nie mamy odpowiedniego sprzętu. A tłumaczyłyśmy wiele razy, że sprzęt jest, ale pacjentki w tym przypadku nie da się odessać. Nasze tłumaczenia jednak nie mają znaczenia, bo ludzie słyszą to, co chcą. Pacjenci też skarżą się swoim rodzinom, ale sami nie zadzwonią po nas, „bo nie chcą budzić“, albo nas nie zawołają, „bo jakoś nie mogli nas uchwycić“.

Oddziałowa na internie

Ostatnio nakrzyczyła na mnie żona pacjenta, że jak nacisnął dzwonek, to



popatrzemy i pójdziemy. I na tym się kończy, bo ktoś jest w szpitalu i już opiekę ma. Oni są bardzo zdziwieni, jak mówimy, żeby np. jakieś środki do pielęgnacji przynieśli, jak gąbka czy balsam do smarowania. Być może są szpitale, które na takie braki nie narzekają, ale skoro my o coś prosimy, to znaczy, że tym nie dysponujemy. Kupienie gąbki to chyba nie jest wielki wydatek, można ją nawet przynieść z domu. Gdy słyszę pretensje, że coś powinno w szpitalu być, to odsyłam do dyrektora szpitala. Nie ja się zajmuję zaopatrzeniem, ja działam tym, co mam. (...)

Pielęgniarka ze specjalizacją chirurgiczną, 40 lat w zawodzie

Przychodzi na oddział dziewczyna w tipsach do swojej mamy, starszej pani i mówi do mnie: „Może przyniesie siostra basen?”. Irytuje mnie to, ale nie dlatego, że mam iść po basen. Chodzi o to, co ta biedna starsza kobieta sobie pomyśli, skoro najbliższa jej osoba nie jest w stanie się nią zająć? W głowie mi się to nie mieści. Albo siedzą dwie córki koło mamy i pytają: „Siostró, może trzeba byłoby mamę oklepać?”. Czy nie jest to przykre? Ja się czułam spełniona, jak moja mama leżała w szpitalu, a ja ją mogłam umyć, nabalsamować. Czułam, że w jakimś stopniu jestem w stanie jej pomóc. I dlatego czasem bywam tak strasznie wściekła

pielęgniarka nie przybiegła od razu, a on cierpi. Spytałam, co mogę zrobić dla pana, żeby tak nie cierpiał. „Podać pilota z szafeczki” – takiej pomocy potrzebował. Nawet żonie na chwilę zrobiło się głupio.

Młoda pielęgniarka, która wyjeżdża za granicę

Niestety, doświadczenie pokazuje, że roszczeniowe rodziny rzeczywiście mogą więcej. Jedna pacjentka miała być oklepywana co sześć godzin, ale dałyśmy radę co osiem lub dwa razy w ciągu dyżuru. Rodzina była wielce oburzona i zgłosiła doktorowi, że pielęgniarki miały mamę oklepywać, żeby jej się lepiej odkrztuszała wydzielina, a nie robią tego wystarczająco często. My wtedy miałyśmy tyle pracy, że ledwo łapałyśmy zakręty. Lekarze o tym wiedzieli, ale po tej interwencji i tak nam ciągle powtarzali: „Tylko nie zapomnijcie

Tak to wygląda w Polsce: pielęgniarka zawsze musi wybierać, co robi kosztem innej rzeczy.

oklepać tej pani ze trzy razy, bo dziś też już rodzina o tym mówiła”. I faktycznie, pewnie gdyby nie zwróciła nam uwagi, to odpuścilibyśmy. Niekiedy te kilkanaście minut na trzecie oklepanie to dla nas jedyny czas na wyjście do toalety albo szybkie drugie śniadanie. Tak to wygląda w Polsce: pielęgniarka zawsze musi wybierać, co robi kosztem innej rzeczy.

Doświadczona pielęgniarka na neurochirurgii

Zaangażowanie rodziny jest bardzo ważne, ale mam wrażenie, że społeczeństwo wychodzi z innego założenia: skoro to szpital, to ty, pielęgniarko, zajmuj się pacjentem od A do Z, a my nie musimy nic. Wystarczy, że przyjdziemy na 10 minut,

na rodziny... A potem i tak słyszysz komentarze do lekarza: „Szukam pielęgniarek, a one znowu piją kawę”.

Pielęgniarka pracująca 30 lat w zawodzie

Bardzo często widzimy, że rodzina przyprowadza pacjenta i już się o niego nie pyta. Czasami trzeba było nawet poprosić rodzinę, żeby pokryła pobyt w szpitalu, bo dziennie on tyle kosztuje. Ja też musiałam się opiekować moim ojcem i wiem, że taka opieka jest wykańczająca dla całej rodziny. Każdy chce odpocząć, zwłaszcza jak nie ma wsparcia. Przychodzą więc do szpitala na ostatni moment, bo coś tam chcą ugrać albo pokazać się, żeby poczuć się lepiej. Jak prosimy o opiekę nad pacjentem, pytamy, ▶

► czy mogliby nam pomóc go umyć, to jest wielkie oburzenie. Ja sobie już radzę z takimi, zawsze mówię, że mogę pokazać, pomóc, że fajnie, bo to państwo zrobicie w domu. Tak jakby byli zdziwieni, że trzeba będzie tego ojca czy tę matkę wziąć do domu i po prostu nim czy nią się zająć. Z dziećmi jest trochę inaczej, ale starzy ludzie są niejawni w domu. Starość nie pachnie, nie jest miła.

Pielęgniarka na kontrakcie

Teraz pracuję w pogotowiu ratunkowym, na oddziale ratunkowym i na bloku operacyjnym, ale wcześniej była to intensywna terapia. Tam było najgorzej, pod względem napięcia. Po przekroczeniu drzwi wzrasta ci poziom adrenaliny i włącza się mechanizm przygotowania się do ucieczki. Mam wrażenie, że stajemy się tam takimi zwierzętami, które ciągle są przygotowane do działania, i nawet jak idziesz do dyżurki napić się czegoś, to cały czas myślisz o pacjentach. Miałyśmy monitor w dyżurce, więc gryząc kęs kanapki, cały czas patrzyłyśmy kątem oka na pacjenta. Odkładasz kanapkę, jak słyszysz

miast w prywatnym ośrodku, w którym pracuję, rodziny pacjentów są bardzo roszczeniowe, zapewne ze względu na stan chorych. Tam 80% pacjentów nigdy z tego nie wyjdzie, a my jesteśmy pierwszymi osobami, którym można się wyzalić, ale też można nas zaatakować i wyłać na nas wszystkie pomyje.

Specyfika tego ośrodka jest taka, że uczymy rodziny, jak opiekować się ich bliskimi, i po około dwóch tygodniach to oni sami mają przejąć obowiązki. Chodzi o te najmniej skomplikowane zajęcia, jak kąpiel. Podpisują takie zobowiązanie w regulaminie placówki, a potem wykrzykują, że to my od tego jesteśmy i nam się nie chce pracować, a oni tutaj płacą i miało być wszystko zapewnione. (...)

Pielęgniarka z dwuletnim stażem na oddziale intensywnego nadzoru kardiologicznego

(...) U mnie na oddziale obracamy pacjentów minimum cztery razy na dobę. Jesteśmy w stanie zmienić jednej osobie brudny pampers dziesięć razy na dobę. Za każdym

pacjencie, stawiałyśmy krzesło, opuszczaliśmy barierki i mówiłyśmy, że mogą trzymać go za rękę. Wbrew pozorom rodziny często tego nie wiedzą, boją się dotknąć pacjenta. Podpowiadałyśmy, o czym mogą z nim rozmawiać. To śmieszne, ale większość rodzin stoi nad tymi pacjentami na intensywnych terapiach jak nad już martwymi, jakby się modlili nad grobem. Nie dziwię się, bo tak to wygląda, ale trzeba ich trochę zmobilizować. Kolejna rzecz to wykonywanie czynności pielęgniarskich przy rodzinie. My się bardzo tego boimy i też miałam zawsze założenie, że rodzina musi wyjść, gdy coś robię przy pacjencie. Oddziałowa nauczyła mnie jednak, że właśnie dobrze, gdy widzą i wiedzą, co się dzieje, a skoro pracujemy zgodnie z procedurami, to nikt nie może się do nas doczepić. Umiemy przecież wytłumaczyć, dlaczego wykonujemy daną rzecz. Miała rację, bo włączanie rodziny w proces pielęgnowania jest podstawą.

Doświadczona pielęgniarka na oddziale intensywnej terapii i wad wrodzonych noworodków i niemowląt

Zdarzyło mi się odczuć agresję rodziców, którzy w chwili desperacji i poczucia straty wykrzykiwali: „A co pani zrobiła?! Może pani czegoś nie podała, źle podała”. Wtedy pielęgniarka musi się wykazać twardym charakterem i nałożyć zbroję, przez którą pewne rzeczy się nie przedostaną. Może dlatego czasami tak jesteśmy postrzegane – jako zimne i niewzruszone. Jest wprost przeciwnie, dlatego trzeba umieć od tego się odciąć. Praca pod taką presją to ogromny stres, a głowa musi być nadal jasna, sprawna. Trzeba liczyć dawki, bo u noworodków to są jakieś tam dziesiąte miligrama, i my te dawki wiecznie musimy mieć w głowie, a bardzo często jest tak, że liczymy we dwie. (...)

Oddziałowy na oddziale intensywnym

Gdy rodzina przychodzi podziękować nie tylko za opiekę lekarską, ale właśnie pielęgniarską, to już jest z ich strony sympatyczne, że widzieli nasze działania. A już największym gestem wdzięczności jest sytuacja, w której dziękuję nam rodzina zmar-

Bardzo często widzimy, że rodzina przyprawia pacjenta i już się o niego nie pyta.

dźwięk pompy, respiratora albo jakiś inny hałas, który nie jest normalny. Czasem nawet przegryzienie jednego kęsa i przełknięcie jest trudne. Na początku, po 12 godzinach pracy, spałam kolejne 12 godzin – tak byłam wykończona. Nie byłam w stanie wejść po schodach do domu, bo miałam tak wiotkie nogi. Później człowiek się przyzwyczaja. Tak samo, jak z każdym dniem pracy umiesz lepiej wyczuć się na pewne dźwięki i dokładnie wiesz, które piknięcie czy westchnienie rzeczywiście oznacza moment, kiedy musisz reagować, a które niekoniecznie. Dlatego później rodziny postrzegają nas czasem jako nieczułe. (...)

Pielęgniarka pracująca w placówce publicznej oraz w prywatnej

Jeżeli ktoś ma w publicznym szpitalu bardzo chorą osobę, umierającą, i płacze, to wiadomo, że trzeba kogoś takiego jakoś pocieszyć. Tłumaczyć, że trzeba wierzyć. Nato-

razem tę osobę smarujemy. Mamy też dziewczyny od odleżyn oraz od specjalnych opatrunków. Przy tym wszystkim tylko raz w życiu w ogóle zdarzyło się w mojej obecności, że przyszła do nas pani i zapytała się, czy ma nam pomóc umyć pacjenta i wypielęgnować, bo ona wie, że pielęgniarki mają strasznie ciężką pracę i jeden kręgosłup. Wiadomo, że koniec końców często wolimy to zrobić same, bo będzie szybciej, ale to było bardzo miłe z jej strony. (...)

Pielęgniarka specjalista, cztery lata w zawodzie

Kontakt z rodzinami generalnie wchodzi w zakres naszych obowiązków. Nie chodzi o rozmowy na temat przebiegu i planów leczenia, ale tego, co aktualnie się dzieje z pacjentem, oraz edukacji, czyli jak rodzina może pomóc, w jaki sposób się zaangażować. Zawsze miałyśmy taką zasadę, że jak wchodziła rodzina, to dokładnie wskazywałyśmy miejsce, gdzie mogą przebywać przy tym

tego pacjenta. To wielka sztuka, bo wiesz, że nie robią tego, bo wypada dać pielęgniarce czekoladę. Na intensywnej terapii trzeba dbać o przepływ informacji, bo to jednak bardziej rodzina niż pacjent nas odbiera. To wpływa później na postrzeganie całego zawodu. Zwrotna informacja od nich, że rzeczywiście widzieli nasze starania, zawsze daje dużą satysfakcję.

Doświadczona pielęgniarka na oddziale intensywnej terapii i wad wrodzonych noworodków i niemowląt

Z rodzicami mam bardzo ciepły kontakt. To są silne relacje, bo przysyłają nam zdjęcia, jak się dzieciaki mają. My się nimi wymieniamy: „A pamiętasz, jak myśmy nad nim ręce załamywały, zobacz, jaki fajny chłopak” – taka była rozmowa chociażby dzisiaj. Oczywiście czasami bywa tak, że rodzice są w tak permanentnym stresie, że rośnie agresja i pojawiają się nieprzyjemne zachowania – pewnie takie, których oni by sami po sobie się nie spodziewali.

Miałyśmy taką mamę, strasznie trudny orzech do zgryzienia, bo wszystko, cokolwiek byśmy zrobiły, było złe. Czuliśmy się wiecznie pod presją. Po czym w momencie, kiedy ona usłyszała, że to dziecko wychodzi do domu, to w ciągu jednego dnia zmieniła się do tego stopnia, że nie mogłam się napatrzeć. Z tortami biegła po oddziale. Powiedziałam, że nie musiała ich przynosić. „Nie, nie, proszę pani, ja wiem, jak ja się zachowywałam. Proszę o tym wszystkim zapomnieć. Ja wam bardzo dziękuję, byliście wszystkie cudowne”, tłumaczyła. Mam też takich rodziców, którzy przychodzą z ogromnymi słowami podziękowania, mimo że stracili u nas dziecko.

Nie zawsze tak się dzieje, ale w momencie, kiedy na przykład reanimujemy dziecko czy coś złego się dzieje i wiemy, że mogą to być ostatnie chwile tego dziecka, profesor pozwala rodzicom zostać na sali. Oni te wszystkie starania, całą bieganię, te rzeczy, które się dzieją, widzą. Czasami stoją przed salą,

czasami w sali, zależy, ile miejsca nam potrzeba do działań. Później nam dziękują, mówią, że jesteśmy wspaniale i że oni widzieli, że my zrobiliśmy wszystko, żeby to dziecko uratować. Szkoda, że się nie udało, ale oni nam bardzo dziękują. I to są momenty, kiedy po prostu skóra cierpnie, gula w gardle staje.

Doświadczona pielęgniarka na oddziale hematologii

Mieliśmy pacjentkę w stanie agonalnym, jej mąż przychodził codziennie, był dla nas bardzo życzliwy, pomagał nam. Cierpiała bardzo długo. Kiedy zmarła, napisał do nas list. To było bardzo wzruszające, bo rzadko zdarza się w Polsce taka wdzięczność bliskiego pacjenta, który dostrzega naszą ciężką pracę.

Fragmenty książki
Weroniki Nawary *W czepku urodzone. O niewidzialnych bohaterkach szpitalnych korytarzy*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2019





Robert Redford

Gentleman

z REWOLWEREM

Skradnie ci serce




Już na DVD

Mateusz Mazzini

Nazywa się Nigel. Na początku będzie chciał możliwie najlepiej cię poznać. Dowiedzieć się, jak postrzegasz rzeczywistość, co jest dla ciebie najważniejsze. O czym marzysz i na czym opiera się twoja hierarchia wartości. A przede wszystkim – czego oczekujesz. Od siebie, od życia i od polityków. Później będzie obserwował twoje działania, podejmowane przez ciebie decyzje. Zobaczy, jakie hasła wyszukujesz w internecie, jakie produkty zamawiasz w wirtualnych sklepach. Będzie śledził, w jakich wydarzeniach uczestniczysz. W bardziej ekstremalnej wersji może kiedyś zmierzyć ci temperaturę i ciśnienie na wiecu politycznym lub w czasie oglądania wieczornych wiadomości. Zarejestruje, jakie komunikaty wywołują u ciebie najsilniejsze emocje. Na koniec przeanalizuje wszystkie dane i w dniu wyborów stanie z tobą za kotarą. Powie, który z dostępnych kandydatów najczęściej kłamał w kampanii, a który ma poglądy zbieżne z twoimi. Podpowie, przy którym nazwisku postawić krzyżyk. Nawet jeśli go o to nie zapytasz.

Ten opis nie dotyczy natrętnego trenera personalnego czy jednego z popularnych coachów. Nigel to nie człowiek – to sztuczna inteligencja. A dokładniej rzecz ujmując, kompletna sztuczna inteligencja (ang. *Artificial General Intelligence*, AGI). Od innych rozwiązań w tej dziedzinie różni się tym, że nie został stworzony do realizowania konkretnych zadań czy wykonywania zawężonych poleceń. Tak przynajmniej twierdzą odpowiedzialni za niego programiści z firmy Kimera Systems w amerykańskim Portland. Ma też jako pierwszy ogarnąć całość ludzkiego życia. Zdolny do pobierania danych ze wszystkich urządzeń, od smartfonów po pralki i lodówki, zintegrowany z każdym inteligentnym sprzętem w naszym domu, stanie się perfekcyjną wersją osobistego asystenta.

Dlatego w chwili pierwszego uruchomienia będzie daleki od doskonałości. Jak podkreśla Mounir Shita, jeden ze współtwórców Nigela i szef Kimera Systems, trzeba będzie tego asystenta „wychować” – tak jak wychowujemy swoje dzieci. Pokazać

PRAWA WYBORCZE ROBOTA?

Sztuczna inteligencja – nadzieja czy zagrożenie dla demokratycznych wyborów?



Nicholas Gilman i Mounir Shita świętują narodziny Nigela.

mu pewne wzorce zachowań, które sami uznajemy za właściwe, i czekać, aż je zreplikuje. Jako system o totalnym zasięgu i działaniu ma swobodnie funkcjonować w całej dostępnej dla niego sieci, a nie na jej wybranym odcinku. Nie będzie można go wyłączyć czy odciąć mu dostępu do

Sztuczna inteligencja będzie raczej nas radykalizować, niż zbliżać.

konkretnego kawałka danych. Niczym Jarvis, buntująca się sztuczna inteligencja z filmów o Iron Manie, z czasem przekształci się w niezależny byt. Który, dodajmy, wie o nas wszystko, nawet więcej niż my sami. Innymi słowy, Nigel będzie idealną sekretarką. Taką, która realizuje wszystkie polecenia szefa, nawet te, których jeszcze nie wydał.

Opowiadając o swoim najbardziej medialnym projekcie, Mounir Shita nie kryje dumy. Przede wszystkim dlatego, że we własnej ocenie wyprzedził resztę świata o prawie pół wieku. Kiedy w 2017 r. organizatorzy dwóch wiodących międzynarodowych konferencji dotyczących AI zapytali uczestników, kiedy ich zdaniem ludzkość doczeka się pierwszej naprawdę „całościowej” sztucznej inteligencji, większość wskazała rok 2060. Shita twierdzi, że on i jego zespół tę przeszkodę już pokonali. Co więcej, to niejedyny przełom, jaki planują przy użyciu Nigela. Marzą, by z czasem ich superasystent spenetrował cały globalny internet, połączył się z każdym interaktywnym urządzeniem i, jak możemy przeczytać na stronie Kimera Systems, zmienił „światową gospodarkę oraz nadał nowe znaczenie byciu człowiekiem na Ziemi”.

Zwłaszcza to ostatnie hasło przykuwa uwagę. Nie tylko z powodu utopijnego tonu, zapowiadającego bliżej nieokreśloną redefinicję człowieczeństwa i rewolucję w stosunkach międzyludzkich. Shita chce bowiem wykorzystać Nigela jako pierwsze rozwiązanie technologiczne wpływające na kształt demokracji od strony wyborcy. W licznych wywiadach podkreśla, że jego wynalazek nie tylko pozwoli na kolejny milowy krok w rozwoju technologii, ale przede wszystkim udoskonali coś, co do tej pory wydawało się na wskroś ludzkie – nasze wybory polityczne.

Zbierając dane na temat naszych interakcji, zarówno z maszynami, jak i z innymi ludźmi, Nigel dogłębnie pozna nasz system wartości, nasze poglądy i percepcję świata wokół nas. Zrozumie nasze cele i marzenia. Jeśli dodamy do tego praktycznie nieograniczony dostęp do danych i dużo większą od ludzkiego mózgu moc obliczeniową, będzie też doskonałym narzędziem do weryfikowania deklaracji polityków. Jednym słowem, stanie się wyrocznią w kwestii prawdy i fałszu. Dzięki temu, kiedy przyjdzie nam stawić się w lokalu wyborczym, Nigel wybierze idealnego dla nas kandydata. Tylko czy to, co idealne dla jednostki, będzie naprawdę najlepsze dla społeczeństwa?

Przypadek Kimera Systems i niebezpiecznie ambitnych planów jej prezesa to tylko jeden z kontrowersyjnych wątków w debacie o wpływie sztucznej inteligencji na demokrację. W wymarzonym przez Shitę idealnym scenariuszu to AGI w praktyce decydowałaby, na kogo mamy głosować. Tylko kto wówczas byłby prawdziwym wyborcą? Uczący się algorytm czy wciąż jednostka ludzka?

Prof. Amy Webb, filozofka i futurystka z New York University, podkreśla, że to niejedyny dylemat etyczny związany z upolitycznieniem sztucznej inteligencji. Przy braku kontroli nad AGI człowiek nie tylko zostałby pozbawiony podmiotowości w samym akcie wyborczym, ale również straciłby kontrolę nad wizją przyszłości.

„Co stałoby się, gdyby kontrolująca internet sztuczna inteligencja pchnęła całą ludzkość w kierunku

czegoś, czego nie umiemy sobie nawet wyobrazić?”, pyta retorycznie prof. Webb na łamach „MIT Technological Review”. Teoretycznie bowiem mogłoby dojść do sytuacji, w której w pełni już rozwinięta, „dojrzała” AGI przeanalizuje całość naszych zachowań i dojdzie do wniosku, że aby przeżyć, ludzkość musi – dajmy na to – zmniejszyć swoją liczebność o połowę. Może wówczas doprowadzić do radykalizacji nastrojów społecznych, wywołać zdarzenie o charakterze katastroficznym lub pomóc wynieść do władzy polityków domagających się wojny.

Choć niechętnie, niebezpieczeństwo związane z masowym użyciem AGI do wpływania na rzeczywistość

Skoro nadajemy robotom obywatelstwo, logiczne wydaje się przyznanie im pełni praw wyborczych.

polityczną zauważa także Mounir Shita. Podkreśla, że programy tego typu będą miały bardzo ograniczoną zdolność korekty naszych własnych poglądów. Będą bowiem dopasowywać świat do naszych celów i oczekiwań, nie odwrotnie. Jeśli zatem użytkownik Nigela okaże się zdeklarowanym rasistą, program będzie w takich kategoriach postrzegał rzeczywistość. Co gorsza, będzie dążył do jej zmodyfikowania, aby jak najbliżej odzwierciedlała wyobrażenia współpracującego z (bo już nie kierującego) nim człowieka. W dużym skrócie, sztuczna inteligencja będzie raczej nas radykalizować, niż zbliżać. Uwypuklać nasze najbardziej skrajne postawy, zamiast je łagodzić.

Biorąc pod uwagę wciąż nierówny dostęp do nowych technologii, należy się zastanowić, czy algorytmy nie pogłębią już istniejącego rozwarstwienia społecznego. Nawet jeśli w miarę szybko stworzymy działające, naprawdę „totalne” rozwiązanie oparte na AGI, trudno sobie wyobrazić, by natychmiast się upowszechniło. Wówczas część z nas mogłaby podejmować decyzje na podstawie praktycznie nieomylnych instrumentów, podczas gdy inni pozostaliby zdani na moc obliczeniową własnego mózgu. Jak wówczas traktować demokrację? Julia M. Puauschander z amerykańskiego Centrum Analiz Ekonomicznych im. Bernarda Schwartza zauważa, że mogłoby to

doprowadzić do powrotu modelu ateńskiego, gdzie różne klasy społeczne miały różny dostęp do procesu decyzyjnego. Zadaje też pytanie, co z prawami wyborczymi samych maszyn. Czy Nigel i podobne rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji nie powinny móc głosować w swoim imieniu? Skoro nadajemy robotom obywatelstwo, logicznym następstwem wydaje się przyznanie im pełni praw wyborczych.

Nie jesteśmy jeszcze w stanie przewidzieć, jaki wpływ na rozwój demokracji będzie miała prawdziwie autonomiczna sztuczna inteligencja. Pilną potrzebę regulacji algorytmów uczących się już jednak widać. Problemy z ich zastosowaniem mają nie

tylko Amerykanie, walczący z realnymi monopolami gigantów technologicznych. W Chinach takie spółki jak Alibaba czy Tencent już teraz przechowują i analizują niewiarygodne ilości danych, z których potem dość swobodnie korzystają autorytarne bądź co bądź władze w Pekinie. Jak konkluduje David Runciman, politolog z Uniwersytetu Cambridge, mariaż sztucznej inteligencji i ludzkich wyborów politycznych jest praktycznie nieunikniony. Warto więc, byśmy jako ludzie sami podyktowali warunki tej relacji, póki (jeszcze) mamy nad nimi kontrolę. ■

W nowym numerze tygodnika „NIE”:
opowieść o złodziejach głupszych niż władza.



GENIUSZ ISAACA NEWTONA

Był bystrym młodzieńcem, ale nie przejawiał oznak talentu matematycznego, szkolne sprawozdania opisują go jako ucznia leniwego

Ian Stewart

W 1696 r. Mennica Królewska, odpowiedzialna za bicie angielskich monet, zyskała nowego nadzorcę, Isaaca Newtona. Otrzymał on to stanowisko dzięki patronatowi hrabiego Halifax, Charlesa Montagu, który w tamtym czasie pełnił funkcję lorda skarbu – odpowiednika ministra finansów. Newtonowi przydzielono zadanie renowacji pieniądza Korony. W tym czasie brytyjski system monetarny był w opłakanym stanie. Newton oszacował, że ok. 20% monet będących w obiegu to albo podróbki, albo monety przycięte – z ich brzegów ścinano cienkie skrawki złota lub srebra, aby przetopić je i sprzedać. (...)

Jako profesor matematyki w katedrze Lucasa Uniwersytetu Cambridge nowy kurator mennicy był oderwanym od rzeczywistości akademikiem, który większość życia poświęcił tak ezoterycznym dziedzinom, jak matematyka, fizyka i alchemia. Był też autorem religijnych traktatów na temat interpretacji Biblii i oszacował moment Stworzenia na 4000 r. p.n.e. Jego udokumentowana kariera w służbie publicznej była nad wyraz skromna. W latach 1689-1690 był członkiem parlamentu z ramienia Uniwersytetu Cambridge i miał też być nim w latach 1701-1702, ale twierdzono, że jego jedyny wkład w debaty parlamentarne polegał na wygłoszeniu spostrzeżenia, że w sali obrad jest zimno, oraz wynikającej z niego prośby o zamknięcie okien. Łatwo więc było przyjąć założenie, że po zdobyciu intratnej posady dzięki politycznym koneksjom Newton będzie zwykłym popychadłem.

Nic bardziej mylnego, o czym na przestrzeni kilku następnych lat przekonało się 28 skazanych fałszerzy monet. Newton zaangażował się w zbieranie dowodów ze zrećnością godną Sherlocka Holmesa. Przebierał się za bywalców podrzęd-



Isaac Newton uwieczniony na ręcznie barwionym grawerunku.

nych tawern, szpiegował klientów, obserwował działalność kryminalną. Zdając sobie sprawę, że największą przeszkodą w skutecznym ściganiu przestępców jest zawiła natura angielskiego prawa, zdał się na starożytnie zwyczaje i precedensy prawne. Stanowisko sędziego pokoju charakteryzowało się dostateczną mocą prawną, można było stawiać w stan oskarżenia, przesłuchiwać świadków, w dużej mierze pełniąc funkcję sędziego orzekającego i łączy przysięgłych.

Tak więc Newton doprowadził do tego, że mianowano go sędzią pokoju we wszystkich hrabstwach przyległych do Londynu. W ciągu 18 miesięcy, począwszy od lata 1698 r., przesłuchiwał ponad 100 świadków,

podejrzanych i informatorów, doprowadzając do wspomnianych wcześniej 28 wyroków skazujących.

Dowiedzieliśmy się o tym przypadkowo, ponieważ Newton zostawił projekt pisma na ten temat we własnym egzemplarzu napisanego przez siebie arcydzieła „Principia”, w którym zawarł podstawy fizyki matematycznej, formułując zasady dynamiki i prawo powszechnego ciążenia, oraz pokazując, jak objaśniają one szeroki zakres zjawisk naturalnych.

Opowieść ta pokazuje, że kiedy Newton skupiał się na jakimś zadaniu, zwykle osiągał wspaniałe rezultaty, może z wyjątkiem alchemii i zapewne też poza badaniami nad Biblią. Ostatecznie został kuratorem Mennicy Królewskiej, prezesem Towarzystwa

Królewskiego, a w 1705 r. otrzymał z rąk królowej Anny tytuł szlachecki. Jego największe zasługi dla ludzkości związane są jednak z matematyką i fizyką. Wynalazł rachunek różniczkowy i całkowy, a następnie wykorzystał go do sformułowania podstawowych praw przyrody, z których wydedukował, jak pokazuje to tytuł trzeciej książki dzieła „Principia – O systemie świata” – jak działa Wszechświat.

Jego początki były jednak dużo skromniejsze.

Newton urodził się w Boże Narodzenie 1642 r. Przynajmniej taka była data, gdy przyszedł na świat. Obowiązywał wtedy jeszcze kalendarz juliański, a kiedy został zastąpiony kalendarzem gregoriańskim, słynnym z powodu swych „zgubionych dni”, za oficjalną datę narodzin przyjęto 4 stycznia 1643 r. (...)

Ojciec przyszłego uczonego, również noszący imię Isaac, zmarł dwa miesiące przed narodzinami syna. (...) Matka, Hannah (z domu Ayscough), zarządzała farmą. Kiedy Isaac miał dwa lata, ponownie wyszła za mąż. (...) Ojczym zmarł w 1653 r. Isaac zaczynał właśnie naukę we Free Grammar School w Grantham, gdzie zamieszkał u rodziny Clarke'ów. William Clarke był aptekarzem, a jego dom znajdował się naprzeciw George Inn. Newton stał się sławny w miasteczku za sprawą swoich dziwnych wynalazków i urządzeń mechanicznych. Kieszonkowe wydawał na narzędzia i zamiast się bawić, budował z drewna różne rzeczy – domki dla lalek z myślą o dziewczynkach, ale również działający model wiatraka. Dodał do niego kołowrotek dla myszy, która napędzała skrzydła wiatraka. Zbudował też mały wózek, w którym mógł siedzieć i rozpędzać go obracaną korbą. Innym razem zamocował lampion do latawca, czym wystraszył nocą sąsiadów. Według jego biografa, Williama Stukeleya, czynem tym „wywołał znaczne poruszenie wśród wszystkich ludzi mieszkających po sąsiedzku, skutkujące przez jakiś czas ożywionymi dyskusjami na targowisku albo przy kufelku piwa w tawernie”.

Historycy odkryli źródło inspiracji, z którego Newton czerpał większość tych pomysłów: to „The Mysteries

of Nature and Art” („Cuda przyrody i sztuki”) Johna Bate'a. Jeden z notatników Isaaca zawiera mnóstwo fragmentów tej książki. Mimo że wynalazki nie były oryginalne, zaangażowanie Newtona pokazuje, że od dziecka interesowały go zagadnienia naukowe. Fascynowały go też zegary słoneczne. W kościele w Colsterworth znajduje się jeden przypisywany Newtonowi, prawdopodobnie zbudowany przez niego w wieku zaledwie dziewięciu lat. Młody Isaac wypełniał nimi cały dom Clarke'ów. Przybijał do ścian kołki, aby odmierzać godziny, połówki godzin i kwadransy. Nauczył się wyznaczać szczególne daty, takie jak dni równonocy i przesilenia, i robił to na tyle skutecznie, że rodzina i sąsiedzi często przychodzili, żeby obejrzeć to, co nazywali „zegarami Isaaca”. Potrafił powiedzieć, która jest godzina, na podstawie obserwacji cieni w pomieszczeniu. Wykorzystywał też możliwości, jakie stwarzało zamieszkiwanie w aptece, badając skład

Newton zbierał dowody fałszerstw niczym Sherlock Holmes. Przebierał się za bywalców podrzędnych tawern i szpiegował klientów.

leków, co stanowiło wczesny wstęp do chemii, przetarcie szlaku pod głębokie zainteresowania alchemią, jakie przejawiał w późniejszym życiu. Na ścianach swojego pokoju rysował węglem imponujące ptaki, zwierzęta, okręty, a nawet portrety.

Z całą pewnością był bystrzym młodzieńcem, ale nie przejawiał żadnych oznak matematycznego talentu, a szkolne sprawozdania opisują go jako ucznia leniwego i nieuwważnego. Na tym etapie matka zdecydowała się zabrać go ze szkoły, aby przyuczyć do zarządzania jej posiadłością, co było typowym zadaniem najstarszego syna, ale chłopak wykazał tym jeszcze mniejsze zainteresowanie niż zajęciami w szkole. Wuj przekonał ją, że Isaac powinien pójść na uniwersytet w Cambridge, odesłała go więc z powrotem do Grantham, aby dokończył edukację.

Newton wstąpił do Trinity College Uniwersytetu Cambridge w 1661 r. z zamiarem uzyskania dyplomu w dziedzinie nauk prawnych. Kurs bazował na filozofii Arystotelesowej, ale na trzecim roku pozwolono

mu czytać dzieła Kartezjusza, filozofa i matematyka Pierre'a Gassendiego, filozofa Thomasa Hobbesa i fizyka Roberta Boyle'a. Studiował też dzieła Galileusza, uczył się astronomii i poznał kopernikańską teorię mówiącą o ruchu Ziemi wokół Słońca. Przeczytał „Optykę” Keplera.

Bardziej niejasne jest to, jakim sposobem Newton opanował zaawansowaną matematykę. Abraham de Moivre napisał, że wszystko zaczęło się od tego, iż Newton zakupił na jarmarku książkę o astrologii i nie był w stanie rozgryźć matematyki. Spróbował opanować trygonometrię i odkrył, że jego znajomość geometrii ma poważne luki, sięgnął więc po wydany przez Isaaca Barrowa egzemplarz dzieła Euklidesa. Z początku wydało mu się trywialne, ale potem natknął się na twierdzenie o polach równoległoboków, które wywarło na nim duże wrażenie. Później przebrnął przez całą serię ważnych prac z zakresu matematyki: Williama Oughtreda „The Key of Mathematics” („Klucz do

matematyki”), „Geometrię” Kartezjusza, dzieła François Viète'a, Fransa van Schootena i „Algebrę” Johna Wallisa. Do obliczania

pola ograniczonego przez parabolę i hiperbolę Wallis wykorzystywał niepodzielne – nieskończenie małe – elementy. Newton przemyslał to i napisał: „Tak oto zrobił to Wallis, ale można to przeprowadzić w taki sposób...”.

Proponował własne dowody i pomysły, zainspirowany dziełami wielkich matematyków, ale bez czułości. Metoda Wallisa była ciekawa, ale w żadnym razie nie uchodziła za świętość. Newton potrafił zrobić to lepiej.

W 1663 r. Barrow objął katedrę Lucasa, stał się członkiem Trinity College, gdzie studiował Newton, ale nie ma dowodu, iż dostrzegł w młodym Isaacu wyjątkowy talent. Ten rozkwitł w 1665 r., gdy studentów odesłano do domów, aby uniknąć wielkiej zarazy. W ciszy i spokoju wiejskich terenów Lincolnshire, nierozpraszany przez zgiełk miasta, przyszły uczoney całą uwagę poświęcił naukom przyrodniczym i matematyce. Pomiedzy 1665 i 1666 r. sformułował prawo powszechnego ciążenia, które objaśniało ruch Księżyca i planet, opisał ▶

► ruch ciał fizycznych za pomocą zasad dynamiki, wynalazł rachunek różniczkowy i całkowy, a także dokonał ważnych odkryć w dziedzinie optyki. Żadnej z tych prac nie opublikował. Wrócił do Cambridge, zdobył tytuł magistra i został członkiem Trinity College. W 1669 r., po rezygnacji Barrowa, uzyskał nominację na stanowisko profesora matematyki w katedrze Lucasa. W 1672 r. został członkiem Towarzystwa Królewskiego.

Począwszy od 1690 r., Newton napisał wiele rozpraw naukowych na temat interpretacji Biblii i prze-

prowadzał eksperymenty alchemiczne. Zajmował ważne stanowiska administracyjne, ostatecznie stając się kuratorem Mennicy Królewskiej. W 1703 r. został prezesem Towarzystwa Królewskiego, a w 1705 r., w trakcie swojej wizyty w Trinity College w Cambridge, królowa Anna przyznała mu tytuł szlachecki. Jedynym naukowcem, który wcześniej dostąpił tego zaszczytu, był Francis Bacon. Newton stracił fortunę na załamaniu się kursu Kompanii Mórz Południowych i zamieszkał ze swoją siostrzenicą i jej mężem w pobli-

żu Winchester. Pozostał tam aż do śmierci we śnie w 1727 r. Podejrzewano otrucie rćcią – ślady metalu odkryto w jego włosach. Mogło to być następstwem przeprowadzanych przez niego eksperymentów alchemicznych i tłumaczyłoby, dlaczego na starość zachowywał się ekscentrycznie.

(...) W dzisiejszych czasach mamy tendencję do postrzegania Newtona jako pierwszego wielkiego naukowca o racjonalnym umyśle. Nie bierzemy pod uwagę jego silnej wiary w Boga, badań Biblii, z uporem ignorujemy jego rozległe badania alchemiczne, raczej mistyczne próby przekształcenia jednej formy materii w inną. Większość zapisków dotyczących alchemii prawdopodobnie przepadła w pożarze laboratorium i dwie dekady badań poszły z dymem. Zapewne winny tego zdarzenia był jego pies, gdyż mówiło się, że Newton fajał zwierzęta słowami: „Och Diament, Diament, nawet nie wiesz, coś ty takiego narobił”.

Mniejsza o to, przetrwało wystarczająco dużo książek i artykułów sugerujących, że uczony szukał kamienia filozoficznego, który zamieniałby ołów w złoto. Zapewne chciał też znaleźć eliksir życia, klucz do nieśmiertelności. (...) Dziś przeważnie lekceważymy mistyczny aspekt jego zainteresowań, pamiętając głównie osiągnięcia na polu nauk przyrodniczych i matematyki. Czyniąc tak, gubimy jednak z oczu dużą część zagadnień, które napędzały jego niezwykły umysł. Przed Newtonem ludzkie rozumienie natury było mocno splecione z siłami nadprzyrodzonymi. Po nim zaś zaczęliśmy świadomie dostrzegać, że Wszechświat podlega pewnym fundamentalnym schematom, dającym się wyrazić za pośrednictwem matematyki. Sam Newton, prowadząc ludzkość od mistycyzmu ku racjonalnemu myśleniu, był postacią, która jedną nogą tkwiła w starym, a drugą w nowym świecie.

Fragment książki
Iana Stewarta
Krótko historia wielkich umysłów, przekład Urszula i Mariusz Seweryńscy,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2018



„ABSOLUTNIE WCIĄGAJĄCY”
– Mike Reyes, Cinema Blend

JUŻ NA 4K ULTRA HD, BLU-RAY I DVD!

znajdziesz w empik salony / online / aplikacja

PARTNERZY MEDIALNI

MGM

Men'sHealth

P

Multikino

RAJDO

FILMWEB

WP

Nie do wygaszenia

Edward Mikołajczyk

Wielka niesprawiedliwość spotkała Krzysztofa Szczerskiego, który w Kancelarii Prezydenta RP zajmuje się sprawami reszty świata. Otóż pewnego dnia ów minister, przyzwyczajony do bezustannego wpływania na obrót spraw międzynarodowych i lekko znudzony tym zajęciem, bo tak gładko wszystko idzie, postanowił dla odmiany zrobić coś dobrego na miejscu. I publicznie zwolnił naszych nauczycieli z celibatu.

Szczerski ozdabia swój wysoki urząd tytułem profesorskim, monarszą godnością, krokiem uczonego i twarzą filozofa, dopóki milczy. Taki człowiek musi się czuć sfrustrowany, kiedy podczas licznych pałacowych powitań i pożegnań gospodarze ceremonii nie typują go jako najważniejszej osoby w grupie przybyłych na uroczystość, a szarżę nie jemu salutują.

Pewnie dlatego minister kupił sobie globus, jaki kiedyś widział na Nowogrodzkiej, z Polską *only*, jedynym państwem zaznaczonym na kuli ziemskiej. Zakręcił, zamknął oczy i po omacku, na chybił trafił, zatrzymał świat ręką. Akurat trafił na Polskę, co uznał za sygnał dany z góry, że teraz powinien część swoich talentów oddać ojczyźnie.

I tak jak dawniej opiewał wygaszanie polskiej dyplomacji, teraz zabrał się osobiście do wygaszenia celibatu nauczycielstwa polskiego w wieku reprodukcyjnym. Miał prawo liczyć na wdzięczność bodaj samych belfrów, dotąd spętanych seksualnie i zarażonych impotencją przez ekipę PO&PSL. Tymczasem wywołał dość powszechny gniew i spotkał się z brakiem zrozumienia nawet tej części ciała pedagogicznego, której zezwolił na intensywniejsze niż za Tuska pożycie z zamiarem prokreacyjnym.

Jeszcze raz stało się tak, że lud nie dostrzegł i nie docenił zamiaru wielkiego reformatora. Wydał wyrok, zanim wybrzmiało preludium do reformatorskiego dzieła życia – prawdziwej reformacji w Polsce. A można było oczekiwać, że przynajmniej nauczycielki ze Śląska nie będą sztydzić z akademickiego kolegi po fachu.

Co wiedział zapewne prof. Szczerski, a nie muszą pamiętać nauczyciele historii, w roku 1926, dokładnie 20 marca, Sejm Śląski wprowadził ustawowo

Po rejteradzie ministra Szczerskiego z funkcji reformatora celibatu skończyła się nadzieja na reformację w Polsce.

przymusowy celibat nauczycielek szkół powszechnych i komunalnych. Za „Gościem Niedzielnym” nr 42 z roku 1937 i książką Dariusza Kortki i Lidii Ostafowskiej „Pierony” cytuję art. 1 tej ustawy: „Zawarcie związku małżeńskiego przez pomocniczą, tymczasową lub stałą nauczycielkę, zatrudnioną w jednej ze szkół województwa śląskiego, utrzymywanych przez Skarb Śląski lub przez związki komunalne, powoduje rozwiązanie stosunku służbowego z nauczycielką”.

Żadnych złudzeń w tej materii nie pozostawia art. 2 ustawy, który mówi, że „osoby zamężne nie mogą być mianowane na stanowisko nauczycielki w szkołach publicznych województwa śląskiego” i kropka. Nie wiem, czy wojewoda Michał Grażyński coś zrobił w tej sprawie, czy dopiero po swojemu rozwiązał ją wojna. Pewne jest tylko, że historyczną szansę zmarnował minister Szczerski, który z pomysłu się wycofał i jeszcze przeproszał.



„Gość Niedzielnym” uznał, że ustawa krzywdzi nauczycielstwo śląskie, ale przypomniał swoją zasadę, że „wychodzenie kobiety do pozadomowej pracy zarobkowej pogłębia kryzys” i kobieta jako dawczyni życia „tylko w ten sposób współpracować może nad postępem ludzkości”, kiedy poświęca się zadaniom żony i matki. Gazeta domaga się zniesienia celibatu głównie z powodu omijania małżeństwa, czyli plagi związków nauczycielskich na kocią łapę.

Panie Profesorze, niech pan powróci do zapowiedzianej misji, bo inaczej Śląskowi zagrozi jeszcze większa ruja. Oto trzymający władzę duet egzotyczny prezesa z premierem przed „zakamuflowaną opcją niemiecką” wykonał numer, z którego wynika, że Nowogrodzka zbuduje na Śląsku drugą Kalifornię (Dolinę Krzemową), zaraz potem jak zainstaluje Bawarię już nie pamiętam w którym województwie. Kazimierz Kutz tak się pewnie ucieszył, że z rozpacy, teraz już wiekuiestej, nie zważając na obecność Ponbóczka, zaraz pośle na ziemię soczystą wiązanek.

Po rejteradzie ministra Szczerskiego z funkcji reformatora celibatu skończyła się nadzieja na reformację w Polsce. W repertuarze duetu P&P pojawiły się już bukoliki i pewnie jeszcze tej wiosny premier zacznie rymować, a przed wyborami do Sejmu kupi gitarę.

Patrycja Spytek

Skarbnicą wiedzy o kulturze danego narodu jest jego język. To w nim odnajdujemy ślady pradziejów i mądrość ludową, przekazywaną z pokolenia na pokolenie w formie ustnej. Język rosyjski pełen jest związków frazeologicznych i powiedzeń stanowiących dowód ewolucji kultury, a wiele z nich jest związanych z tradycją kulinarną.

MĘŻCZYŹNI Z DALA OD KOROWAJA

Хлеб да соль вам в дом (Chleba i soli temu domowi) – takim pozdrowieniem witali niegdyś goście gospodarzy. W ten sposób życzyli mieszkańcom domu dostatku. Zwyczaj witania chlebem i solą na stałe zagościł w kulturze słowiańskiej, także w Polsce. Chlebem i solą błogosławił się nowożeńców lub witał zacnych gości w czasie oficjalnych spotkań. W Rosji tradycja ta jest szerzej praktykowana niż w Polsce. Właściwie żadna oficjalna wizyta nie obejdzie się bez orszaku dziewcząt w strojach ludowych, które na bogato zdobionym obrusie niosą duży, okrągły chleb. To obrzędowe pieczywo nazywa się *каравай* (korowaj). Wypieka się je z mąki pszennej lub żytniej. Najważniejszym elementem korowaja jest jego zdobienie. Kobiety zajmujące się wypiekiem – korowajnice – prześcigają się w sztuce dekoracyjnej. Mężczyźni nie mogą uczestniczyć w rytuale wypieku, ich obecność przynosi pecha. Gdy na szczycie korowaja stoi salserka, czyli solniczka, to znaczy, że gość jest mile widziany. Zgodnie ze zwyczajem osoba witana w ten sposób powinna ułamać kawałek chleba,

Nawet zasobni Rosjanie nie spożywali soli w dni powszednie.

zanurzyć w soli i zjeść. Dochowawszy tradycji, można wreszcie rozpocząć ucztowanie.

Dlaczego chleb i sól? Chleb był główną strawą rosyjskiego chłopca, podstawą jego egzystencji. Na Rusi mawiano: *Хлеб – всему голова*, co można tłumaczyć: Chleb jest panem na stole. Brak chleba w domu oznaczał głód i skrajną biedę. Do chleba

CZYM CHATA BOGATA!

W staroruskiej kuchni witano chlebem,
żegnano piernikiem



Obraz „Demjanowa ucha” (*Демьянова уха*) Andrieja Popowa z 1865 r. będący ilustracją do bajki Kryłowa.

odnoszono się z najwyższym szacunkiem. Jeżeli na stole pozostały okruszki, nie można było ich wyrzucić ani dopuścić, by się zmarnowały. Spożywający chleb musieli zjeść także okruszki, co znalazło odzwierciedlenie w rosyjskiej frazeologii: *всё до последней крошки* (do ostatniego okruszka).

хлебосольным хозяином (gościnnym gospodarzem).

Życie najniższej warstwy społeczeństwa rosyjskiego – chłopstwa – nie było łatwe, o czym mówi powieść *Хлеб и вода – крестьянская еда* (Chleb i woda – chłopska strawa). Zazwyczaj chłopcy spożywali niedrogi chleb żytni, który do dziś nazywamy czarnym. Biały zaś, wypiekany z mąki pszennej, to *калач* (kołacz). Podawano go tylko od święta, zapraszano na niego gości. O człowieku, który wielokrotnie odmawiał przyjęcia gości, mówiono: *Калачом не заманишь* (Kołaczem go nie zwabisz).

Szczególnym rodzajem słodkiego pieczywa, którego składnikami są miód i przyprawy korzenne, są pierniki. Te, wraz z samowarem, po raz pierwszy w Rosji pojawiły się w niewielkim miasteczku Tule. Każdy

turysta odwiedzający Rosję wraca do kraju z tuskimi piernikami w walizce. Podawanie pierników również ma rytualne znaczenie i ściśle określony protokół. Stawia się je po obiedzie, kiedy wszyscy zjedli posiłek. Ich pojawienie się na stole jest subtelnym sygnałem dla gości, że pora wracać do domu, dlatego na Rusi pierniki nazywano *разгоняи* (od czasownika wyganiać, rozganiać). Podobną rolę w tradycji polskiej odgrywają stawiane na koniec obiadu ciasta i słodczyce.

PRZEZ KASZĘ DO SERCA

Drugim po chlebie artykułem spożywczym, który na trwałe zagrościł w rosyjskim jadłospisie, jest kasza. W wieku XVI na Rusi znanych było ok. 20 jej rodzajów. Do każdego dodawano masło. Im więcej było masła, tym kasza smaczniejsza. Dlatego we frazeologii utrwaliło się popularne do dziś powiedzenie: *Кашу маслом не испортишь* (Kaszy

pusta. Inne warzywa kucharka dodaje według własnego smaku i upodobań. Dawniej zupa ta była podawana praktycznie codziennie i w każdym domu. Dlatego kawaler, nim poprosił o rękę dziewczyny, najpierw sprawdził, jak kandydatka na żonę gotuje szczy. Ślad po tej praktyce pozostał w języku. Rosjanie mawiają: *He ma*

W XVI w. na Rusi znanych było 20 rodzajów kaszy.

хозяйка, кто красиво говорит, а та, кто хорошо щи варит (Nie ta jest prawdziwą gospodynią, która pięknie mówi, lecz ta, co smaczne szczy gotuje). Jak widać, uroda panny była mniej ważna. Przychylność mężczyzny zyskiwały zaradne i sprawne gosposie. Przez żołądek trafiały do serca oblubieńca.

Inne powiedzenie głosi: *He красна изба углами, а красна пирогами* (Nie kąty zdobią izbę, lecz pierogi). Pierogi od dawien dawna stanowiły główne danie na świątecznym stole.

wytwarzany z ziaren żyta i jęczmienia. Na zakwasie można było także przygotować chłodnik – *окрошка* okraszana była świeżymi warzywami i śmietaną, prawdopodobnie stąd pochodzi jej nazwa. W produkcji kwasu wyspecjalizowały się klasztory, w których funkcjonowały specjalne pomieszczenia – warzelnie kwasu

(*квасоварни*). Często chleb i kwas były jedynym pokarmem ubogich, dlatego Rusini mawiali: *Ешь щи с мясом, а нет, так хлеб с квасом* (Jesz szczy z mięsem, a jak nie masz, to chleb z kwasem).

W okresie zimowym, kiedy prace na polu ustawały i chłopi mogli wreszcie odpocząć, urządzano zabawy. To wtedy mówiono: *И я там был, мёд, пиво пил* – I ja tam byłem, miód i piwo piłem! Miód wykorzystywano do produkcji wielu napojów, ale przede wszystkim robiono na jego bazie bardzo słodkie wino, zwane *медовуха* (miód pitny). Mądrość ludowa głosi, że ile by go człowiek wypił, głowa zawsze zostanie trzeźwa, nogi natomiast zawsze odmawiają posłuszeństwa. Do dziś – zwłaszcza zimą – popularny jest grzaniec – *сбитень*. Ten napój rozgrzewający znany jest w Rosji od XII w. Wykorzystywano go także w leczeniu przeziębień i innych dolegliwości.

Piwo pojawiło się znacznie później, dopiero ok. XVI-XVII w. Popularność piwa była ogromna, warzono

Rosyjskie pierogi można porównać do pasztecików.

masłem nie zepsujesz). Innym bardzo często stosowanym na co dzień zwrotem jest: *Заварили кашу* (Przygotowali dużo kaszy). Kasza – jak wiemy – wymaga długiego gotowania. Gdy poddamy ją zbyt krótkiej obróbce termicznej, będzie twarda i niesmaczna. Przyrządzić smaczną kaszę może więc tylko cierpliwa kucharka. Dlatego wyrażenie to jest używane w sytuacji, kiedy ktoś zaczął jakąś czynność i w żaden sposób nie może jej skończyć. W dawnych czasach dało się je słyszeć w trakcie przygotowań do ślubu. Oznaczało wówczas rozpoczęcie weselnych zmagania. Przygotowanie uczty weselnej było pracą w pocie czoła. Na wesele zapraszano wielu gości. Ostatecznej liczby biesiadników nie sposób było trafnie oszacować. Organizatorzy zachodzili więc w głowę, ile przygotować jedzenia i picia, aby wszyscy wrócili do domu syści.

Щи да каша – пища наша (Szczy i kasza – strawa nasza) – tak naród rosyjski mówił o swoim jedzeniu. Szczy to tradycyjne pierwsze danie. Zupę o tej nazwie można przygotować na wiele sposobów. Jednak podstawowym składnikiem jest ka-

Sposobów ich wypieku są dziesiątki. Rosyjskie pierogi nie przypominają w niczym naszych. Porównać je można raczej do pasztecików. Pierogi wypiekano z różnym nadzieniem: z mięsem, rybą, twarogiem, jajkami, kaszą, warzywami oraz owocami. Prawdziwa gospodyni doskonale wiedziała, kiedy i jakie pierogi podać do stołu. Te z kaszą serwowała do zupy ze świeżej kapusty, z rybą – do

Wódka przywędrowała do Rosji z Włoch.

zupy z kiszanej kapusty, z warzywami – do zupy rybnej, z mięsem zaś do kaszy. Pierogów zawsze wypiekano dużo i układano jeden na drugim, aż uformowała się góra. Prawdopodobnie z tym wiąże się wyrażenie *нуп зопоу*, oznaczające królewską ucztę.

KWAS PROSTO Z KLASZTORU

Kiedy żołądek napełniono, należało wypić. Najpopularniejszymi na Rusi napojami były mors i kwas. Pierwszy przygotowywano z owoców jagodowych. Spośród wielu gatunków kwasu ulubionym był ten

je w każdym domu. Rosyjscy chłopi płacili od niego specjalny podatek – część piwa musieli oddawać do carskiego skarbcu.

A gdzie podziła się wódka, z którą kojarzymy Rosjan? Nie jest tak, jak myślicie! Otóż wódka przywędrowała do Rosji z Włoch. Włosi wytwarzali ten rodzaj alkoholu z owoców, przez co był słabszy niż wódka, do której przywykliśmy. Rosjanie zaś nauczyli się ją robić z ziarna, dzięki czemu stała się mocniejsza. Od tamtej pory cieszy się ogromną popularnością i wyparła z rynku włoską koleżankę. ■



NERKI POD NADZOREM

Eksperci zalecają opiekę koordynowaną nad chorymi, w której to pacjent, a nie procedury, znajdzie się w centrum uwagi

Barbara Jagas

W Polsce na nerki choruje 4-5 mln osób, przy czym 90% o tym nie wie. Z tego powodu przedwcześnie umiera 80 tys. ludzi rocznie, co skraca średnią długość życia o dwa lata. W obecnym systemie nie ma badań przesiewowych, które wykrywałyby wczesne stadium schorzenia nerek. A jeśli pacjenci mają już postawioną diagnozę, czują się zagubieni i nie wiedzą, co dalej robić, ponieważ opieka jest bardzo rozproszona: w jednym miejscu są poradnie, w drugim stacje dializ, a jeszcze gdzieś indziej szpitale.

Choroby nerek są trzecią przyczyną hospitalizacji w kraju. Najczęściej do szpitali trafiają pacjenci między 35. a 55. rokiem życia, czyli w wieku produkcyjnym. Tylko zmiany systemowe mogą poprawić sytuację. Naprzeciw tym oczekiwaniom wyszli autorzy koncepcji opieki koordynowanej, w której najważniejszy będzie chory i jego potrzeby.

KLUCZOWA WCZESNA DIAGNOSTYKA

W starożytności nerki uznawane były za motor życia, tak jak dziś traktuje się serce. Jednak choroby serca wyraźnie dają o sobie znać, podczas gdy w przypadku chorób ne-

rek długo nie ma żadnych objawów. – Zwykle o tym, że jesteśmy chorzy, dowiadujemy się za późno. A leczenie osób z zaawansowaną chorobą nerek kosztuje bardzo dużo – tak naprawdę leczymy skutki niewłaściwego systemu opieki zdrowotnej, w którym nie rozpoznano wcześniej choroby i nie zapobieżono jej rozwojowi. My to chcemy zmienić – mówi prof. Ryszard Gellert, konsultant krajowy w dziedzinie nefrologii, pod kierunkiem którego powstał raport o chorobach nerek i projekt metody kompleksowej opieki nad chorymi. Dzięki nowemu podejściu ma ona uratować życie milionom Polaków oraz zmniejszyć wydatki na leczenie.

Obecny system się nie sprawdza. Połowa dializowanych pacjentów trafia do szpitali w tak ciężkim stanie, że muszą być natychmiast leczeni, za późno jest na przeszczep nerki. Dlatego tak ważna jest wczesna diagnostyka, której w Polsce nie ma, a może ją zagwarantować w przyszłości opieka koordynowana. – Wczesna diagnostyka jest w procesie leczenia kluczowa, często oznacza 5, 10, a nawet 20 lat życia bez terapii nerko zastępczej. To także korzyść dla gospodarki państwa, bo dotyczy ogromnej liczby osób, które powinny pracować i płacić podatki – mówi dr Iwona Mazur z Polskiego Stowarzyszenia Osób Dializowanych. Jej zdaniem lekarze podstawowej opieki zdrowotnej ma-

ją słabą wiedzę o chorobach nerek, ponieważ nie wysyłają na podstawowe badania pacjentów nawet z grup ryzyka, a przecież są one naprawdę tanie – 5 zł kosztuje badanie eGFR, pokazujące wskaźnik filtracji kłębuszkowej nerek. W przypadku innych osób wystarcza badanie ogólne moczu oraz oznaczenie poziomu kreatyniny we krwi – taki test kosztuje 15 zł.

Choroby nerek zwykle traktowane są przez lekarzy jako towarzyszące innym, np. cukrzycy. – A przecież nieraz jest odwrotnie – to choroba nerek jest przyczyną złego samopoczucia, złej tolerancji leków. O tym się nie mówi. Dlaczego? Bo na nerki nikt oficjalnie nie umiera. Wszyscy umierają na zawał, udar, nowotwór, ale nie na nerki. Tego nie odnotowują statystyki. Tymczasem co 10. pacjent w szpitalu umiera z powodu choroby nerek, a do karty wpisuje się coś innego. Nie ma więc świadomości tego, jak ważnym problemem jest sprawa chorych nerek – tłumaczy prof. Gellert.

KONIEC Z ZAGUBIENIEM PACJENTA

Kolejnym problemem, jaki ma rozwiązać opieka kompleksowa, jest pomoc pacjentom w organizacji terapii. Osoby z rozpoznaniem choroby nerek są zdezorientowane, nie wiedzą, gdzie i jak się leczyć. – A ci ludzie

mają też inne choroby, które albo były powodem niewydolności nerek, albo na odwrót – schorzenia nerek je wywołały – zwraca uwagę dr Iwona Mazur. Dopiero opieka kompleksowa może to zmienić. Pacjentem zajmą się wtedy wyspecjalizowane jednostki koordynacyjne, ulokowane w poradniach nefrologicznych, których zadaniem będzie całkowite zaopiekowanie się chorym.

Ideą opieki koordynowanej ma być także to, że będzie się płaciło nie za procedurę, ale za wykonanie określonego działania na pacjencie, a konkretnie za jego efekty. – Z raportu prof. Gellerta wynika, że nie wydając więcej pieniędzy, jesteśmy w stanie leczyć pacjentów lepiej, ale będziemy też mogli zapanować nad tym, co choroba przewlekła robi z nimi dalej. Celem zmiany systemu jest wydłużenie życia – tłumaczy Jakub Szulc z firmy doradczej Ernst & Young, współautor raportu i projektu opieki kompleksowej, były podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia. Finansowanie opieki koordynowanej ma się odbywać w jednym miejscu, czyli w poradni nefrologicznej. – Zgodnie z zasadą, że jeden podmiot systemu ma odpowiadać za pacjenta i otrzymywać na to pieniądze – mówi Jakub Szulc.

NAJPIERW CIĘŻKO CHORZY

W pierwszym etapie tej zmiany systemowej opieką koordynowaną będą obejmowani pacjenci z niewydolnością nerek. Trzeba bowiem ratować najbardziej potrzebujących. – Choroby nerek powinno się wykrywać bardzo wcześniej. Wtedy opieka koordynowana byłaby niepotrzebna. Niestety, tak nie jest, stąd potrzeba wprowadzenia tej zmiany systemowej – podkreśla prof. Gellert. Taka jednostka koordynacyjna miałaby przejąć całościową opiekę nad pacjentem. – Będzie tam koordynator, który zadba o to, by pacjent poszedł na badania i by je wykonał we właściwym miejscu, trafił do właściwych specjalistów – dodaje.

A chorzy z zaawansowaną chorobą nerek to przecież chorzy na wszystko – mają chore serce, płuca, mózg, mięśnie, kości – tłumaczy prof. Gellert. W związku z tym pacjent z niewydolnością nerek musi być inaczej leczony niż resz-

ta populacji, a nie ma lekarzy z doświadczeniem w leczeniu takich osób. – My chcemy stworzyć wokół poradni nefrologicznej zespół ludzi, którzy znają się na chorobach współistniejących ze schorzeniami nerek i skierują pacjentów na odpowiednie badania. Dzięki temu choroby uniknie błędzenia i niepotrzebnych badań. To także obniży koszty. A poprzez właściwe metody terapeutyczne zapobiegnie się temu, co pacjentom przeszkadza – zmęczeniu i osłabieniu, niezdolności do pracy oraz wypełniania obowiązków rodzinnych. Poprzez organizację kompleksowej opieki chcemy przywrócić tym ludziom radość życia. Aby miliony osób nie błądziły po systemie, tylko chodziły wyznaczonymi ścieżkami.

Prof. Gellert podkreśla, że sens wprowadzenia kompleksowej opieki polega na tym, by chory był pod ciągłą opieką stałego zespołu

Co 10. pacjent w szpitalu umiera z powodu choroby nerek, a do karty wpisuje się coś innego.

specjalistów, którzy go znają. – A nie jak jest teraz – gdy lekarz widzi chorego wyrwkowo. On musi znać historię jego choroby i progresję. To nie może być za każdym razem odkrywanie Ameryki – mówi prof. Gellert.

Taki lekarz nefrolog miałby trochę przypominać lekarza rodzinnego. Chociaż, jak twierdzą autorzy programu, nie wyręczałby go.

Zdaniem twórców opieki koordynowanej nie wymaga ona dodatkowych nakładów. – Proponowany model zakłada wykorzystanie istniejącej sieci poradni. Koordynacja leczenia pacjentów chorych na nerki wprost zmniejszy wydatki i poprawi jakość terapii – mówi dr Teresa Dryl-Rydzyska, przewodnicząca Komitetu Zdrowia Krajowej Izby Gospodarczej i prezes NEFRON Sekcji Nefrologicznej Izby Gospodarczej Medycyna Polska, skupiającej większość polskich stacji dializ, poradni i oddziałów nefrologicznych. – Dziś lekarze różnych specjalności często duplikują leki i świadczenia, po wprowadzeniu nowego modelu leczenia uniknie się tego. Koordynacja przenosi też koszty leczenia z opieki szpitalnej na ambulatoryjną, a ta zawsze jest tańsza – dodaje dr Dryl-Rydzyska.

Dopiero wprowadzenie badań przesiewowych zrodzi potrzebę dodatkowych nakładów. A docelowo chodzi o włączenie do tej opieki jak najszerzego grona pacjentów, którzy byliby poddawani badaniom w celu wczesnego rozpoznawania chorób nerek. – Gdyby takie osoby zostały wcześniej zdiagnozowane, to w ich przypadku włączenie leczenia nerkozastępczego można by znacznie opóźnić, nawet o 10-20 lat – przypomina prof. Ryszard Gellert.

– Rolą nefrologa jest dbanie o nerki pacjenta, a nie robienie przeszczepów nerek. Wiele osób dowiaduje się o chorobie za późno, mimo że od lat chodzą do lekarzy. Ci ludzie nie mają wykonanych badań w tym kierunku, chociaż ich choroba prowadzi do niewydolności nerek. Staramy się to zmienić – staramy się budzić świadomość zarówno w pacjentach i lekarzach, jak i w decydentach – dodaje dr Iwona Mazur.

Natomiast objęcie opieką koordynowaną chorych w schyłkowym stadium niewydolności nerek przyniesie oszczędności rzędu 3 mln zł rocznie – wyliczają eksperci w raporcie. Obliczyli oni, że dzięki zaoszczędzonym pieniądзом co najmniej 50 tys. osób rocznie mogłoby pójść do nefrologa i wcześniej dowiedzieć się o chorobie. Tymczasem połowa z 22 tys. dializowanych nigdy nie była u tego specjalisty przed rozpoczęciem terapii ratującej życie. Na wizytę u nefrologa czeka się w Polsce średnio pięć miesięcy, a np. w Warszawie – ponad rok.

Eksperti podkreślają, że bez wdrożenia zmian w organizacji opieki nefrologicznej wydatki na leczenie będą lawinowo rosnąć, a jakość opieki drastycznie spadać. Raport trafi do Ministerstwa Zdrowia i NFZ. – Proponowana w raporcie koordynacja leczenia chorób nerek ma zapewnić spowolnienie przewidywanego wzrostu wydatków NFZ, opóźnienie wejścia pacjentów do leczenia nerkozastępczego i uchronienie części z nich przed taką koniecznością oraz poprawę wyników leczenia – podsumowuje prof. Ryszard Gellert.

PROF. ZBIGNIEW RELIGA (1938-2009)



Za serce dla serc – taką inskrypcją opatrzyliśmy Busolę, nagrodę PRZEGLĄDU, którą w 2002 r. uhonorowaliśmy prof. Zbigniewa Religę, wybitnego kardiochirurga, pioniera transplantacji serca. Pierwszego w Polsce przeszczepu serca dokonał 5 listopada 1985 r. Wiele sił poświęcił na prace nad wykorzystaniem wszczepialnych urządzeń wspomagających pracę serca oraz stworzenie tzw. sztucznego serca i zastawki biologicznej. 7 marca tego roku, w przeddzień 10. rocznicy śmierci prof. Religi, spełniło się Jego marzenie – ze szpitala wyszedł do domu pierwszy polski pacjent, który przez kilka miesięcy ze sztucznym sercem czekał na przeszczep. Nowe naturalne serce wszczepiono mu w listopadzie zeszłego roku.

Prof. Religa służył chorym nie tylko swoim życiem zawodowym, ale też działalnością społeczną i polityczną. Przez dwie kadencje był senatorem, potem posłem, a dwa lata sprawował funkcję ministra zdrowia. Na pytanie, co ma dla Niego znaczenie, podczas długiej rozmowy o życiu, śmierci i chorobie, którą wydrukowaliśmy miesiąc przed Jego odejściem, odpowiedział: reforma zdrowia. Te słowa nic nie straciły na aktualności.

Profesorze, pamiętamy.

LISTY

✉ GRATULACJE

Gratuluje panu redaktorowi Jerzemu Domańskiemu i całemu zespołowi redakcyjnemu wydania 1000. numeru PRZEGLĄDU. Państwa tygodnik odgrywa ogromną rolę w przekazywaniu czytelnikom obiektywnej prawdy o Polsce i ludziach.



Zdaję sobie sprawę, ile trudu kosztuje zespół redakcyjny ta praca. Jestem z Wami całym sercem. Czytam każdy numer z dużym zainteresowaniem. Życzę PRZEGLĄDOWI kolejnego tysiąca numerów.

*Stanisław Ceranowicz,
Górki Wielkie*

Od około dwóch lat jestem stałym czytelnikiem PRZEGLĄDU i kupuję go co tydzień na pocztę w Białowieży. Redaktorowi naczelnemu i całemu zespołowi oraz autorom gratuluje wytrwałości. Na szczególne uznanie zasługuje numer 1000. Wszystkie dotąd numery były wyczytywane do ostatniej literki, a po rozwiązaniu krzyżówki z reguły szły na makulaturę, czasami któryś z interesujących tekstów trafiał do naszej biblioteczki. Jednak ten numer otrzymał adnotację NIE WYRZUCAĆ. Życzę dalszych sukcesów.

Andrzej Antczak

Spóźnione, ale szczere gratulacje i życzenia.

Andrzej Dobrzyński

PRZEGLĄD jest tygodnikiem dla szerokiej rzeszy rozumnych czytelników. Zawsze znajdą w nim coś dla siebie zarówno typowy socjaldemokrata, jak i chrześcijański demokrata. Oby tak dalej!

Grzegorz Wodziński

f WYBIELANIE „BUREGO”

Trudno pojąć komunikat Instytutu Pamięci Narodowej w sprawie „Burego”. Wyobrażacie sobie, jakie rozległoby się larum w Polsce, gdyby Rosja w ten sam sposób tłumaczyła zbrodnie stalinowskie?

Marcin T. Mądry

Mam nadzieję, że kiedy w naszym kraju nastanie normalna władza, wszystkie te sprawy zostaną wreszcie uporządkowane!

Józef Osmenda

„Komuna” nauczyła Polaków czytać i pisać. I nie potrzeba żadnych ekspertów! Wystarczy otworzyć archiwa IPN i udostępnić narodowi przejęte przez tę instytucję dokumenty. Zaraz będzie jasne, kto był bandytą, a kto jego ofiarą!

Krzysztof Adamiak

Żołnierze „Burego” stosowali odpowiedzialność zbiorową. Gwałcili i palili całe wioski tylko dlatego, że mieszkał w nich ktoś, kto im nie odpowiadał. Ich obrońcy gwałty na kobietach siłą wprowadzanych na kwatery wytłumaczają pewnie tym, że żołnierze musieli się zrelaksować. I zaraz postawią „Burego” czy „Ognia” obok Pileckiego, który w grobie się przewraca na takie towarzystwo szmalcowników, bandytów i zdrajców. To jest hańba, jeśli się łączy gwałcicieli i oprawców niemowląt z patriotyzmem.

Bart Szmanzki

Czy są jakiegokolwiek dowody, że podczas opisanych akcji ludzi Rajsa nie zginęło kilkoro dzieci? Czy są jakiegokolwiek dowody, oprócz zeznań człowieka, o którym wiadomo, że zabijał, że się bronił i że obciążał swoich żołnierzy? Nie ma. Nie pojawiły się nowe dowody. IPN nie przeprowadził żadnych nowych badań. Ostatnie stanowisko jest nową interpretacją, zgodną z linią obecnie rządzącej partii, a nie przedstawieniem nowych faktów. IPN po prostu stwierdził, że jak jest wojna, to można mordować.

Jan Skoczowski



Wiceminister szczypiorek

Ministerstwo Spraw Zagranicznych ma nowego wiceministra. Jest nim Marcin Przydacz, który przychodzi na to stanowisko wprost z Kancelarii Prezydenta. Od 2015 r. pełnił tam funkcję zastępcy dyrektora Biura Spraw Zagranicznych. I to w zasadzie wszystkie jego zawodowe doświadczenia, jeśli chodzi o dyplomację i politykę międzynarodową.

Patrząc na jego życiorys, można domniemywać, że sprawami zagranicznymi zainteresował się całkiem niedawno, bo jeszcze w roku 2015 kończył aplikację i zdawał egzamin adwokacki.

Wcześniej realizował się w Klubie Jagiellońskim i Fundacji Republikańskiej. Innymi słowy, wyrabiał sobie znajomości w prawicowych think tankach. Bo przecież o głębszej wiedzy trudno w tym przypadku mówić. A po wygranych przez Andrzeja Dudę wyborach prezydenckich został przez Krzysztofa Szczerskiego ściągnięty z Krakowa do Warszawy.

Teraz, jako rekomendowany przez Szczerskiego, idzie do MSZ nadzorować politykę wschodnią. Co miał z nią wspólnego? W realu? Jest w tych sprawach czystą, niezapisaną kartką.

Po drugiej stronie będzie miał takich wiceministrów jak Władimir Titow, który w rosyjskiej dyplomacji pracuje od roku 1980, a wiceministrem jest od roku 2005. W MSZ Ukrainy sprawami Europy Środkowej zajmuje się Wasyl Bodnar, w resorcie od roku 1998. A w MSZ Białorusi Oleg Krawczenko, który w dyplomacji pracuje od roku 1994. I Bodnar, i Krawczenko wcześniej byli ambasadorami, dyktorami departamentów itd.

A teraz naprzeciw zawodowców staje szczypiorek.

Przypadek Marcina Przydacza nie jest zresztą w obecnym MSZ czymś wyjątkowym. W zasadzie całe obecne kierownictwo ministerstwa to ludzie bez dyplomatycznego doświadczenia. Minister Jacek Czaputowicz nigdy nie był na zagranicznej placówce, pracę zaczynał w MSZ

jako dyrektor departamentu konsularnego, bardziej jako oficer polityczny niż osoba znająca się na tej pracy, a potem plątał się po różnych komórkach i wysyłany był na staże.

Z dyplomacją nie mieli wcześniej nic wspólnego ani Konrad Szymański (czyli europoseł od Ziobry), ani Szymon Szynkowski vel Sęk (poseł PiS), ani Piotr Wawrzyk (profesor z UW). Jedynym wiceministrem, który pracował na placówkach, był ambasadorem i wie, jak wygląda praktyka służby zagranicznej, jest Maciej Lang. Jeśli więc chodzi o kierownictwo MSZ, mamy jednego zawodowcę i pięciu spoza branży. Wyobraźmy sobie tak skonstruowane dowództwo armii. Albo zarząd szpitala.

Nie starczy wyobraźni...

Pytanie zasadnicze nasuwa się więc takie – dlaczego szefostwo PiS na taki stan rzeczy się godzi? Są na to dwie odpowiedzi, które wcale się nie wykluczają.

Pierwsza mówi, że Jarosław Kaczyński chce zbudować swoje kadry – woli więc dyletanta, ale swojego, który po kilku latach się przyuczy, niż zawodowcę, któremu nie ufa.

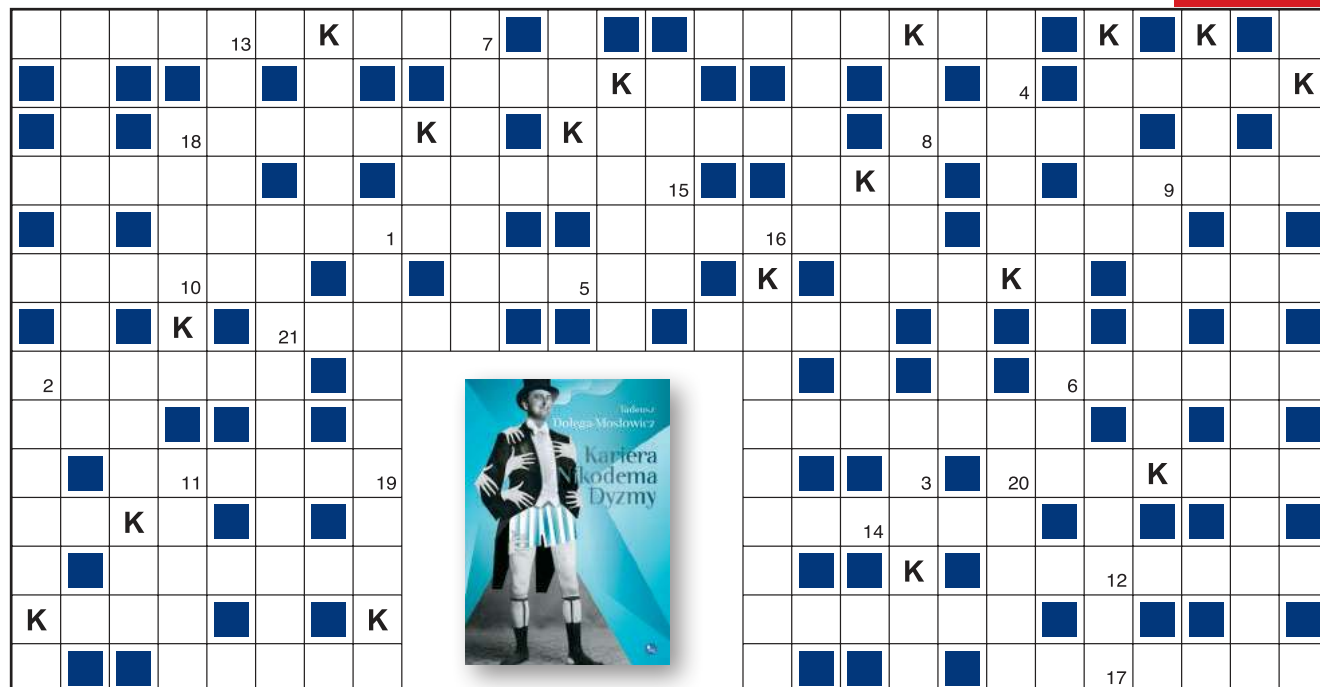
Druga odpowiedź jest natury pragmatycznej – ponieważ Polska *de facto* nie prowadzi polityki zagranicznej, została ona sprowadzona do kilku gestów, więc i kierownictwu PiS niespecjalnie zależy na fachowości MSZ. Ten resort jest raczej postrzegany jako dostarczyciel synekur, biuro podróży i pole bitwy o wpływy. Walczą o nie różne koterie – ludzie od Ziobry, od prezydenta Dudy, od Mariusza Kamińskiego... Symptomatyczna była dyskusja w Sejmie o nowej ustawie o służbie zagranicznej – minister Czaputowicz mówiąc o niej, nawet się nie zająknął, że np. służyłaby poprawie jakości naszej dyplomacji. Za to rozwodził się długo, jak dzięki niej będzie mógł blokować wejście do MSZ dyplomatów kształconym w MGIMO i... ich dzieciom.

Taki mózg.

Attaché

Krystyna Łybacka została najlepszym europosem w kategorii Edukacja, Kultura i Media w konkursie MEP Awards 2019 organizowanym przez „The Parliament Magazine”. Pracuje m.in. w Komisji Kultury i Edukacji (CULT) oraz Przemysłu, Badania Naukowych i Energii. Jest stałym sprawozdawcą ds. Erasmus+, kluczowego unijnego programu w dziedzinie kształcenia, szkolenia i młodzieży. Gratulujemy!





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- piolunówka bohemy
- jej uprowadzenie w filmie, a prawo w serialu
- 4840 jardów kwadratowych
- o popruskie spierały się władze polskie i niemieckie w 1918 r.
- szczytowy punkt, maksimum
- korab w nazwie dziecięcego zespołu

- pragnienia realizacji ambitnych planów
- rola Zofii Czerwińskiej w „Alternatywy 4”
- lilak
- do rąbania stopni w śniegu i lodzie
- fachowość jej obca
- zawodowy jeździec w wyścigach
- Martin z powieści Londona

- i owal, i literacka wyrzutnia
- karetka reanimacyjna
- spis i sprostowanie omyłek
- faza, tura, stadion
- jej stolicą Addis Abeba
- cukier skrobiowy
- bicz na psy myśliwskie
- potoczna nazwa zmięczonego polichloru winylu
- araukaria
- wyjście z pomysłem
- film Wellesa z Loretą Young z 1946 r.
- religia objawiona Mahometowi
- stopień wojskowy niedźwiedzia Wojtki
- stępka
- ubiór przepasany obi
- wyłóg przy kołnierzu marynarki

- półwysep anektowany przez Rosję
- zajęcie kowala lub ucznia
- puma
- płacą nią Chorwaci
- zaatakowany przez Irak w 1990 r.
- napisze odę lub elegię, ale nie nowelę
- stolica, gdzie posłuchasz fado
- lodygi kartoflane
- mały wody dla ochłody
- może się zwarzyć lub wykipieć
- „...z wystawy” Musorgskiego
- Mateusz serialowy w Sandomierzu
- cecha rzeki płynącej tylko w czasie opadów
- do łamania się
- zespół bloków mieszkalnych
- Nona, Decima lub Morta

- i przepych, i ulewa
- ślad, rana po upadku, uderzeniu
- mniem, mniem, palce liżać!
- zniżka cenowa
- narzędzie do zęcia
- rurki, dzwony, cygaretki
- trzeba je segregować
- i na bieżnię, i na szkołęką spódnicek
- głębina w rzece, jeziorze
- o jej gryzieniu mówił Kaczyński na konwencji
- na dwoje skrzypiec i wiolonczelę
- „...z życia mężczyzny” Stuhra
- ok. 31 g w aptekarstwie
- ...Lotnictwa Cywilnego
- dziwny lub staromodny pojazd
- pokrywa pudrera
- buty z kółkami
- auto na nich podskakuje

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-902”. Do rozlosowania książki „Kariera Nikodema Dyzmy” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 31 marca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-899” z 10 marca: *Złudzenie daje odwagę.*
Nagrody otrzymują: Witold Kamiński z Łodzi, Jadwiga Kuśmierczyk z Lubka, Mieczysław Olejnik z Gniezna.

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Propagandystami „dobrej zmiany” są na ogół młodzi, często spoza Warszawy, co ciekawe: mają za sobą staże lub pracę nie tylko w Telewizji Republika czy lokalnych oddziałach mediów publicznych, ale również w Superstacji, TVN 24 czy Tok FM. Jako nieuwzględni widzi „Wiadomości” nie wiedziałem, że jest ich aż tylu. Choćby Anna Molska, która cytowała fora, by mówić o Poznaniu jako „spedalonym mieście”, i twierdziła, że geje są częściej pedofilami. Lub Maciej Sawicki, autor bulwersującego materiału o mowie nienawiści, w którym brak było jakiegokolwiek wypowiedzi posłanki Krystyny Pawłowicz.

odra **PROF. TOMASZ WESOŁOWSKI,** BIOLOG

Effekt cieplarniany przypomina rakietę – nie zatrzymamy jej, kiedy wystartuje. Z obecnej sytuacji nie uda się już wyjść bezboleśnie. Musimy natychmiast zabrać się do roboty, a Polska w ciągu najbliższych 12 lat powinna – żeby mieć uczciwy udział w globalnej redukcji – obniżyć emisję dwutlenku węgla o 120 mln ton. To jest osiągalne, ale trzeba zmienić wszystkie nasze przyzwyczajenia i przestawić się na inny sposób funkcjonowania. Teraz w modzie jest dwukrotny w ciągu roku lot do Egiptu czy innych ciepłych krajów, więc samoloty bardziej zanieczyszczają atmosferę. Albo ludzie kupują ważne półtorej tony fury, żeby siebie samego wozic.

Gdzie rozum, gdzie logika?! Tak system nie może działać, musi się rozwalić.

charaktery **JACEK KRZYSZTOFOWICZ,** magazyn psychologiczny PSYCHOTERAPEUTA

Matka i ojciec to łuk i cięciwa, dziecko to strzała. Aby strzała trafiła do celu, musi być spełniony najważniejszy warunek. Czy chodzi o określenie celu? Przygotowanie strzały? Napięcie łuku? Dokładne wycelowanie? To wszystko ma znaczenie, jednak coś innego jest najistotniejsze: strzałę trzeba wypuścić. Z przywiązaniem ciężarem nigdzie nie polecą. No właśnie... A może właśnie o to nam, rodzicom, chodzi, choć nie mamy odwagi do tego się przyznać? Chcemy, by strzała na zawsze pozostała w kołczanie?

MONDE **PROF. LADISLAW DOWBOR,** diplomatique EKONOMISTA, PAPIESKI UNIwersytet KATOLICKI SÃO PAULO

Prawica triumfująca w Brazylii w zawrotnym tempie kasuje pozytywne efekty społecznego postępu w tym kraju osiągnięte po 2002 r. Ale ten ultrakonserwatywny, neoliberalny zwrot obrazuje niereformowalność i głupotę elit kapitalistycznych. Czy zdajemy sobie sprawę, co to znaczy, że w Brazylii w 2018 r. 64 mln osób dorosłych było do tego stopnia zadłużonych, że nie mogły już spłacać swoich długów? Są to dorośli, a jeśli dodamy do nich członków rodzin, to okazuje się, że mowa jest o olbrzymiej masie ludzi.

Aby język giętki...

JOLANTA KWAŚNIEWSKA O AGACIE DUDZIE

Chciałabym, żeby poszła w ślady Marii Kaczyńskiej, która miała odwagę wypowiedzieć się przeciwko zastrzaniu ustawy antyaborcyjnej.

LUDWIK DORN O TVP

Obecna ekipa w TVP to nie wyrafinowani manipulatorzy, tylko tępę zbiry z glutem u nosa.

PROF. LESZEK BALCEROWICZ O SEKSUALIZACJI DZIECI

Jeśli jakaś „seksualizacja” dzieci następowała, to na niektórych plebaniach w Polsce.

RAFAŁ TRZASKOWSKI O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Chciał być sprytnym deweloperem, ale mu nie wyszło.

JAN FRYCZ O SYTUACJI W KULTURZE

Jest wielu entuzjastów, a mniej rzemieślników. Dużo jest kuglarstwa, żonglowania sztuczkami, cytatami.

WERONIKA ROSATI O ROBERCIE ŚMIGIELSKIM

Słyszałam: „Jesteś zerem, jesteś nic niewarta, twój czas się skończył, nikt cię nie chce oglądać, kobiety po trzydziestce nie są atrakcyjne seksualnie”.

DR MACIEJ GDULA O PiS

To jest bardzo zła propozycja dla Polaków. Sprawia, że tkwimy w pułapce wzajemnej niechęci do siebie, oskarżeń, konfliktu.

AGNIESZKA HOLLAND O POLITYKACH

Są dzisiaj kompletnie ograniczeni. Nieudolnie recyklingują zużyte idee.

JERZY HOFFMAN O TYM, CZEGO NAJBARDZIEJ ŻAŁUJE

Że się nie nauczyłem angielskiego, bo mógłbym swobodnie rozmawiać z moimi wnukami. Mieszkają w Stanach, mają ojca Francuza, są dwujęzyczni, a ja rozmawiam z nimi językiem Papuasów.

BOŻENA ADAMEK O DZIEWCZĘCEJ URODZIE

Nawet dziecięcej. Miałam warunki typowej lirycznej amantki. Pracowałam więc nad wydobyciem z siebie ostrzejszych i bardziej chropowatych tonów.



Prof. Grzegorz Kołodko przebiegł swój 50. maraton. Tym razem w Jerozolimie. Gratulujemy! To najlepsza forma promocji sportowego trybu życia.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Chwila ulgi od dyskryminacji

18 marca w automatach berlińskiego operatora komunikacji miejskiej BGV pojawiły się specjalne bilety dla kobiet, tańsze od zwykłych o 21%. Jednorazowa akcja ma zwrócić uwagę, że właśnie tyle wynosi w Niemczech różnica w wysokości wynagrodzenia kobiety i mężczyzny pracujących na tym samym stanowisku. W Europie gorzej pod tym względem jest jedynie w Czechach i Estonii.

Ministerstwo dzieci niepoczętych

Walia powołała pierwszego na świecie ministra reprezentującego obywateli, którzy... jeszcze się nie urodzili. Sophie Howe, była wiceminister policji i matka pięciorga dzieci, będzie dbała o to, by wszystkie decyzje podejmowane przez tamtejszy rząd uwzględniały interesy przyszłych pokoleń. Przykładem mogą być tutaj kwestie emerytalne czy polityka wobec zmian klimatu.

Nie ma tego złego...

Samorząd czterotysięcznego miasteczka Fuchstal w Bawarii pochwalił się wykorzystaniem ostatniej rolki papieru toaletowego, którego w 2006 r. przypadkowo zamówił całą ciężarówkę. Od tego czasu papier był przechowywany m.in. w miejscowych szkołach i ratuszu. Burmistrz przekonuje jednak, że pomyłka wyszła miastu na dobre, gdyż zakup wspomnianego towaru przed podwyżką jego cen pozwolił zaoszczędzić ponad 1 tys. euro.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Na sportowo i bojowo – filipińskie gimnastyczki na Światowych Letnich Igrzyskach Olimpiad Specjalnych w Abu Zabi i tancerki z Kirgizji na Igrzyskach Nomadów w Arabii Saudyjskiej.

Azor lepszy od Janusza

Naukowcy z Canisius College w Buffalo zbadali subiektywną jakość snu 962 dorosłych mieszkank USA. Okazało się m.in., że kobiety, które dzielą łóżko z psem, śpią spokojniej i czują się bardziej komfortowo i bezpiecznie od tych, które spędzają noc z mężem czy partnerem u boku. Psów i mężczyzn na razie o zdanie nie zapytano.

Z aukcji do haremu i do sushi

Pochodzący z Zachodniej Flandrii gołąb pocztowy o imieniu Armando został sprzedany za rekordową cenę: szczęśliwy chiński kupiec wylicytował go za 1,252 mln euro. Ptak latał dotąd w wyścigach gołębi, teraz jednak ma się zająć reprodukcją. To bez porównania lepszy los niż ten, który spotkał innego czempiona: ważącego 278 kg tuńczyka błękitnopłetwego, kupionego za równowartość 2,7 mln euro przez japońskiego restauratora.





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

[Małgorzata Tabaka]

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPLP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Niektórych to kręci

Brytyjski producent zabawek erotycznych Julz ogłosił rewolucję w branży amatorskiego porno. Cock Cam to „rewolucyjny gadżet, który pozwala ci filmować wszystkie twoje erotyczne momenty pod niespotykanymi dotąd kątami oraz przechowywać i oglądać nagrania na twoim urządzeniu mobilnym za pomocą specjalnej, bezpiecznej aplikacji”. Sposób mocowania urządzenia pozostawiamy domyślności czytelników.

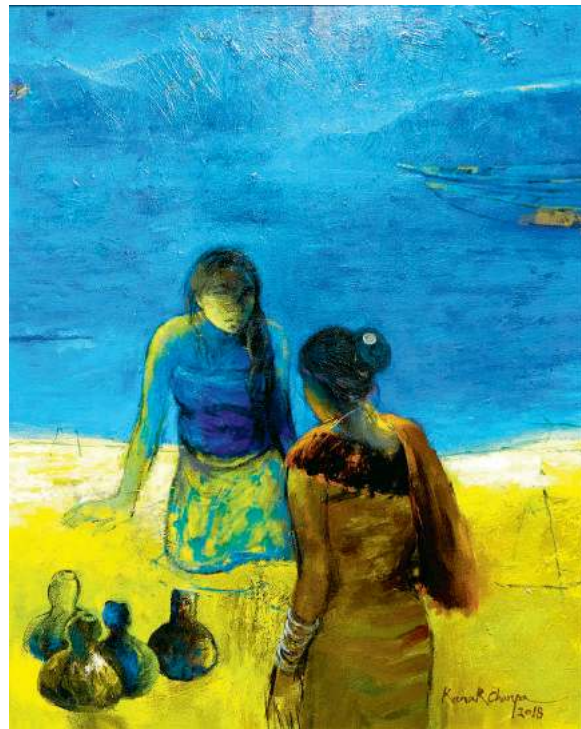
Muzyka okresu dojrzewania

Wreszcie się wyjaśniło, jaki wpływ ma muzyka na dojrzewanie sera. Badacze z Uniwersytetu Sztuk w Bernie wystawili ementaler na działanie rapu („We Got It From Here” A Tribe Called Quest), rocka („Stairway to Heaven” Led Zeppelin) i muzyki klasycznej („Czarodziejski flet” Mozarta). Ser, który dojrzewał przy rapie, miał znacznie silniejszy smak i aromat, a także wyraźnie owocowy posmak. Teraz naukowcy zamierzają sprawdzić, jak na sztandarowy produkt Szwajcarów wpływają różne podgatunki rapu.





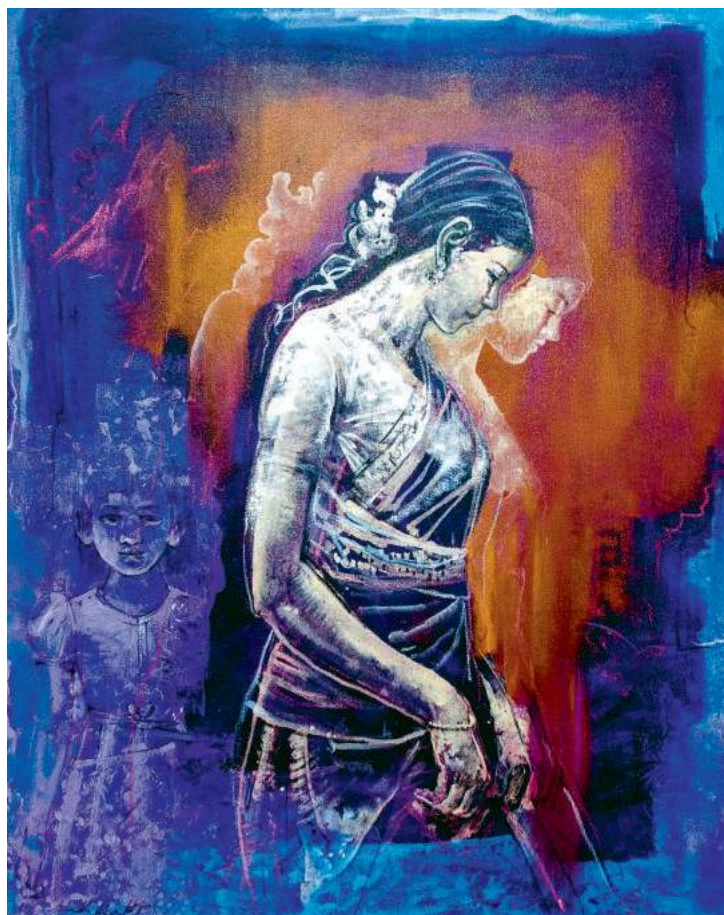
Jamal Ahmed



Kanak Champa Chakma



Rafiqun Nabi



Sheikh Afzal

NODIR KULE KULE – Z BIEGIEM RZEKI. SZTUKA BANGLADESZU

W Bangladeszu, niewielkim kraju w Azji Południowej, graniczącym z Indiami i Mjanmą, mieszają się wpływy islamu, buddyzmu, hinduizmu oraz lokalnych wierzeń i obyczajów. Pretekstem do zorganizowania wystawy stał się zbiór malarstwa współczesnego ambasady Bangladeszu w Warszawie. Prezentacja aktualnej sceny artystycznej to jednocześnie opowieść o kraju odwołująca się do dwóch filarów jego kultury – rzeki i poezji – do których nawiązuje tytuł ekspozycji.

Muzeum Azji i Pacyfiku im. Andrzeja Wawrzyniaka

Warszawa, ul. Solec 24, do 19 maja

eprasa.pl 89b47c5507

ZWYCIĘZCA
SUNDANCE FILM FESTIVAL
NAJLEPSZA REŻYSERIA

MAGGIE GYLLENHAAL

PRZEDSZKOLANKA

W KINACH

4 | wysokie obcasy | cojestgrane24 | wiertaczka | sens | AKTIVIST | K MAGAZYN | P | KOBIECY | Gala | empik

PRZEDSZKOLANKA

[illegible]

W KINACH



cojestgrane24

zwierciadło

sens

AKTIVISTK
MAG
MAGAZYN**KOBIETA**

Gala

empik

DRUGA CZĘŚĆ TRYLOGII „OGRÓD RODZINNY“ JANA HŘEBEJKA I PETRA JARCHOVSKÝ'EGO

Jiří Macháček

Gabriela Míčová

Aňa Geislerová

Martin Finger

Klára Melišková

— *Ogród rodzinny* —

DEZERTER

ŻYCIE ZAWSZE CIĘ DOGONI

David Novotný

Lenka Krobotová

Karel Dobrý

Sabina Remundová

W KINACH OD 29 MARCA

FOG'N'DESIRE FILMS • ČESKÁ TELEVIZE • BARRANDOV STUDIO • INNOGY • HN FILM • MAGICLAB • KINO 64 U HRADEB • SOKOL KOLLAR • RTVS • MENTAL DISORDER 4 • CHIMNEY POLAND

zdjęcia BARTEK CIERLICA scenografia JAN KADLEC kostiumy KATARÍNA ŠTRBOVÁ BIELIKOVÁ charakteryzacja ZDENĚK KLIKA montaż VLADIMÍR BARÁK

dźwięk JIŘÍ KLENKA muzyka PETR OSTROUCHOV producent wykonawczy JIŘÍ HOLAN producent VIKTOR TAUŠ scenariusz PETR JARCHOVSKÝ reżyseria JAN HŘEBEJK

